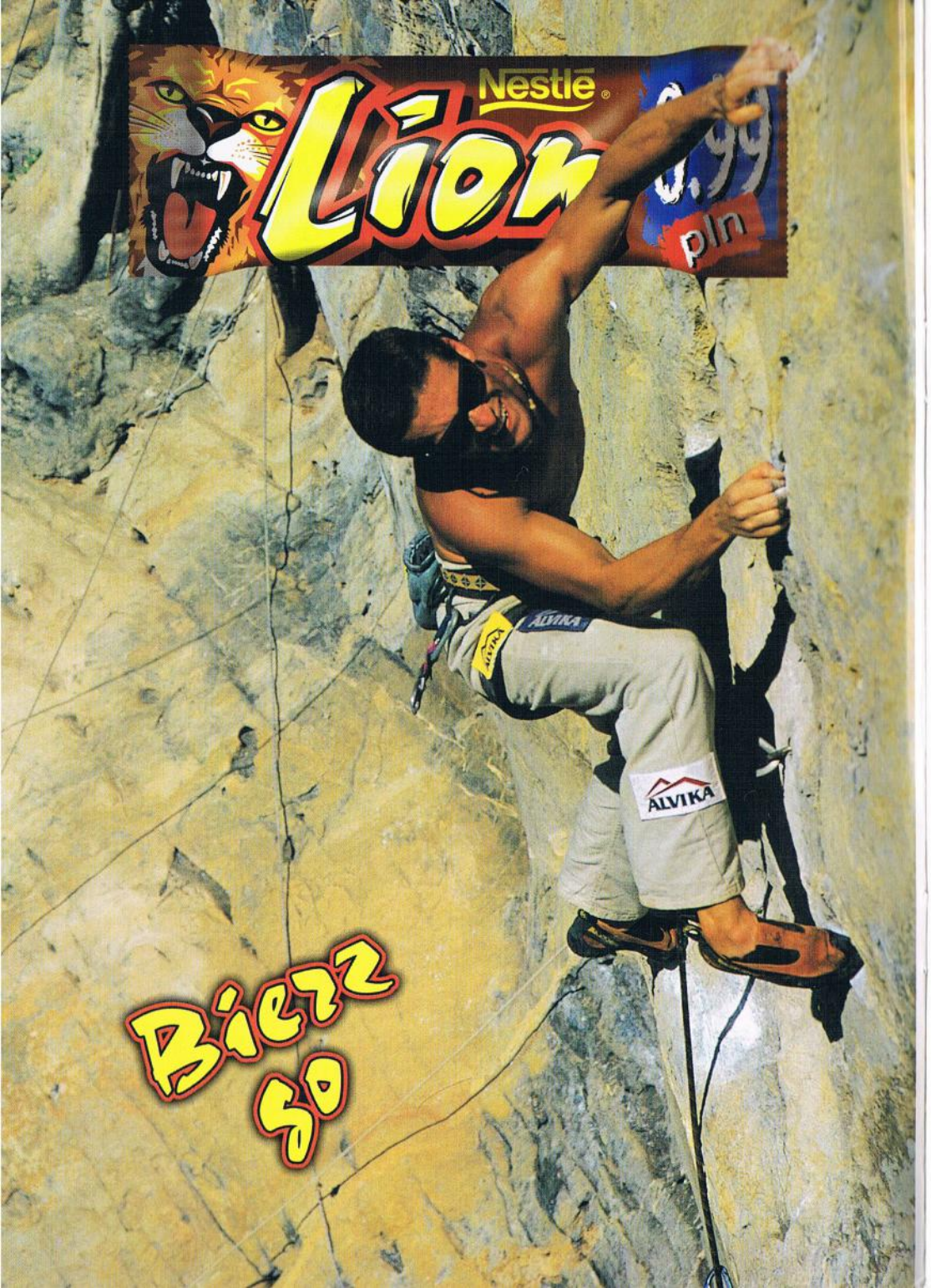

"Książka wyjść"

Słowo od Prezesa 4
Orzeł KW Warszawa 2002 6
Nie ma jak w Morskim Oku... 8
Polska Zimowa Wyprawa Netia K2 14
Polar Sun Spire 20
Bergell 27
„Memoriał" 34
DRY TOOL, WET DRINK & HOT DOG... 38
Nagroda Złotego Czekana 42
10 górskiej przygody 46
Jak zostałem Alpinistą c.d. - W prawdziwej skale 48
Sny Pana Janka 50
Kochanie, nie mam pięt... 52
Z Moka do własnej drogi na El Capitan 56
MOKO I OKOLICE - ZIMA 2002/2003 66
Sezon zimowy 2002/2003 w Tatrach Zachodnich 75
PATAGONIA sezon 2002-2003 79
Pożegnania 82
Informacje KW Warszawa 83

A/Zero - Biuletyn Informacyjno - Propagandowy KW Warszawa
Nr 1(5)/2003
ISSN: 1641-9359
Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa
Redakcja: Marek Libront, Artur Paszczak, Mariusz Wilanowski
Do powstania numeru przyczynili się:
Marcin Chmieliński, Rolando Garibotti, Grzegorz Głazek, Jan Gondowicz, Lindsay Griffin, Radek Kołodziński, Kursant, Piotr Morawski, Jan Muskat, Piotr Panufnik, Adam Pieprzycki, Janusz Porożyński, Paweł Przybysz, Beata Słama, Mark Synott, Krzysztof Wasilewski, Krzysztof Zaleski.
Kontakt z redakcją:
e-mail: mariusz.wilanowski@bgk.com.pl i marek.libront@citicorp.com

W biuletynie piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiekolwiek wypadki powstałe podczas uprawiania sportów propagowanych na łamach A/Zero. Nie próbujcie tego w domu!

Okładka: Jacek Czyż na Jolly Rogerze VI, 5.10, A4/4+, w przewieszonej formacji Golden Doublon; El Capitan, Yosemite USA. Fot. Jacek Łupina, arch. Jacka Czyża

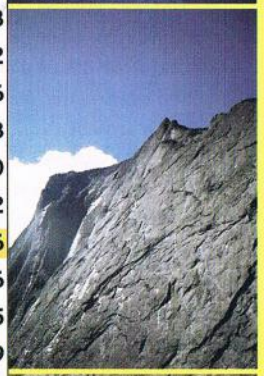

Słowo od Prezesa

Równo o 24 wypełzłem na szczyt Turni Zwornikowej. Nareszcie koniec męki! "Trzy pory roku" skończyliśmy jeszcze przed 21.00 i kolejne godziny brnęliśmy w beznadziejnie głębokim i niezwiązanym śniegu. Nie mieliśmy ochoty na zjazdy po nocy, zresztą i tak nie mogłem rozwiązać swoich węzłów. Dzień był ciepły, mżyło nawet, ale wieczorem chwycił mróz zmieniając nasz sprzęt w sztywne zwoje.

Pod nami majaczyła we mgle Deska Szulakiewicza. Schodziłem nią kilka razy – nie jest może zbyt komfortowa, ale szybko można się nią dostać do Mnichowego żlebu. Pośrodku ma nieprzyjemne zwężenie, poza tym nie nastręcza jednak trudności.

Schodziłem pierwszy zakładając przeloty. Bez problemów dotarłem do przewężenia i zszedłem na śnieg poniżej. Trzymał dobrze, więc podążyłem w dół. Uznałem, że dalsza asekuracja jest niepotrzebna. Choć stromo, było już łatwo, poza tym wiedziałem, że żleb jest już niedaleko. Obejrzałem się by zobaczyć, jak Kaczmar schodzi prożkiem. Zlikwidował ostatni punkt i ostrożnie opuścił się na śniegi.

- Tu już jest zupełnie łatwo! – krzyknąłem.

Nie pamiętam ile kroków wykonałem, zanim usłyszałem krzyk.

Odwróciłem się.

W moim kierunku pędziło światełko czołówki.

Kaczmar.

Zdrętwiałem. Tępo wpatrywałem się w to absurdalne zjawisko.

"To niemożliwe, to się nie dzieje" – rozpaczliwa myśl przemknęła mi przez głowę.

Śnieżny kłąb przeleciał obok mnie jak pocisk. W moją twarz uderzył pył i to mnie otrzeźwiło.

Zaraz mnie przecież wyrwie! Za moment!

Wbiłem dziabki w śnieg, kopnąłem mocniej rakami. Może się sam zatrzyma? W żlebie jest masa śniegu...

Zwoje liny z przerażającą szybkością sunęły w ciemność. To już zaraz! Spojrzałem w dół. Kaczmar właśnie wpadł do żlebu i zakręcił ostro w dół. Zaczynał zjeżdżać pode mnie! Zacisnąłem ręce na czekanach. Lina zaczęła się napinać...

Trwało to naprawdę długo. Sznurek wyciągał się powoli, coraz wolniej, wbijał mnie coraz głębiej w śnieg, w końcu zatrzymał się. Poczułem mgnienie ulgi.

"Udało się!"

Wtedy wyleciałem w powietrze.

Ależ mocno! Niemal wypuściłem dziabki z rąk.

Leciałem swobodnie, spięty, oczekując uderzenia. Poczułem, że mnie obraca, ale nic nie mogłem zrobić.

"Wpadnę w żleb, wpadnę w śnieg"

Uderzyłem o skałę. Nie bolało, ale przestraszyłem się. Skąd tu skała?! Gdzie jest żleb?!

Drugie uderzenie było mocniejsze, aż przeszył mnie ból.

"Tym razem noga nie ocaleje"

I zaraz potem trzecie – na płask, bokiem i plecami. Za silne.

Zrozumiałem, że nie mam szans, że tym razem się nie uda.

"A więc tak to wygląda..."

I wtedy wpadłem w śnieg. Zatkał mi usta, więc zacząłem wrzeszczeć wrzaskiem życia, poczułem, że jest nadzieja. Ale zaraz znowu uderzyłem w skałę.

"Dlaczego, co się dzieje, dlaczego nie żleb?"

Znowu śnieg – koziołkowałem z nóg na głowę. Ryczałem z całych sił. Dusiłem się, potem znowu krzyczałem. Nagle usłyszałem drugi ryk i poczułem czyjeś ręce na sobie. Kaczmar! Rzucił się na mnie! Poczułem wdzięczność. Spleceni, koziołkowaliśmy razem. Coraz wolniej i wolniej, aż w końcu głęboki śnieg miłosiernie wyhamował nas do końca.

Leżeliśmy obok siebie w milczeniu, dysząc ciężko. Zaczynało do nas docierać, że jednak się udało. Spojrzałem na Kaczmara – nasze czołówki wciąż się świeciły! W ich świetle wpatrywały się we mnie jego wielkie, szeroko otwarte oczy. Zacząłem się śmiać. W ustach czułem smak krwi, ale wiedziałem, że wykpiliśmy się tanio.

- No, to szybko żeśmy się do tego żlebu dostali...

***

Wielokrotnie zdajemy się zapominać, że uprawiamy niebezpieczny sport. Jakże często doświadczenie myli się nam z rutyną, a pewność siebie z niedbalstwem. Ale najczęściej, po prostu brakuje nam wyobraźni. Kolejne sezony wbijają nas w złudne poczucie bezpieczeństwa i powoli tracimy tę niezbędną czujność – tak potrzebną szczególnie gdy jest łatwo, gdy z pozoru nic już nie zagraża...

A właśnie wyobraźnia powinna być naszą najważniejszą bronią. Tym musimy się wyróżniać. Gdyby nie brak wyobraźni, być może nie doszłoby do strasznego wypadku pod Rysami. Nie doszłoby też do mojego lotu, który nie zakończył się nieszczęściem chyba tylko dlatego, że zawiódł Matrix ("free your mind..."). Zadziałał jednak z ponurą konsekwencją, kiedy kilka dni później nasza klubowa koleżanka wpadła na nartach w swoją znajomą. Zawiniła, rzecz jasna, za szybka jazda. Rezultat okazał się tragiczny – uraz kręgosłupa szyjnego i wstrząs mózgu z jednej strony, z drugiej zaś złamanie żeber, łopatki, obojczyka i strzaskanie miednicy zakończone skomplikowaną operacją. Obie dziewczyny czeka wielomiesięczna rehabilitacja.

Mamy pełnię lata, zapowiada się piękna pogoda i wszyscy, mam nadzieję, będziemy się w tym sezonie dużo wspinać. Róbmy to jednak w zgodzie ze sztuką, bezpiecznie.

I z wyobraźnią.

Bo łyżka jednak istnieje...

Paszczu

Ps. Gdy będziecie czytać ten numer nasz klubowy lokal będzie już otwarty. Ogromna praca kilku ludzi dobiegnie końca. W imieniu wszystkich nas chciałbym im serdecznie podziękować: Januszowi Onyszkiewiczowi za otwarcie zamkniętych drzwi, Ryśkowi Dmochowi za nieocenioną wprost pracę, a nawet harówkę przy planowaniu i koordynacji remontu, Michałowi Pietrzakowi za załatwienie wszystkich zgód i uzgodnień, Zbyszkowi Skierskiemu za codzienną pomoc i tym wszystkim, bez których pracy i dobrej woli nigdy byśmy tak ambitnego projektu nie zrealizowali.

Orzeł KW 2002

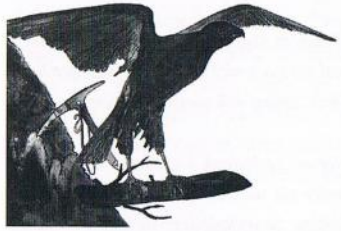

Wyłonienie zdobywców klubowej nagrody **„Orzeł KW“** za rok 2002 nastręczyło (i całe szczęście) trochę problemów. Wszystko za sprawą zgłoszonych do nagrody bardzo wartościowych przejść. Zwłaszcza w kategorii wspinaczki górskiej wszystkie zgłoszone kandydatury mogłyby z czystym sumieniem zostać uznane za godne przyznania „Orła KW“. A nominowani w tej kategorii byli trzej Panowie K. (w kolejności alfabetycznej):

- **Marcin Kaczkan** za samotne wejście na Pik Pobiedy (7439 m) w Tien Szaniu.
- **Paweł „Kaczmar“ Karczmarczyk** za przejście z różnymi partnerami 6 dróg na Kaukazie w tym:
- Pik Kaukaz (4037 m) drogą o trudnościach 2B
- Ullukara (4302 m) - pn.-zach. filar; 1000 m, 4B
- Szczyt Wolnej Hiszpanii (4200 m) - wsch. grań, 1500 m, 4A
- Pik Szczurowskiego (4259 m) - pn.-zach. ścianą drogą Abałakowa, 1800 m, 5A
- Missis-tau (4427 m) - drogą o trudnościach 4B
- Ullu-auz-baszi (4675 m) - pn. ścianą drogą o trudnościach 5A
- **Maciej Kubera** za przejście w Dolinie Yosemite na El Capitan drogi *Sea of Dreams* VI, 5.10, A4 w zespole z Jarkiem Cabanem i Maćkiem Ciesielskim a także za przejście drogi *Nauka Haczenia* V+ A4+ w Tatrach Zachodnich w zespole z Pawłem Federakiem.

W kategorii wspinaczki skałkowej nominowani byli:

- **Gosia Kusztelak** za przejścia dróg do 7a OS i 7b RP
- **Kuba „Bratku“ Ziółkowski** za przejścia RP dróg do VI.6+ w tym:
  - *Dupa Biskupa* VI.5,
  - *Obrany ze skórki* VI.4+/5,
  - *Soczewka* VI.5/5+
  - *622 Upadki Bunga* VI.6
  - *Wakacje z Dupami* VI.6+
  - *Kaprys Bogów* VI.5/5+
  - *Sportland na Mściwoja* VI.6/6+

Po burzliwej dyskusji Zarząd KW postanowił przyznać nagrodę „Orzeł KW“ za rok 2002 w kategorii przejścia górskie - **Marcinowi Kaczkanowi**. Uzasadniając swoją decyzję Zarząd zwrócił uwagę na takie elementy jak: styl wejścia (samotnie), złe warunki atmosferyczne w jakich zostało dokonane wejście, determinacja i powaga przedsięwzięcia. Marcin jest dopiero trzecim Polakiem, który stanął na szczycie Piku Pobiedy i było to jego trzecie podejście do szczytu.

W kategorii przejścia skałkowe „Orła KW“ za rok 2002 przyznano **Kubie Ziółkowskiemu**. Przy wyborze zwrócono uwagę na istotny progres sportowy jaki dokonał Kuba, charakter wybieranych celów a także wszechstronność w aktywności wspinaczkowej.

Obu laureatom nagrody wręczono złote odznaki klubowe i atrakcyjne nagrody ufundowane przez Mount & Wave i Technikę Górską. *(mw)*

Akcesoria Wielkościanowe i wspinaczkowe

Wory transportowe
- „Baffin” poj. 100l (+25l)
550 zł
„Monolit” poj. 70l (+15l)
500 zł

290 zł
Plecak „Guide”
poj. 45l (+15l)

woreczek „spit”
60 zł
nr 3 60 zł
nr 2 50 zł
nr 1 40 zł

Woreczki „big-wall”
70 zł

Technika Górska®
Pokrowiec na linę „Onsajcik”

zamówienia i informacje (22) 635 92 87
www.technikagorska.home.pl

Nie ma jak w Morskim Oku.

Obóz zimowy KW Warszawa 2003

Tekst: Artur Paszczak i Mariusz Wilanowski
Zdjęcia: Uczestnicy obozu

Marysia Łapińska

Najpierw była Kieżmarska Chata, potem Śląski Dom, następnie Szczyrbskie Pleso i wreszcie Zbójnicka Chata. Cóż mogło być następne, jeśli nie nasze Moko. Godny koniec wielkiej pętli, a zarazem początek następnej.

Przyznam się, że lubię to schronisko. Wiem też, że nie należę do wyjątków. W ciągu ostatnich lat udało się Marii Łapińskiej stworzyć miejsce o prawdziwie górskim charakterze. I, co najważniejsze - miejsce, gdzie my, wspinacze, możemy czuć się jak u siebie.

Klimat tworzą ludzie, a Marysi udało się zebrać w Moku zespół zupełnie wyjątkowy. Od kuchni, przez „kredens" i „grupę techniczną" do recepcji i samego Kierownictwa, wszyscy świadomie pracują nad utrzymaniem tej właśnie atmosfery, która czyni Moko schroniskiem niezwykłym. To dzięki nim możemy się czuć elementem tego miejsca, a nie dodatkiem do niego. Dlatego właśnie tak lubimy tam przyjeżdżać, i oby tak było zawsze.

Pani Zosia

Iżi „Miś" Brennejzen powiada, że lato bez pobytu w Moku jest latem straconym. Zgadzam się z nim w pełni, lecz dodać muszę, że dla mnie nie może być mowy o zimie bez Moka. Bo nigdzie - ani w Alpach, ani na Słowacji - nie odczuwam takiej przyjemności ze wspinania, jak właśnie tam.

Dziewczyny z Moka

Na obóz zjechało się nas trochę mniej niż oczekiwałem. Nie pobiliśmy rekordu ze Zbójnickiej, ale nie ilość jest najważniejsza. Jakościowo uzyskaliśmy na tym obozie najlepsze chyba przejścia, a koledzy i koleżanki, którzy w czasie poprzednich obozów zdobywali swoje zimowe ostrogi pokazali tym razem pazury. Niech więc żałują ci, którzy nie przyjechali.

Basia

Piotrek i Paweł

Pierwszy tydzień minął pod znakiem wspaniałej pogody. Zaczęliśmy ostro - od razu 22 lutego padł *Ła-Pa* na Zerwie, i to w zespole z kobietą! Ola Misztur, Paweł Karczmarczyk i Jaś Wierzejski pokonali drogę pewnie i spokojnie. „Profesjonalna robota" - jak mawia Baron. „*Nic takiego* - podsumowała Ola. - *Robiłam już takie drogi*".

Po prostu MOKO

Kolejny dzień przyniósł *Rysę Strzelskiego* („Czyżu" i Arek), *Hobrzańskiego* na Kotle (Paszczu-Grześ) i *W samo południe* (w sumie, podczas obozu drogę tą przeszło 8 osób). A jeszcze kolejny sypnął świetnymi przejściami - *Filarem Sokołowskiego* na Mięguszu (Ola, „Kaczmar", Jaś), *Skłodowskim* na Kotle (Alicja, „Siostra" i „Chmiel"), a ponadto dwoma klasycznymi przejściami dry-toolowego *Cienia Wielkiej Góry* (Janusz - Paweł, Arek -"Czyżu"- Marcin). Zespoły „unifikacyjne" pokonały też *Prawy filar* Cubryny.

25 lutego padła łańcuchówka *Świerz-Stanisławski* (Paszczu-Grześ) (Grześ: „to nie jest wspinanie, to jakieś wyścigi"). Natomiast środa, 26 lutego, okazała się dniem biwakowym. Najpierw jednak Alicja i „Chmiel" uporali się w 7h ze *Świerzem* (dzieląc wyciągi sprawiedliwie), państwo „Baronowie" i Krystian dokonali „pierwszego zimowego" drogi Cywińskiego na Dziurawej Turni, Ziomek z Siostrą rozprawili się z *Depresją Kurczaba* na Szpiglasowym, a „Kaczmar" w towarzystwie Bernarda Vossa zdołał jeszcze uniknąć biwaku omijając kopułę szczytową na Grzędzie Heinricha. Pozostałe 3 zespoły postanowiły już jednak piękną, gwiaździstą noc spędzić w plenerze.

Janusz i Paweł, osiągnąwszy szczyt Mięguszа po zrobieniu *Świerza*, zaplątali się nieco w zejściu i wybrali wariant bezpieczny - przeczekanie do rana. (SMS: „Żyjemy. Schodzimy po kiblu na MSW"). Natomiast dwa zespoły na *Lewym Mączce* na tej samej ścianie wytrawersowały na MPW i z niej udały się zjazdami na Słowację. Tam, w „pięknych okolicznościach przyrody" i Hińczowego Stawu przeżyli rześką noc. Starzy instruktorzy, Duduś i Wiesiek dawali przykład spokoju, a młodzież okazała niezbędny w takich momentach entuzjazm oraz przygotowanie - termosy z gorącą herbatą i słodkie zakąski. Wiadomość SMS od Wieśka: „Jesteśmy na Hińczowej. Przećwiczyliśmy z kursantami nieplanowany kibelek".

Rankiem, wszyscy w świetnych nastrojach,

Poranne spotkanie na Hińczowej

Ekipa ratunkowa pod wodzą Dudusia z kontuzjowaną Martą

Początek końca na Żabim Niżnim

zameldowali się w schronie.

27 Paszczu i Wilan wykonali śmiały atak na *Środek* ŻTM-u, zakończony odwrotem po pierwszym wyciągu. 3,5 godzinne torowanie pod ścianę dokonało dzieła zniszczenia. A Baron to przewidział... („Nie macie szans w tych warunkach"). Sam za to dokonał kolejnej zimowej premiery na drodze *Cywiński-Ziemak* na Szpiglasowym.

28 ponownie Kaczmar i Ola dodali wartościowe przejście do naszego wykazu (*Długosz-Popko*) a zespół „kadry" pokonał *Filar z Orłem* na Miedzianem.

I na tym właściwie działalność sportowa się zakończyła. Nastąpił okres niepogody, w którym jedynie jeszcze jeden dzień umożliwił akcję górską, co wykorzystali Paszczu i Kaczmar (*Trzy pory roku*) oraz Chmiel i Zioło (*Jagiełło-Roj*).

Mieliśmy też - a jakże! - wypadek. Marta Oleszczuk, podczas wycofu spod czołówki skręciła kolano. Hamowała kijkiem od nart, kijek się złamał, wykonała obrót i trach! W wyniku tego omal nie doszło do większej tragedii. Złamana część kijka utkwiła zdradziecko pod śniegiem czyhając na niczego się nie spodziewającego instruktora Wiesława M. (celowo przemilczam nazwisko nie chcąc upubliczniać tego - jak zobaczycie - wstydliwego incydentu). Wiesław M. podążał z ogromną szybkością w dół przy użyciu własnego siedzenia. Naraz poczuł, że coś ze straszną siłą przebija mu spodnie atakując rejony przyrodzenia. Wiesław M. w ostatniej chwili zdołał zareagować i uchronić słabiznę przez spenetrowaniem przez podstępny kijek. Powołana ad hoc grupa ratunkowa pod dowództwem „Barona" przetransportowała Martę do schroniska skąd została ona odwieziona do doktorów. Wstrząśniętym Wiesławem M. zajęły się koleżanki z obsługi medycznej schroniska.

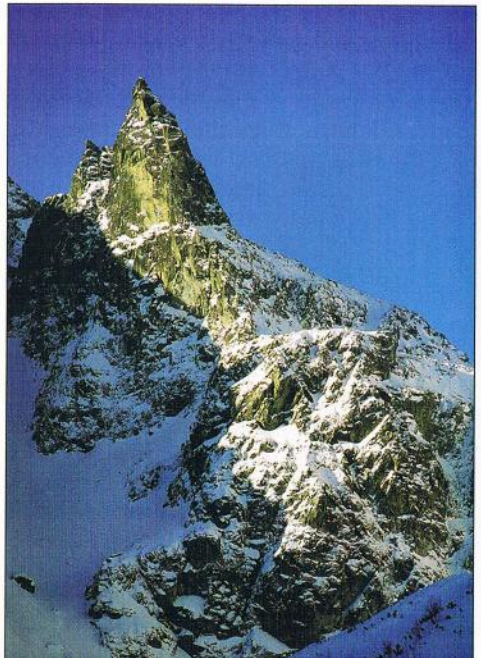

Mnich

Turnia Zwornikowa Cubryny, *Trzy pory roku*, Paszczu w akcji

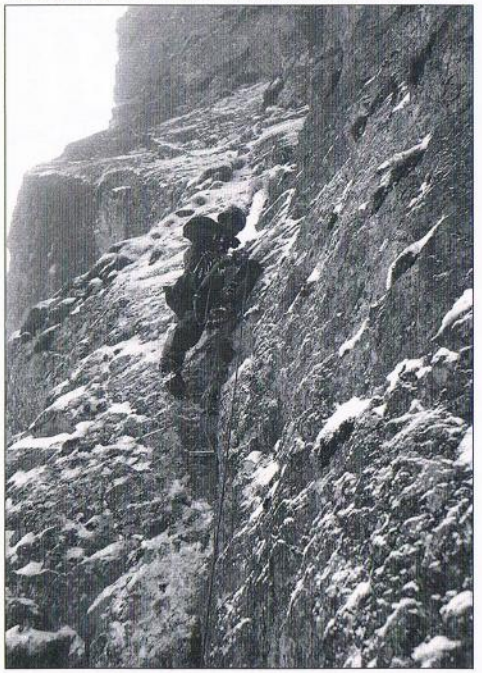

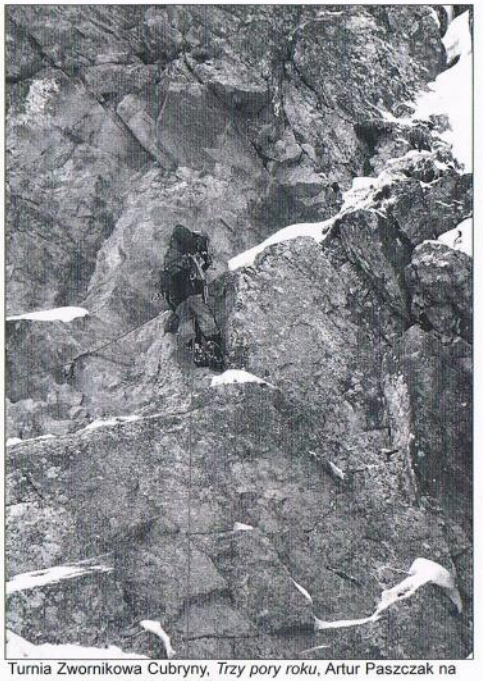

Turnia Zwornikowa Cubryny, *Trzy pory roku*, Artur Paszczak na 1. wyciągu o trudnościach VI A1

Innych incydentów nie zanotowano choć powiedzmy sobie było gorąco. Na ten przykład znany z pogardy dla trudności i życia wspinacz „Bakteria" na sytym (A2+) wyciągu, minął swojego partnera pikując głową w dół w podścianowe śniegi. Jakież jednak było zdziwienie Wiesia, który po wymałpowaniu na pierwszy stan zobaczył stanowisko „Bakterii" z jedynki i wbitych w trawy dziabek („Bakteria" - „bardzo dobre stanowisko, skakałem na nim").

Ostatnim akcentem obozu był śmiały atak „Kaczmara" i „Bakterii" na prostowanie *Sprężyny*. Bardzo szybko chłopcy dotarli pod trudności, ale kruszyzna i fatalne mchy dały im odpór. Odjeżdżając, czekaliśmy na ich powrót by pogratulować ducha walki.

Jadąc na dół na nartkach Rossignola Chmiel i Wilan omal nie rozjechali zdążających do góry braci Ziółkowskich, których „narzędziowa" próba na *Starku* była ostatnim już akcentem warszawskiego obozu zimowego 2003.

OBÓZ KW WARSZAWA ZIMA 2003
WYKAZ PRZEJŚĆ

Bula pod Bandziochem

***W samo południe* IV+**
Janusz Porożyński i Paweł Przybysz 23.02.2003.
Dorota Czempara, Wiesław Madejczyk, Marta Oleszczuk i Krystian Zalejski 23.02.2003.
Radek Kołodziński i Konrad Parzych 02.03.2003.

Cubryna

***Prawy Filar* II**
Andrzej Dutkiewicz, Mikołaj Hotówko i Paweł Strzelecki 24.02.2003 (do Galerii).
Dorota Czempara, Wiesław Madejczyk i Marta Oleszczuk 24.02.2003 (do Galerii).
Ola Misztur i tow. 26.02.2003.
Jacek Obniński i Maciek Olinkiewicz 05.03.2003 (do wierzchołka Turni Zwornikowej).

***Żleb Szulakiewicza* II**
Marcin Gałus i Tomasz Kopyś 25.02.2003.
Iwona Mosiej-Skłodowska, Andrzej Skłodowski i Krystian Zalejski 25.02.2003.

Cubryna - Kazalnica Cubryńska

***Jagiello-Roj* III-V**
Marcin Chmieliński i Michał Ziółkowski 03.03.2003.

***Trzy Pory Roku* V+ A2+**
Paweł Karczmarczyk i Artur Paszczak w 12,5h 03.03.2003.

Dziurawa Turnia

***Droga Cywińskiego* (lewą częścią pn. ściany) II+**
Iwona Mosiej-Skłodowska, Andrzej Skłodowski i Krystian Zalejski 26.02.2003 (pierwsze przejście zimowe)

Kazalnica Mięguszowiecka

***Łapiński-Paszucha* V A0**
Paweł Karczmarczyk, Ola Misztur i Jaś Wierzejski 22.02.2003

Kocioł Kazalnicy

***Cień Wielkiej Góry* M6+**
Janusz Porożyński i Paweł Przybysz 24.02.2003 (3 przej. - 2 przej. klasyczne).
Arek Arak, Marek Czyżewski i Marcin Gałus 24.02.2003 (4 przej. - 3 przej. klasyczne).

***Długosz-Popko* V A0**
Paweł Karczmarczyk i Ola Misztur 28.02.2003.

***Hobrzański-Sułowski* V A1**
Artur Paszczak i Grzegorz Sokołowski 23.02.2003, 8,5h (najszybsze przejście zimowe)

***Skłodowski* V-**
Marcin Chmieliński, Małgorzata Morawska i Alicja Paszczak 24.02.2003.

Mała Mnichowa Baba

***WC Baba* IV**
Iwona Mosiej-Skłodowska i Andrzej Skłodowski 23.02.2003.
Radek Kołodziński, Konrad Parzych i Mariusz Wilanowski 03.03.2003.

Miedziane

***Filar z Orlem* IV**
Andrzej Skłodowski i Iwona Mosiej-Skłodowska 24.02.2003 (pierwsze przejście zimowe)
Tomasz Kopyś, Ewa Libera, Małgorzata Morawska i Ziemowit Wirski 28.02.2003.

Mięguszowiecki Szczyt Wielki

***Filar Sokołowskiego* V**
Paweł Karczmarczyk, Ola Misztur i Jaś Wierzejski w 7h 24.02.2003.

***Świerz* V-**
Artur Paszczak i Grzegorz Sokołowski w 3.45h !! 25.02.2003 (następnie zrobili Stanisławskiego na Mnichu w 2.30h)
Marcin Chmieliński i Alicja Paszczak 26.02.2003.
Janusz Porożyński i Paweł Przybysz 26.02.2003.

Mnich

***Stanisławski* V A0**
Artur Paszczak i Grzegorz Sokołowski w 2.30h !! 25.02.2003 (po zrobieniu Świerza na MSW w 3.45h).

Niżnie Rysy

***Grzęda Heinricha* VI**
Paweł Karczmarczyk i Bernard Voss 26.02.2003 (bez kopuły szczytowej)

Szpiglasowy Wierch

***Depresja Kurczaba* IV**
Małgorzata Morawska i Ziemowit Wirski 26.02.2003.

***Droga Cywiński-Ziemak* II**
Iwona Mosiej-Skłodowska i Andrzej Skłodowski 27.02.2003 (pierwsze przejście zimowe).

Wielka Mnichowa Baba

***Wesołej Zabawy* IV**
Andrzej Dutkiewicz, Marcin Gałus i Paweł Strzelecki 23.02.2003.
Alicja Paszczak i Mariusz Wilanowski 28.02.2003.

***Rysa Strzelskiego* V**
Arek Arak i Marek Czyżewski 23.02.2003.

Żabi Szczyt Niżni

Marusażowym Żlebem
Iwona Mosiej-Skłodowska, Andrzej Skłodowski i Krystian Zalejski 28.02.2003.

Polska Zimowa Wyprawa Netia K2

Tekst i zdjęcia: Piotr Morawski

Nie mogłem uwierzyć swojemu szczęściu, kiedy dowiedziałem się, że jestem w składzie głównym pierwszej zimowej wyprawy atakującej K2 od strony północnej, a drugiej w zimowej historii tej wspaniałej i groźnej góry. Marzenia stały się rzeczywistością. 16 grudnia 2002 roku wyruszyliśmy. Ostateczny skład stanowiło 12 wspinaczy pod kierownictwem Krzyśka Wielickiego, oraz ekipa wspomagająca, ludzie z mediów, pakistańscy tragarze i dwóch nepalskich kucharzy, łącznie ponad 30 osób.

Początki napawały optymizmem. Kilka dni podróży samolotami i samochodami, potem 5 dni karawany. Nasz bagaż zmieściliśmy na siedemdziesięciu wielbłądach. 26 grudnia dotarliśmy do wylotu kanionu, niedaleko od czoła lodowca K2, gdzie założyliśmy tzw. Bazę Chińską (3900 m n.p.m.). Na lodowcu stanęła Baza Pośrednia (około 4600 m n.p.m.), i dzień później dotarliśmy do stóp góry. Przed nami piętrzył się zacieniony i ziejący niesamowitym zimnem północny filar Czogori, nasz przeciwnik przez następne dwa miesiące.

Założyliśmy Bazę Główną (5100 m n.p.m.), a już w kilka dni później, w dzień urodzin Leadera stanął na wysokości ok. 6000 metrów obóz I. Styczeń powitał nas zimnym słońcem, umiarkowanymi wiatrami i temperaturami spadającymi w nocy poniżej -30°C. W miarę upływu czasu góra coraz rzadziej pokazywała swoją twarz, nadciągały coraz gęstsze chmury. Po długiej dwutygodniowej walce stanął obóz II (6850 m). Mimo, że został postawiony prowizorycznie, resztkami sił, jego powstanie powitaliśmy z westchnięciem ulgi. K2 dało wydrzeć sobie kolejny kawałek. Jednak zaraz potem potężny wiatr zmiótł namiot dwójki dosłownie znad głów Maćka Pawlikowskiego i Darka Załuskiego, którzy ledwie uszli z tej nocnej wichury z życiem.

Zaraz potem odeszło od nas trzech wspinaczy ze Wschodu. Z zaproszonej czwórki pozostał tylko Denis (Denis Urubko z Kazachstanu - Red.), który stwierdził, że z wyprawą się przyjeżdża i z wyprawą opuszcza się górę. Decyzja wspinaczy zapewne jeszcze przez długi czas będzie wzbudzać burzliwe dyskusje. Jednak zniszczenie dwójki i silne osłabienie składu tylko dodało nam skrzydeł. Szanse drastycznie malały z dnia na dzień, mimo to pracowaliśmy w dwójnasób i dopiero wtedy staliśmy się jedną skonsolidowaną ekipą. Do akcji włączyli się także chłopcy dotychczas nas wspomagający, nazywani przez nas „support team". Poprzednio ich głównym zadaniem był transport zaopatrzenia z Bazy Pośredniej do Bazy Głównej, teraz z ochotą rzucili się na górę.

Dzięki wspólnej pracy i determinacji Krzyśka stanął obóz III. Jednak Czogori powoli eliminowała swoich przeciwników. Wiatry się wzmagały, mróz stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Wszyscy już odczuwali zmęczenie nie tylko walką, ale także już ponad miesięcznym pobytem w bazie. Powyżej dwójki zdolnych do pracy pozostało niewiele osób, liczył się Denis, Leader, Marcin Kaczkan oraz ja. Z Denisem i Marcinem stworzyliśmy silną trójkę, wieszaliśmy kolejne metry lin. Wiatr targał nami na poręczówkach, górę spowiła nieprzyjemna mgła. W ciągu czterech kolejnych tygodni była widoczna może ze dwa dni. Podczas jednego z ostatnich wyjść pracowaliśmy na górze ponad tydzień, z czego cztery dni spędziliśmy w trójce i powyżej. Marcin wycofał się do bazy, ja z Denisem poszliśmy jeszcze do góry. Mimo huraganowego wiatru i kłopotów z rozbiciem namiotu, udało nam się w końcu rozstawić upragnioną czwórkę. Kiedy siedziałem w małym namiocie, rozgrzewałem poodmrażane palce u nóg nad ledwie pracującym „prymusem", dotarło do mnie, że zdobycie szczytu staje się coraz bardziej realne. Co więcej, wiedziałem, że mam duże szanse na atak szczytowy…

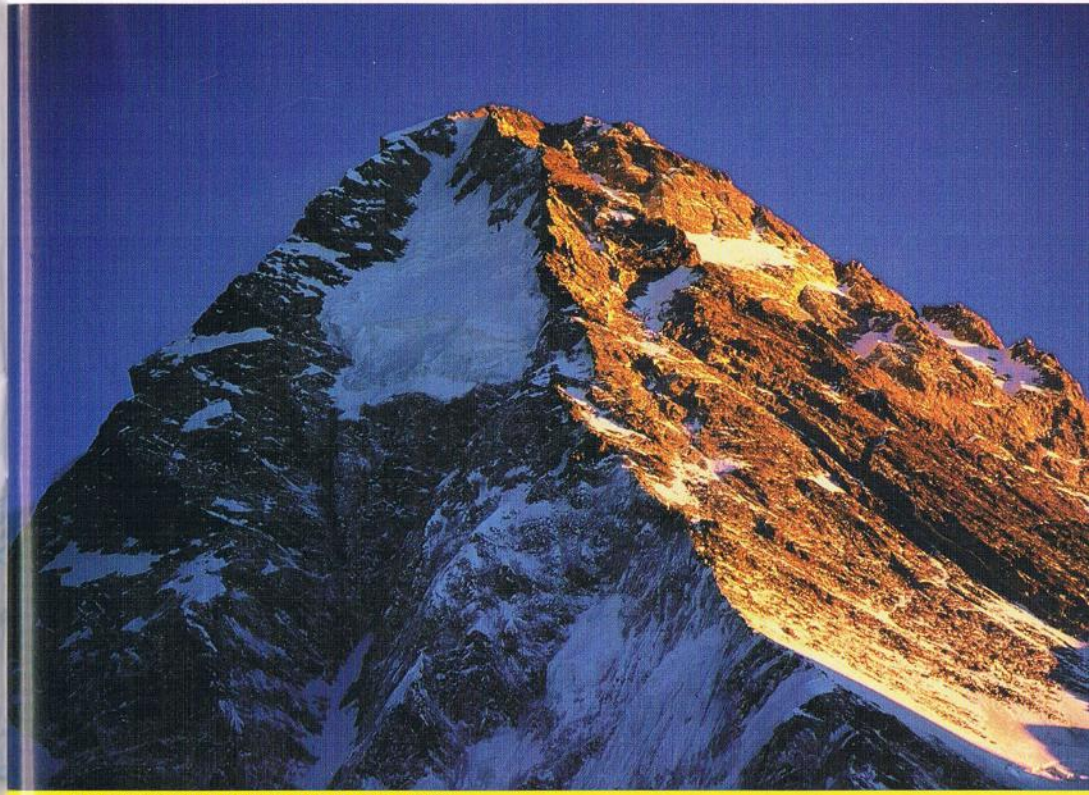

Kopuła szczytowa w świetle zachodzącego słońca

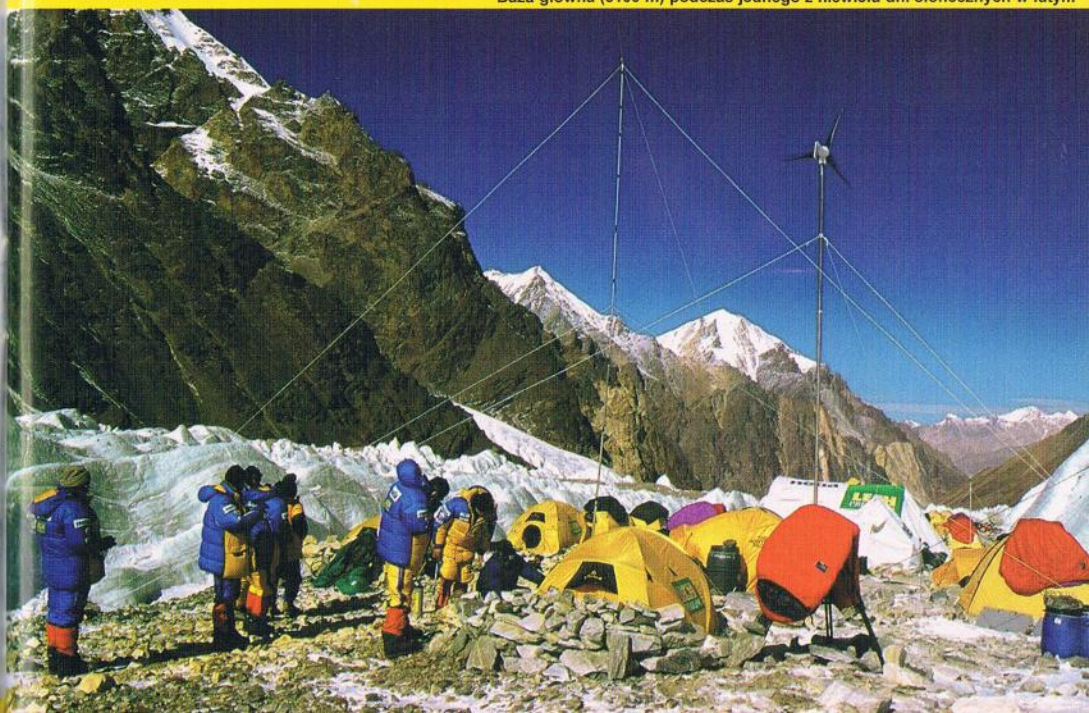

Baza główna (5100 m) podczas jednego z niewielu dni słonecznych w lutym

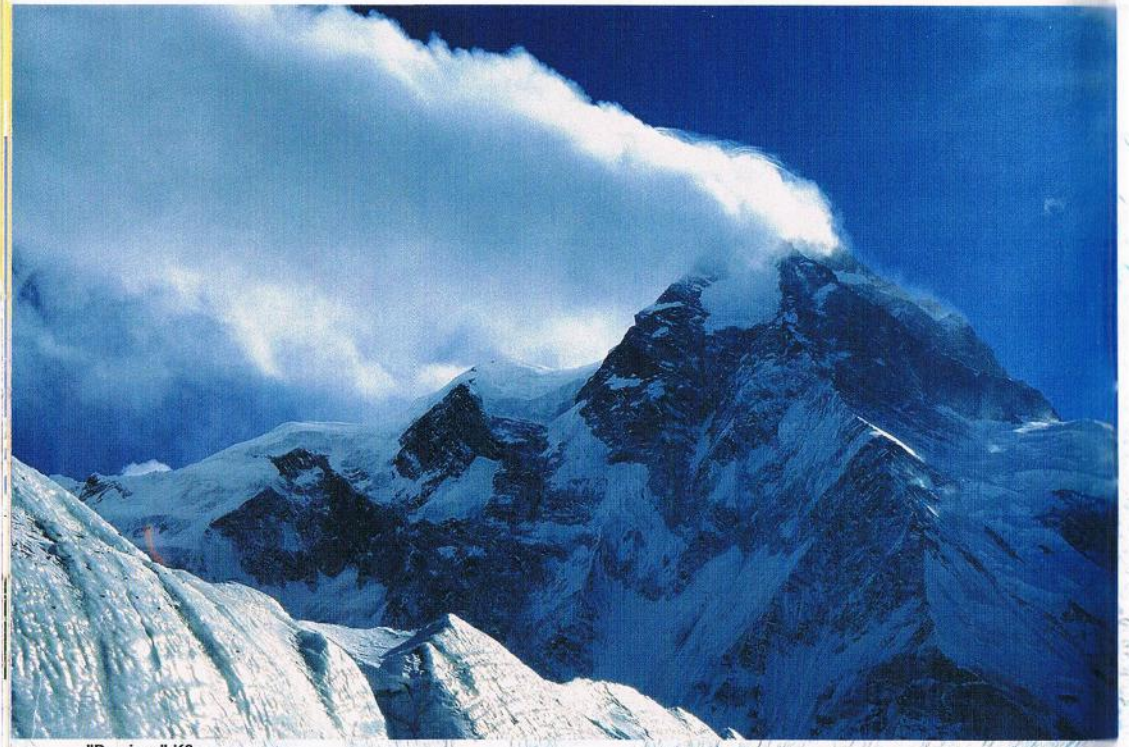

"Dymiące" K2

Zeszliśmy do bazy z Denisem pełni jak najlepszych myśli, mimo że prognozy pogody, które regularnie dostawaliśmy z Pakistanu, z dnia na dzień były coraz gorsze. Nadchodziło potężne załamanie pogody. W bazie zostałem sprowadzony na ziemię, moje marzenia o ataku szczytowym znikły razem z wiadomością, że mam tak poodmrażane nogi, że już nie mogę wyjść do góry. Z summiterów pozostał Denis, niewątpliwy faworyt tej wyprawy, człowiek-maszyna; został Leader, który mimo kontuzji nogi rwał się do góry oraz Marcin. Tylko ta trójka była w stanie iść do góry, lecz jedynie Denis był dostatecznie zaaklimatyzowany.

Pierwsze wyjście do góry na rekonesans, droga z bazy głównej pod ścianę

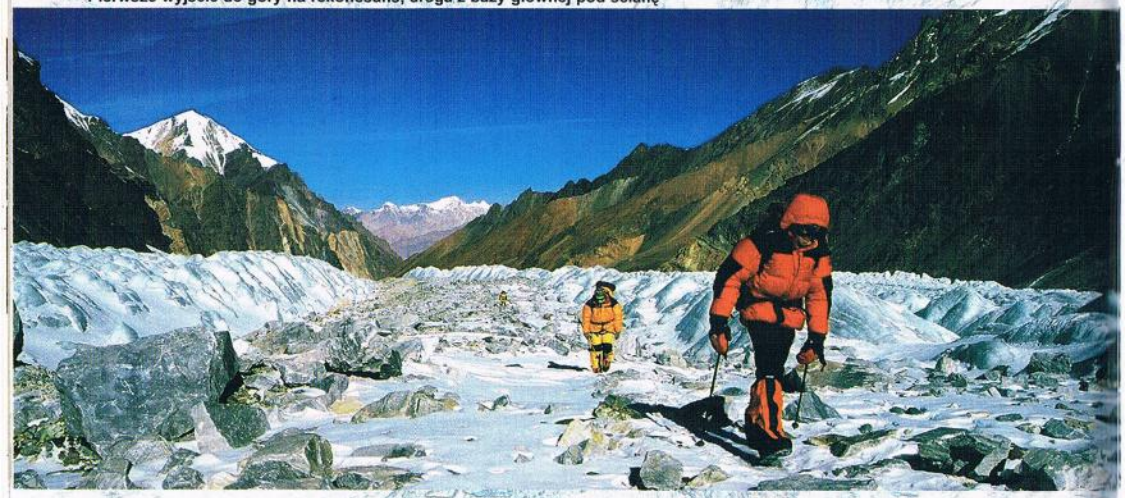

Kolejne dni upływały na oczekiwaniu na jakiekolwiek okno pogodowe. Wichura szalała, mgła skryła całą górę. Baliśmy się, że z naszych obozów nic nie zostanie. W końcu wiatr trochę przycichł. I choć pogoda ciągle była bardzo nieprzyjazna, nie mogliśmy dłużej czekać. Kilkadziesiąt dni w bazie znacznie nas osłabiło. Ruszył pierwszy zespół na rekonesans. Jedynka stała. Dzień po nim wyszli też Denis z Marcinem, z zamiarem przeprowadzenia ataku szczytowego, jeśli tylko pogoda pozwoli. Kolejnego dnia wyruszył Krzysiek, chciał połączyć się z poprzedzającą go dwójką i także zaatakować szczyt. Niestety, pierwsza dwójka nie była w stanie przedrzeć się powyżej obozu pierwszego, zawrócili.

Denis z Marcinem kontynuowali wspinaczkę i po długim dniu osiągnęli dwójkę. Namiot stał nienaruszony. Obóz trzeci także oparł się huraganowi. Kiedy Denis i Marcin dotarli w okolice czwórki okazało się, że nie zostało po niej śladu. Słychać było podczas rozmów przez radio, że cztery dni wspinaczki w tak silnym wietrze i mrozie dały się im mocno we znaki. Do trójki dotarł Leader. Kolejny dzień miał być dniem albo ataku, albo kładzenia ostatnich 250 metrów poręczówek, do wyjścia na potężny kilkuset metrowy lodowiec spływający ze szczytu. Niestety, rankiem okazało się, że Marcin jest bardzo osłabiony. Wszyscy w bazie zamarli. Do góry ruszyły natychmiast kolejne zespoły, w razie gdyby musiała zostać przeprowadzona akcja ratunkowa. Na szczęście Denis jakoś wyprowadził Marcina z namiotu i udało im się zejść najpierw do trójki, a potem niżej. W miarę schodzenia Marcin odzyskiwał siły. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

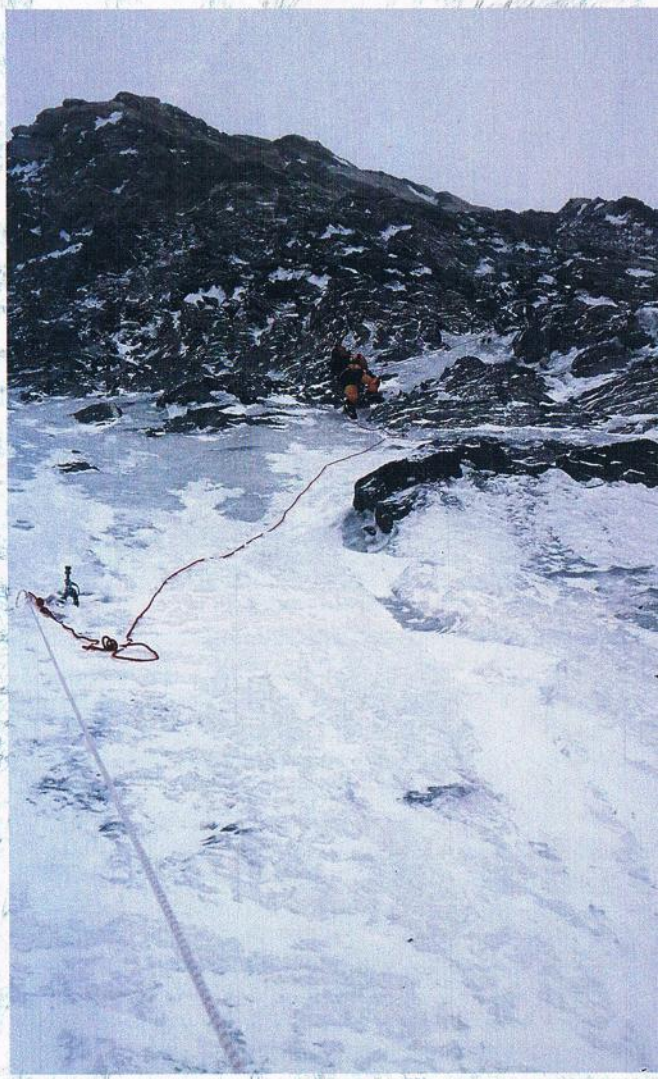

Pod skalną barierą na drodze pomiędzy obozem I, a obozem II, wysokość ok. 6400 m

I to była ostatnia próba pokonania K2. Wiatr o niesamowitej sile, który szalał przez kolejne dni, zaczął niszczyć nawet namioty bazowe. Stawało się jasne, że nikt już nie pójdzie do góry, że Czogori po raz kolejny odrzuciła śmiałków usiłujących wedrzeć się na nią zimą. Może następnym razem.

Jeden z obozów na wyrąbanej w ścianie platformie

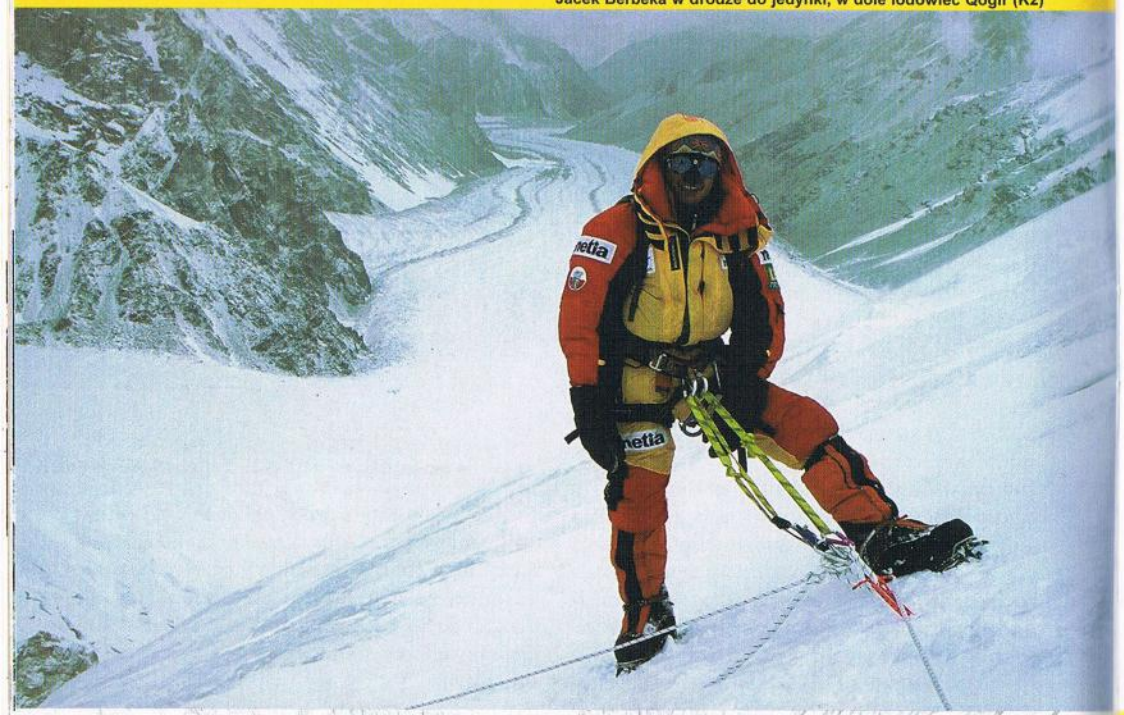

Jacek Berbeka w drodze do jedynki, w dole lodowiec Qogir (K2)

Założenie obozu IV, 12 luty 2003

L - lider (Krzysztof Wielicki)
P - Piotrek Morawski

godz. 18.00

L: *Piotrek, Denis, Piotrek, Denis, over..., camp four, camp four, over...*

godz. 18.15

P: *Cześć Krzysiu, pozdrawiam z czwóreczki. Dostało mi się radyjko. Wysokości jeszcze nie znam dokładnie, gps-a dopiero co odpaliłem. Jesteśmy 100 metrów powyżej tego, co byliśmy wczoraj. Nad nami widnieje kuluar, po prawej stronie, przy czym nie wydaje się, żeby było można iść lewą stroną. Prawa strona się zupełnie narzuca, widać jakieś wypłaszczenie, tak ponad 100 metrów nad nami. Oczywiście nie byliśmy w stanie dojść. Wyrąbaliśmy platformę, nasz namiot znajduje się jeszcze na jakimś namiocie, ogólnie widać, że jest tutaj jakieś obozowisko. Jest to takie stożkowate plateau, po lewej jest już początek seraka. Odbiór.*

L: *Rozumiem, że nie rozbijaliście się tam, gdzie były ślady starych namiotów, przy których stałeś, tylko ciut wyżej, po prawej. Na miejscu naszych i rosyjskiego obozu z 1996 roku. Odbiór.*

P: *Tak, rozbiliśmy się wyżej, 100 metrów liny nie starczyło, tam jeszcze trochę zostało. Jesteśmy dokładnie na takiej fajnej skałce. Odbiór.*

L: *No to dokładnie na naszym miejscu i rosyjskim. Bardzo dobrze. Jak będziesz miał pomiar, to prosilibyśmy, będziemy na nasłuchu, o wynik. Powiedz mi, jak się czujecie w tej chwili. Odbiór.*

P: *W tej chwili, jest to dobre pytanie, bo tutaj w górze może nie wiało, było kurewsko zimno. Jesteśmy praktycznie cali zamarznięci i aż się boję ściągać butów. W każdym bądź razie* [trzaski] *dały nam w kość* [trzaski].

L: *Piotrek, nie aż się boisz, tylko trzeba ściągnąć buty i wal, wiesz, masaż, masaż plus płyny i masuj te palce, bo chyba to jest najlepsze rozwiązanie. A co Denis taki smutny też? Odbiór.*

P: *Wiesz co, nie wiem, czy to wpływ wysokości, czy coś. On coś mówi, ja coś mówię, tu się kłócimy, tam coś nic nie mówimy. Jakoś, tak jakoś ogólnie nie mogliśmy się dogadać. Zaraz pewnie nam przejdzie, jak się ogrzejemy, bo już siedzimy w tym małym namiociku i trzęsiemy się z zimna. I to nie w przenośni tylko dosłownie, po prostu latamy cali i czekamy, aż ten palniczek ogrzeje tutaj trochę wewnątrz. Odbiór.*

L: *Piotrek, dobra, zajmijcie się sobą, my jesteśmy na nasłuchu. Jak już pierwszy przypływ ciepła będziecie mieli, to prosimy o telefon. Macie tu pozdrowienia od wszystkich. Przyszła tu grupa przyjaciół do nas, jesteśmy w komplecie. Więc nie dajcie się. I pamiętaj o swoich palcach Piotrek. Odbiór.*

P: *Ok, serdeczne pozdrowienia w takim razie dla wszystkich z czwóreczki.*

godz.18.50

P: *Odpaliłem gps-a. Jak na mój gust pokazuje trochę mało, bo 7630.*

L: *No tak mniej więcej by było. Może 7650. Taka jest rzeczywistość.*

godz. 19.10

L: *Obóz IV do bazy.*

P: *Witamy, witamy. Odbiór.*

L: *Piotrek, najpierw pytanie o palce od wszystkich. Odbiór.*

P: *Słuchaj, jest tak... miałem... no, właściwie jest tak jak było... trochę bardziej zsiniały, znaczy ta sina granica się poszerzyła. Mowa tutaj o tych dużych palcach i tych obok. Czarne plamy nowe się nie pojawiły, pęcherzy też żadnych nie mam. Głównie chodzi o to, że są sine. Właśnie teraz siedzę i je rozcieram. No i tam na innych palcach takie sinawe, ale to szybko zniknie. Odbiór.*

L: *No fajnie, czyli nie tak źle. Ja się na tym nie znam, ale noże tu dwa doszły, nowe, ostre widzę. To myślę, że doktor zrobi użytek z tych noży. No, ale wiesz, da się żyć bez palców u nóg. To się nie przejmuj tym. Natomiast... tą sprawę możemy już zamknąć. Niemniej dam Ci jeszcze doktora, aby Cię pocieszyć.*

P: *Tylko jeszcze chciałbym dodać co do tych butów, są po prostu, tam zamknąć uszy kto wrażliwszy, chujowe, za przeproszeniem. Po prostu tragedia. Kiedy zdjąłem butki, miałem przyklejone warstwą lodu do skarpetek wkładki. Botki całe sztywne od lodu, po prostu masakra.*

Polar sun spire

Tekst i zdjęcia: Mark Synnott
Tłumaczenie: Krzysztof Wasilewski

Polar Sun Spire: opowiadanie pt. „Second Semester" autorstwa Marka Synnotta ukazało się w „Climbing Magazine" (nr 169). KW Warszawa otrzymał zgodę autora na tłumaczenie opowiadania i jego publikację w „A/Zero".

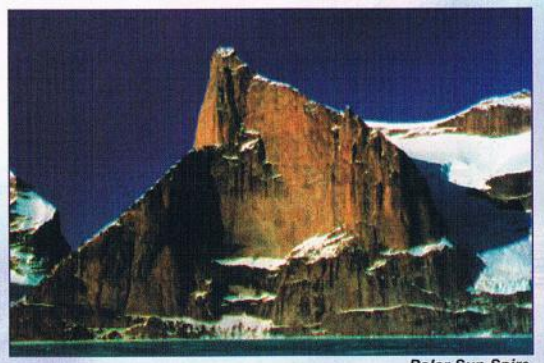

Polar Sun Spire

Zespół:
Mark Synnott
Warren Holinger
Jeff Chapman
Czas: maj-czerwiec 1996
Miejsce: Sam Ford Fjord, Ziemia Baffina
Sponsor: North Face

Pomiary z 1998 r. ustaliły wysokość wierzchołka Polar Sun Spire na 1524 m. Urwisko zaczyna się w oceanie, tak więc ściana ma prawie milę wysokości i jest zdecydowanie największa na Ziemi Baffina. Spędziliśmy w niej 39 dni.

Było regułą, że ten, kto napełni butelkę na mocz, musi wyjść z namiotu i wylać zawartość. Kiedy obudziłem się, czując gwałtowną potrzebę i zobaczyłem, że obydwie butle są pełne, rzuciłem potok bluzgów, chcąc obudzić świntucha, który narozrabiał. Wiatr szarpał w nocy ściankami namiotu z taką siłą, że i tak prawie nie mogłem spać, więc podczas gdy Jeff i Warren udawali śpiących, zasiadłem za stołem, aby uruchomić dwie maszynki do gotowania i grzejnik naftowy. Wkrótce zacząłem pitraszenie i nie pozostało mi nic innego, jak rozkoszować się ciepłem i wygodą namiotu, podczas gdy dookoła rozszalała się na dobre arktyczna burza. Nawet w najgorszych snach nie mogłem sobie wyobrazić, że w ciągu następnych trzydziestu sekund namiot po prostu odfrunie. Gdy tylko zaparzyłem kubek kawy, gwałtowny podmuch wiatru zerwał bezpodłogowy namiot. W jednej chwili półnadzy miotaliśmy się w panice w poszukiwaniu ubrań, rękawic i butów, które szybko znikały w wirującej dookoła nas bieli.

Ze skarpetami zamiast rękawiczek, butami nie od pary oraz sztuką polarowej bielizny zamiast czapki, udało mi się w końcu dowlec do namiotu naszych przewodników, który również się zapadł. To, co ujrzałem w środku, wyglądało jak obrazek z chorej kreskówki - chichoczący szaleńczo Joshua, boso i w T-shircie, z końcówką papierosa w ustach. Musiałem wyglądać dość żałośnie, bo mój widok wywołał kolejną salwę śmiechu. W końcu i ja zacząłem się śmiać. Z mojej poprzedniej podróży na Ziemię Baffina zapamiętałem, że Inuici traktują śmiech jako rodzaj remedium na ciężkie warunki klimatyczne ich krainy. Kiedy wszedłem do namiotu przewodników, śmiali się właśnie z jakiegoś sobie tylko znanego żartu. Przysiągłbym, że „dymili" coś po kryjomu, bo zawsze, gdy widziałem ich razem, chichotali histerycznie.

Nasza decyzja, aby założyć obóz bezpośrednio pod północną ścianą Polar Sun Spire nie była trafna. Inuici ostrzegali nas, że miejsce jest bardzo odsłonięte, ale my byliśmy całkowicie pochłonięci sprawą naszego pierwszeństwa przy poprowadzeniu drogi. Mieliśmy powody do niepokoju, bo doszła do nas wiadomość radiowa, że japoński zespół przybył do Clyde River z zamiarem wspinania się dokładnie na tej samej ścianie, na której zaatakowanie czekaliśmy dwa lata. Jeśli miało by nastąpić jakieś „zwarcie", chcieliśmy wysforować się przed nich, poręczując parę pierwszych wyciągów.

Do Sam Ford Fjord przybyliśmy późno, ponieważ trzy dni spędziliśmy na eksploracji położonych na północy fiordów Gibbs i Clark. Ściany, które tam zobaczyliśmy były tak imponujące, jak opisali nam tubylcy. Trzeba powiedzieć, że jest tam jeszcze przynajmniej dwadzieścia innych fiordów, z których wielu nie oglądał nikt poza krajowcami. W głowie się nie mieści, ile jest tam nienazwanych lub niewidocznych ścian. Naliczyłem więcej niż dziesięć ścian wysokich na ponad 900 metrów i jedną wolnostojącą turnię o wysokości 1200 metrów, na wyspie Sillem we fiordzie Clark. Urwisk liczących 900 metrów nie sposób zliczyć. Największe wrażenie zrobiła na nas Ship's Prow na wyspie Scotta - stopniowo przewieszający się filar skalny, który zaczyna się bezpośrednio w oceanie i mierzy około 1000 metrów.

Warren Hollinger i ja, razem z Jerrym Gore'em byliśmy już w Sam Ford Fjord podczas sześciotygodniowej wizyty na przełomie maja i czerwca 1995 r. Polar Sun Spire była wtedy naszym głównym celem, ale kruszyzna w ścianie i jej północna wystawa zmusiły nas do odwrotu. Poprowadziliśmy wtedy jednak dwie nowe szóstkowe drogi na innych urwiskach, wiedzieliśmy więc, że przy odpowiednim planie i silnej motywacji zrobienie nowej drogi środkiem ściany o wysokości 1200 metrów jest wykonalne. Aby umocnić się w tym zamiarze, zostawiliśmy u Illauq, w Clyde River solidną porcję szpeju.

Pomimo tego we wrześniu nasz plan o mało się nie załamał. Warren zaskoczył mnie oświadczając, iż ma zamiar w marcu się ożenić. Wątpił, czy będzie miał pieniądze i, co ważniejsze, zgodę swojej przyszłej żony na podróż na Ziemię Baffina. Nie mając Warrena w składzie ekipy, zacząłem się zastanawiać, czy lepiej nie spożytkuję pieniędzy, wybierając się na wspinaczkę w jakieś nieznane mi miejsce w cieplejszym klimacie.

Miejsce Warrena zajął jeden z moich długoletnich przyjaciół - Jeff Chapman. Dorastaliśmy razem, ścigając się na nartach w Mt. Washington Valley (New Hampshire) i przeżyliśmy wspólnie wiele przygód. Nasze zainteresowania od dawna obracały się wokół ryzykownych przedsięwzięć; w dzieciństwie założyliśmy nawet klub Szalonych Dzieciaków, aby wszyscy z naszej paczki narciarskiej dostawali codziennie swoją porcję wrażeń. Podczas gdy trenerzy zarządzali przerwę na obiad, my połykaliśmy cokolwiek po drodze nad rzekę, i spędzaliśmy godzinkę, skacząc o tyczce przez bambusowe furtki, wspinając się na rury wodociągowe czy łażąc po kruchym lodzie. Jeff był zawsze dobry w pozyskiwaniu funduszy, uznałem więc, że świetnie nadaje się do tej roli i teraz.

W końcu jednak myśl o tym, iż nie weźmie udziału w wyprawie stała się dla Warrena tak nieznośna, że jakoś udało mu się przekonać żonę, by zgodziła się na jego wyjazd. Z Warrenem na pokładzie nasze akcje wzrosły. Jest on najbardziej pewnym swych umiejętności gościem, jakiego znam i oświadczył mi zdecydowanie, że nasz sukces mamy w kieszeni. W przeciwieństwie do niektórych moich znajomych, potrafiących dużo mówić, Warren jest człowiekiem czynu. Poprzedniego roku wzięliśmy się wprawdzie porządnie za łby, ale jak dotąd przyłożył mi tylko raz podczas sprzeczki po pijanemu.

Jak się okazało, niepotrzebnie tak panicznie obawialiśmy się konkurencji ze strony Japończyków. Koshi, Kozo, June i Uti byli świetnymi gośćmi i nie zamierzali w żaden sposób ukraść nam pierwszego przejścia ściany. Byli jednak tak nastawieni na łojenie na Polar Sun Spire, że zdecydowali się zaporęczować pierwsze trzysta metrów drogi na lewo od naszej i wrócić za rok, żeby ją dokończyć. Czuliśmy się trochę nieswojo, dzieląc ścianę z innym zespołem, podczas gdy obok rozpościerały się całe połacie dziewiczej skały. Japończycy dotrzymali jednak słowa i po dwóch tygodniach opuścili fiord.

Zmobilizowanie się do rozpoczęcia wspinu utrudniał fakt, że nigdy nie doświadczyliśmy tak kiepskich warunków pogodowych, jakie spotkały nas na Ziemi Baffina. W początku maja temperatury

wahają się tam między 0-10°C i nawet najlżejszy wiatr może uczynić działalność w ścianie nieznośną. Warren przypominał mi o tym, jak głupio wybraliśmy cel wyjazdu, za każdym razem, gdy rozpamiętywałem powody, dla których się tutaj znalazłem: *„Człowieku, przecież to jest właśnie to, na co czekaliśmy przez dwa lata"*.

Poważną przeszkodą podczas przygotowań do wejścia w ścianę były porywiste wiatry, wiejące podczas burz śnieżnych. Co się stanie z portaledge'em przy wietrze wiejącym z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę? Czy przetrwamy, jeśli zerwie tropik? Co będzie, jeśli spadnie nam śpiwór, maszynka do gotowania albo, co najgorsze, cały wór transportowy? Myśl o utracie najbardziej newralgicznej części wyposażenia była zawsze moją największą obawą w czasie wspinaczki w wielkiej ścianie. W innych górach nie byłoby to aż takim problemem. Ziemia Baffina to zupełnie inna historia - spadnie portaledge i kończy się jako sopel lodu.

Ręcznie rysowane topo pokazywało elementy rzeźby, którymi miała prowadzić nasza droga, ale przypatrywałem się ścianie przez lornetkę tak długo, że w zasadzie go nie potrzebowałem. Po kolei: „First Arch", „Second Arch", aż do miejsca nazwanego „Dogleg", potem wprost do góry, do dachu „Wicked Brow Roof". Nadal ostro dyskutowaliśmy nad kilkoma wariantami drogi, ponieważ Warren przez cały czas optował za wyborem tych trudniejszych, podczas gdy ja broniłem naturalnej linii drogi. Jeff zazwyczaj nie zajmował stanowiska w naszych sporach, ale akurat w tej kwestii poparł mnie. Powoli docierało do nas, że Warren martwi się w zasadzie o to, że wspinaczka może nie być dostatecznie katująca.

Droga, którą wypatrzyliśmy w zeszłym roku, wiodła przez spiętrzenie ponad pierwszą śnieżną półką, a zaczynała się formacją nazwaną przez nas „Arch Enemy", czyli systemem przewieszających się zacięć długości 150 metrów, zbudowanych z krystalicznego niebieskiego gnejsu z wstęgowatymi warstwami wapnia perłowego koloru. Z początku należało załoić filar z prawej strony wielkiego płytowego amfiteatru, aby znaleźć się na pierwszej śnieżnej półce, około 300 metrów nad ziemią.

Podczas prowadzenia często śnieżyło, dodatkową atrakcją były więc pyłówki wciskające śnieg za ubrania i ograniczające widoczność. Wspinanie z gołymi rękami nie wchodziło w rachubę, więc wiele odcinków drogi musieliśmy przehaczyć.

Po trzech długich, pracowitych dniach, środkiem amfiteatru biegło pięć sześćdziesięciometrowych poręczówek. Nie było więc innej możliwości, jak tylko wypchać nasze pięć worów wypełnionych szpejem i jedzeniem i jedzeniem wystarczającym na miesiąc czasu. Problemem było to, że tak naprawdę nikt nie wiedział, ile jedzenia zabrać. Jeff twierdził stanowczo, że idziemy na zbyt lekko, w czym go zresztą popierałem - stos żarcia był wprawdzie duży, ale przecież trzech facetów potrafi przez miesiąc sporo zjeść. Warren, z kolei, był zdania, że zabieramy w ścianę za dużo, tak więc wybuchła solidna kłótnia, w czasie której Jeff stwierdził, że nigdy nie czuje się dość najedzony.

I rzeczywiście - facet potrafi zjeść. Nie raz widziałem go w akcji. Warren był przerażony. Żartując, spytał Jeffa, czy ten mógłby zjeść cały nasz zapas żarcia na raz. Jeff spojrzał na wór z jedzeniem i skinął głową: *„Tak, myślę, że tak"* - powiedział. - *„Jeśli nie jednego dnia, to przez dwa na pewno"*. Wiedziałem, że Jeff mówi to zupełnie poważnie. Warren i ja mieliśmy więc uzasadnione powody do obaw. Czy Jeff straci nad sobą kontrolę i zje wszystko, gdy my będziemy się wspinać? Czy mamy go może głodzić, ściśle wydzielając dzienne racje jedzenia?

Podobnie jak w bazie, kiedy nadszedł czas, aby opuścić nasz trzyosobowy portaledge na pierwszym biwaku w ścianie, ciężko nam było się zmobilizować. Czasami pogoda tak dawała nam w kość, że nie mieliśmy ochoty nawet wstawać. Pamiętam, jak leżałem przez trzy dni prawie bez ruchu w dolnym hamaku portaledge'u, który nazwaliśmy „Liitle Rico". Mało jedliśmy i po prostu zahibernowaliśmy się, czekając na poprawę pogody. W końcu dotarło do nas, że albo będziemy wspinać się w dupówie, albo nie będziemy wspinać się wcale. W tej sytuacji trudno było być zmobilizowanym.

Bez dwóch zdań, najgorszym zadaniem było asekurowanie. Na szczęście sprowadziliśmy sobie pojedynczy portaledge jako siedzisko dla asekurującego. Prowadzenie większości wyciągów przez spiętrzenie ściany zajmowało przeciętnie około dziesięciu godzin, a zdarzyło się też kilka piętnastogodzinnych. Dla prowadzącego był to niesamowity test wytrzymałości, ale siły dodawały mu emocje związane z poruszaniem się w nieznanym terenie. Dla asekurującego była to walka z zimnem i nudą. Nawet leżąc w śpiworze i na karimacie, asekurujący miał zawsze zmarznięte stopy.

Dziesiątego dnia w ścianie Jeffa i mnie spotkała po raz kolejny przyjemność małpowania w wolnym zwisie przez 150 metrów do najwyższego osiągniętego punktu. Mglista pogoda sprzyjała powstawaniu szronu i liny często pokrywał łuskowaty nalot. Ten dzień był dniem próby dla Warrena i byliśmy obaj o to obłędnie zazdrośni. Zanim zacząłem prowadzić, Jeff powiedział mi, że przestaje go to wszystko bawić i zaczyna się poważnie zastanawiać, po co to robi. Wiedziałem, że od kilku dni coś go gryzie, bo często miał minę jak po zjedzeniu cytryny. Czekał kilka dni na przypływ psyche, ale następowało to powoli. Najwyraźniej musiał po prostu zacząć działać, ponieważ gdy tylko skończyłem prowadzić, w jego nastroju zaszła całkowita zmiana. Nie wiem, co się stało, ale od razu poczułem się lepiej widząc, jak się uśmiecha i cieszy z moich świńskich dowcipów.

Po powrocie na biwak, Warren miał dla nas niezbyt miłą wiadomość. Spędził cały dzień, topiąc wodę na naszą dalszą wspinaczkę. Dwadzieścia galonów, które do tej pory napełnił, zamarzło - nie częściowo, lecz całkowicie. Całą noc pracowaliśmy, aby je roztopić. Byłoby to łatwe, gdybyśmy mogli rozciąć butelki, ale ciągle były nam potrzebne. Ostatecznie pochłonęło to trzy razy więcej czasu i paliwa niż zazwyczaj.

Zaporęczowaliśmy ponad 200 metrów spiętrzenia ściany, co oznaczało przełojenie około 500 metrów w prawie 1200 metrowej ścianie. Mieliśmy dwie możliwości: zjechać do bazy, aby uzupełnić zapasy jedzenia i paliwa, albo zdjąć poręczówki i urządzić sobie wycieczkę narciarską.

Nasz portaledge w ścianie

Już w bazie zatelefonowaliśmy do naszego „zaopatrzeniowca" - Beverly Illauq, aby dać jej znać, że idzie nam wolno i prawdopodobnie spóźnimy się na umówiony termin odlotu, czyli 16 czerwca. Był 6 czerwca. Obgadaliśmy sprawę zmiany terminu wiedząc, że istnieje wtedy realne zagrożenie. Zeszłego roku lód zaczął pękać pod koniec czerwca, a jak wszystko na to wskazywało, do tej pory będziemy jeszcze w ścianie. Beverly zgodziła się zorganizować i zostawić w bazie jedzenie na sześć tygodni, gdyby tak się stało.

Po osiągnięciu końca zaporęczowanego odcinka, czyli ponad 500 metrów wysokości, rozłożyliśmy się na naszym pierwszym wiszącym biwaku w spiętrzeniu ściany, mając pięć galonów paliwa i jedzenia na trzydziestodniowy wspin. Nasza droga przewieszała się solidnie i dziko trawersowała, więc zjazd byłby niemożliwy. Dzienna dawka słońca w ścianie wynosiła trzy godziny przy dobrej pogodzie, ale większość dni była pochmurna, więc żyliśmy w mglistym mroku niszczącym psyche.

Drugą półkę śnieżną, już nad spiętrzeniem ściany, osiągnęliśmy dwa tygodnie później z jednym tylko galonem wody, z holowanych dwudziestu siedmiu. Mieliśmy szczęście, biorąc pod uwagę fakt, że na odcinku prawie sześciuset metrów nie było ani jednej półki, na której leżałby śnieg.

Byliśmy już w ścianie na tyle długo, że zaczęło się robić naprawdę syficznie. Na domiar złego duża część syfu pochodziła z mojego śpiwora. Syntetyk, przeznaczony do używania w temperaturze do -30°C, był w rzeczywistości zbyt ciepły i często pociłem się w nocy. Karimat blokował odprowadzanie potu ze śpiwora i powodował jego skraplanie się, przez co śpiwór był do cna nasiąknięty potem, który przedostawał się przez oblepioną brudem bieliznę. Tak więc nie tylko ja ale i mój śpiwór był sztywny od brudu. Na dodatek Warren, z niewiadomych przyczyn, poprzysiągł sobie, że przez cały wyjazd nie zmieni bielizny; zresztą teraz nie miało to znaczenia, bo i tak by jej już nie zdołał od siebie odkleić.

Cały czas dużo żartowaliśmy, była to metoda na zapomnienie o ciasnocie portaledge'u i wszechogarniającym brudzie. Warren ułożył o mnie piosenkę, którą śpiewał z upodobaniem, ilekroć wypadła moja kolej na nocleg w „Little Rico", czyli dolnym hamaku. W piosence miałem ksywkę „Chachi" - Warren dręczył mnie nią bezustannie, kiedy tylko byłem na dole. Czasami wszyscy trzej na raz śpiewaliśmy obraźliwe piosenki o sobie nawzajem. Powstawał wtedy zupełnie niezrozumiały bełkot; zdawało mi się, że trafiłem do wariatkowa. Ponieważ Warren jest ratownikiem medycznym, zasypywałem go bezustannie pytaniami o różne paskudne choróbska i inne dziwaczne przypadki medyczne. Nie było tak schorowanego tematu, przy którym nie zatrzymalibyśmy się choć na chwilę.

Były oczywiście i trudne momenty. Czasami moja potrzeba prywatności stawała się tak paląca, że świadomość, iż nie mogę uwolnić się od partnerów, doprowadzała mnie prawie do obłędu. Najsilniej czułem to wtedy, gdy Jeff i Warren nękali mnie jednocześnie.

Tak było na biwaku pod „Wicked Brow". Wszystko zaczęło się od tego, że spytałem Jeffa, czy mógłby się posunąć, bo chcę skorzystać z „toalety". Właśnie wróciłem do portaledge'u kompletnie wypruty po oczyszczeniu trudnego wyciągu z trawersem. Widok Jeffa rozwalonego w namiociku i niemającego zamiaru się ruszyć, rozdrażnił mnie jeszcze bardziej. W efekcie zrobiłem kilka uszczypliwych uwag, a Jeff w końcu mi się odgryzł. Uderzył w mój najsłabszy punkt mówiąc, że chcę nim dyrygować i że zawsze muszę mieć rację. Do sprzeczki wkrótce dołączył się leżący w „Rico" Warren, popierając Jeffa, podczas gdy ja wystawiłem głowę z namiotu, paląc papierosa i trzęsąc się jak osika. Jedynym moim pragnieniem było uciec od nich obu. Jeff w międzyczasie wcisnął się najdalej, jak tylko mógł do swojego kąta - byliśmy więc na siebie skazani.

Małpowanie w przestrzeni

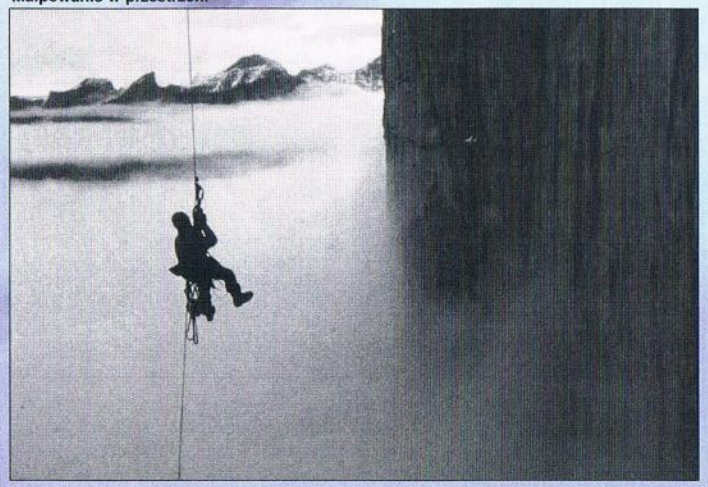

Niestety, będąc w ścianie, chociaż byś wychodził z siebie, nie możesz zignorować partnera. Czasem gadaliśmy o tym i dochodziliśmy do wniosków, które nas uspokajały. Kiedy indziej pozwalaliśmy, aby problem jątrzył się i zaogniał, dopóki któryś z nas nie wpadł we wściekłość. Jednak zawsze jakoś znajdowaliśmy wyjście. Zazwyczaj kwestie rozstrzygała konieczność dalszego prowadzenia drogi.

Począwszy od drugiej śnieżnej półki, wspinaliśmy się prawą stroną ogromnego filara, który tworzył centralne spiętrzenie północnej ściany. Jakość skały zmieniła się całkowicie. Przewieszki, które przełoiliśmy były kruche, a rys jak na lekarstwo. Na filarze korzystaliśmy więcej z dobrodziejstw pogody, poza tym nieprzyjemna dotąd skała zamieniła się w piękny złoty gnejs, który tworzył rysy żywcem wyjęte z Doliny Yosemite. Teraz, kiedy pojawiła się rzeźba z prawdziwego zdarzenia, mogliśmy posuwać się znacznie szybciej. Nie sposób było jednak nie zauważać olbrzymich pęknięć w lodzie, które biegły pomiędzy brzegami fiordu. Dręczyło nas pytanie, czy Inuici będą mogli przez nie przejechać na skuterach śnieżnych. Jeśli nie będą w stanie dostarczyć do bazy dodatkowego prowiantu, zacznie się dla nas prawdziwa szkoła przetrwania. Nigdy nie polowałem i myśl o zabiciu foki nie była specjalnie pociągająca, ale, do diabła, zrobiłbym to bez wahania, gdyby groził mi głód. Jeff za to wydawał się stworzony do takich zadań i wiedziałem, że gdyby przyszło co do czego, pewnie pożarłby nas obu, Warrena i mnie.

Jedno pozostało niezmienne przez całą wyprawę - moja poranna chandra. Stało się dla mnie rutyną, że przekopywałem się przez wszystkie gówniane sprawy w moim życiu, kiedy oczy kleiły mi się tuż po przebudzeniu. Dużo myślałem o mojej byłej dziewczynie. Chciałem się z nią podzielić moimi doświadczeniami, ale wiedziałem, że tym razem nie będzie czekała na mnie w domu. Wspinanie zawsze było tylko moją sprawą i byłem świadomy, iż uważała mnie za samoluba. Moi rodzice często powtarzali podobną opinię i musiałem przyznać, że mieli rację - nikt, poza mną, na tym nie korzystał. Zaiste, gówniany wniosek. W dodatku z samego rana.

Tak samo jednak jak chwile złego nastroju, miewałem również momenty świetnego samopoczucia. Chociaż bałem się, opuszczając portaledge, było to doskonałym lekarstwem na chandrę. Prowadząc, często patrzyłem na zamarznięty ocean i odległy kontur postrzępionych wierzchołków i rozkoszowałem się tą samą samotnością, która wcześniej wpędzała mnie w tak podły nastrój. Teraz jednak było to uczucie dające mi siłę i zdecydowanie, potrzebne do podjęcia wysiłku wspinaczki. Widziałem, że Jeffa i Warrena także coś czasami gryzie, ale zazwyczaj nie mówiliśmy o swoich lękach i słabościach.

Po trzech tygodniach od wejścia w ścianę po raz drugi, zbliżaliśmy się w końcu do wierzchołka. Łatwo się mówi, że to nieważne, czy się stanie na szczycie czy nie, że celem jest wspinaczka sama w sobie. Prawda była taka, że gdybyśmy nie osiągnęli wierzchołka, bylibyśmy ogromnie rozczarowani. Nigdy w życiu nie pracowałem tak ciężko, aby cokolwiek osiągnąć i teraz, w miarę zbliżania się do końca, stwałem się nerwowy. Myśląc o szczycie czułem to samo, co czuję, gdy po raz pierwszy zbliżam się do dziewczyny, która mi się podoba - napięcie w klatce piersiowej powodujące szybsze bicie serca i pocenie się dłoni.

Wierzchołek często rozczarowuje wspinaczy, ale w tym przypadku mój wcześniejszy niepokój nie miał uzasadnienia i zwielokrotnił tylko moje doznania. Poświęciłem bardzo wiele, aby znaleźć się w tym miejscu: dom w Kolorado, dziewczynę, a także szansę na normalną pracę. Przez te 39 dni wspinaczki zastanawiałem się tysiące razy nad swoim postępowaniem. Czy było warto? Czy poświęciłem zbyt dużo w mojej samolubnej pogoni za przygodą? Wystarczyło jednak spojrzeć na Warrena i Jeffa zataczających się ze szczęścia i bełkoczących jak potłuczeni, żeby przekonać się, iż postąpiłem słusznie. Byliśmy zależni od siebie jak syjamskie trojaczki przez ponad miesiąc najbardziej intensywnych doznań, jakich każdy z nas kiedykolwiek doświadczył. Przez ten czas wiele razy doprowadzaliśmy się nawzajem do szału, ale teraz, kiedy tańczyliśmy ze szczęścia na szczycie, zupełnie przestało się to liczyć.

Nowa butelka 0,66l
Tylko nie mów,
że Cię to przerasta.

TYSKIE
1629

Pełny smak, pełna satysfakcja.

BERGELL

Tekst: Marcin Chmieliński
Zdjęcia: arch. Dorota Piasecka

Kiedy na jednym z ostatnich zebrań zarządu Naszego Klubu, jako jeden z celów tegorocznego obozu letniego wymieniono **Alpy Bergellu**, od razu poparłem ten pomysł. W rejonie tym, choć nie tak rozległym jak Alpy Chamonix, istnieją nie mniejsze możliwości przeżycia niezapomnianej górskiej przygody, zarówno przez starych wyjadaczy, jak i przez młodszych kolegów. Niesamowite widoki zapewniają wrażenia estetyczne, a ktoś, kto wspinał się głównie w tatrzańskim granicie, ze zdumieniem odkryje zupełnie nowe znaczenie określenia „lita skała". Występujący tam gruboziarnisty granit poprzecinany jest żyłami kwarcu, a jego kryształy są tak duże, iż często służą jako chwyty lub stopnie.

Szczególnych wrażeń dostarcza pierwsze wyjście na przełączkę pod Nordkantem i rzut oka na rozciągającą się poniżej i powyżej ścianę z nieodległym filarem Cengalo w tle. Widok ten, od którego zwątpienie rodzi się nawet w sercach najodważniejszych alpinistów, pozostał w mojej pamięci, od kiedy kilka lat temu wybrałem się w Bergell po raz pierwszy razem z parą Młodych.

Ściany Piz Badile i okolic to głównie wspinanie płytami i zacięciami, w dużej ekspozycji. Pomimo, iż niektóre standardowe drogi można pokonać bez młotka, to zabranie w rejon zestawu haków jest nieodzowne, podobnie jak podwójnej liny, ze względu na konieczność zjazdów. Drogi są zróżnicowane, od kilku do około trzydziestu wyciągów i trudnościach od IV- V, więc każdy może znaleźć coś dla siebie.

Należy tu wspomnieć, iż okolica Piz Badile słynie z niespodziewanych załamań pogody z burzami i opadami. Ponieważ wycofanie się z części dróg na dużych ścianach rejonu jest kłopotliwe, prognozie pogody należy poświęcić sporo uwagi. Również my przeżyliśmy sześciodniową dupówę, jednak przy wyśmienitym *der billigster Wein*, kupowanym w sklepie w Promontogno, czas wcale się nie dłużył.

Widok w górną część ściany Piz Badile

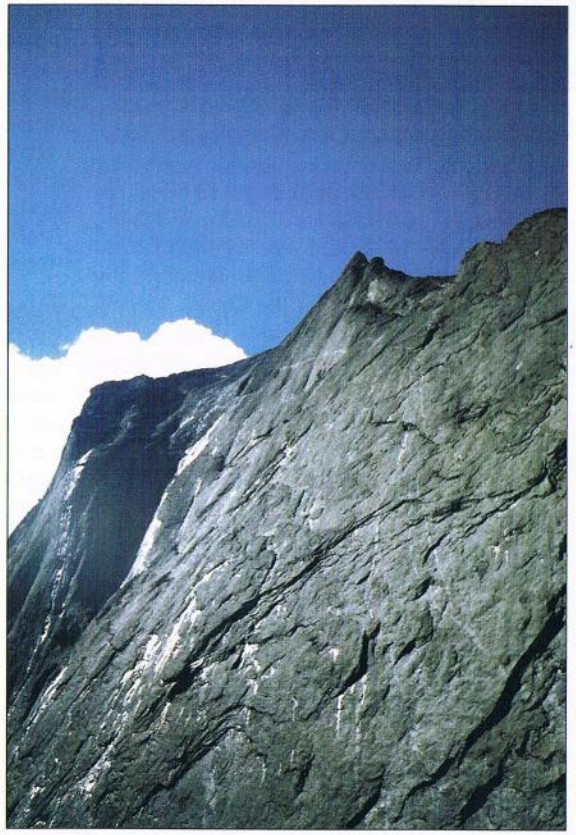

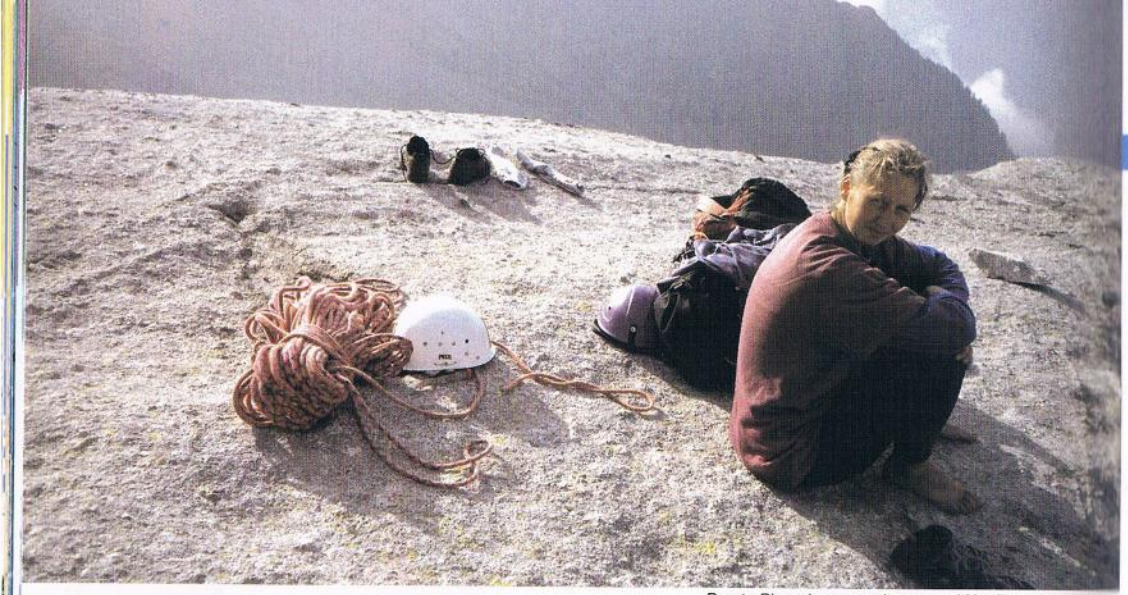

Dorota Piasecka na przełączce pod Nordkantem

Informacje praktyczne

Położenie i dojazd:

Rejon Bergell znajduje się na granicy szwajcarsko-włoskiej, około 50 km za St Moritz. Z Polski najlepiej jechać przez Innsbruck i Landeck. W Landeck zjeżdżamy z autostrady na drogę nr 315, przekraczamy granicę w Pfunds, dalej drogą nr 27 jedziemy do St Moritz. Stąd kierujemy się drogą nr 3 na Chiavennę. Aby dostać się pod Piz Badile i Piz Cengal, musimy dojechać do miejscowości Bondo (skręt w lewo zaraz po przejechaniu tunelu). Z Bondo kierujemy się płatną drogą szutrową w górę do Val Bondasca. Bilet na wjazd można kupić w barze na ryneczku w Bondo (12 CHF, niezależnie od długości postoju - należy zostawić go za szybą ze względu na kontrole policyjne). Po ok. 5 km zostawiamy samochód na końcu drogi i pieszo udajemy się do schroniska Sasc Fura lub Sciora. Aby dostać się do doliny Albigna, najwygodniej jest zatrzymać się w Pranzaira/ Vicosoprano (ok. 10 km przed Bondo) i wjechać kolejką linową nad sztuczne jezioro Albignasee.

Dojścia pod ściany:

Piz Badile, ściana północna:

Ze schroniska Sasc Fura kierujemy się w górę szlakiem. Po ok. 45 min. szlak skręca w lewo do doliny, w kierunku schroniska Sciora. My idziemy wprost dalej pod górę wzdłuż skalnego grzbietu, poprzez płaty śniegu. Następnie podchodzimy w lewo pod ewidentną wąską przełączkę (zalecane raki), bezpośrednio pod ostrzem Nordkantu, od Sasc Fura 1,40- 2 godz. Z przełączki schodzimy w lewo, kominkiem na rampę, którą wtrawersowujemy w północną ścianę (zejście II-III, możliwość asekuracji), lub wprost do góry na Nordkant.

Ściana wschodnia Piz Badile oraz filar Piz Cengalo:

Podchodzimy ze schroniska Sciora morenami lodowca Cengalo, lub ze schroniska Sasc Fura opisanym wyżej szlakiem schodzimy w dolinę i dalej morenami w prawo kierujemy się pod ściany.

Uwaga: pod szczytem Piz Badile znajduje się małe biwakko, niezwykle użyteczne w razie załamania pogody. W sytuacji awaryjnej należy również pamiętać o możliwości zejścia ze szczytu Piz Badile i Piz Cengalo do włoskiego schroniska Gianetti, położonego po południowej stronie masywu.

Dojścia pod ściany w dolinie Albigna od kolejki linowej wiodą ewidentnymi ścieżkami i zajmują od 20 min pod Pizzo Spazzacaldeira do 1,5 godz pod Bio-Pfeiler.

Drogi i asekuracja:

W Bergellu znajduje się bardzo bogaty wybór dróg o charakterze alpejskim. Największą klasę mają oczywiście drogi na północnej i wschodniej ścianie Piz Badile oraz w rejonie filara Piz Cengalo, ale te w rejonie schroniska Sciora i dolinie Albigna są również godne polecenia. Poniżej kilka przykładów:

Piz Badile, północna ściana:

- ***Nordkante*** (IV, ok. 1000m). Piękna długa droga „na rozwspinanie", w litym granicie. Zalecana przed udaniem się na drogi na ścianie północnej również ze względów taktycznych; wiedzie nią linia zjazdów ze szczytu i wszystkich dróg na północnej i zachodniej ścianie.
- ***Via Cassin*** (VI, 28 wyciągów od rampy, lub 32 wyciągi od lodowca). Droga zdobywców północnej ściany, bardzo piękna i obowiązkowa dla każdego, kto odwiedza rejon Bergell. Przejście bez haków możliwe.
- ***Linea Bianca*** (VI, 13 wyciągów od oddzielenia od Via Cassin). Droga startuje z rampy wraz z Via Cassin i odbija w prawo przed pierwszym biwakiem Cassina. Droga dość poważna ze względu na problematyczną asekurację w trudnościach (miejsca VI z możliwością długich lotów).
- ***Another Day in Paradise*** (VII, 19 wyciągów od rampy, lub 23 wyciągi od lodowca). Droga o modernistycznym charakterze, poprowadzona litymi płytami biegnącymi środkiem ściany. Praktycznie w całości ospitowana (nieliczne miejsca z własną asekuracją), jednak poza trudnościami odległości między spitami znacznie większe niż te na Mnichu. Oczywiście nie bierzemy haków.
- ***Neverland*** (VI+, 11 wyciągów). Uwaga: droga niebezpieczna ze względu na brak asekuracji w płytach. Potencjalne bardzo poważne loty. Dla osób o mocnych nerwach.
- ***Diritto d'Autore*** (VI+, 12 wyciągów). Droga jak na lokalne warunki niezbyt długa, ładna, konieczny młotek i haki.
- ***La Storia Lunga*** (VI+, 16 wyciągów). Nie sposób nie wspomnieć o najnowszej słowackiej drodze biegnącej ścianą północną. Startując razem z Via Cassin, po wyjściu z Zacięcia Rebuffata droga idzie dalej wprost do góry, pomiędzy drogami Linea Bianca i Another Day, łącząc się z tą drugą po jedenastu wyciągach. Dalej cztery wyciągi wyjściowe do trawersu na Nordkant. Wymagania sprzętowe na tej drodze nie są znane, lecz mając na uwadze jej słowackie autorstwo, sugeruję wzięcie rozszerzonego zestawu.

Po drugim wyciągu na Neverland

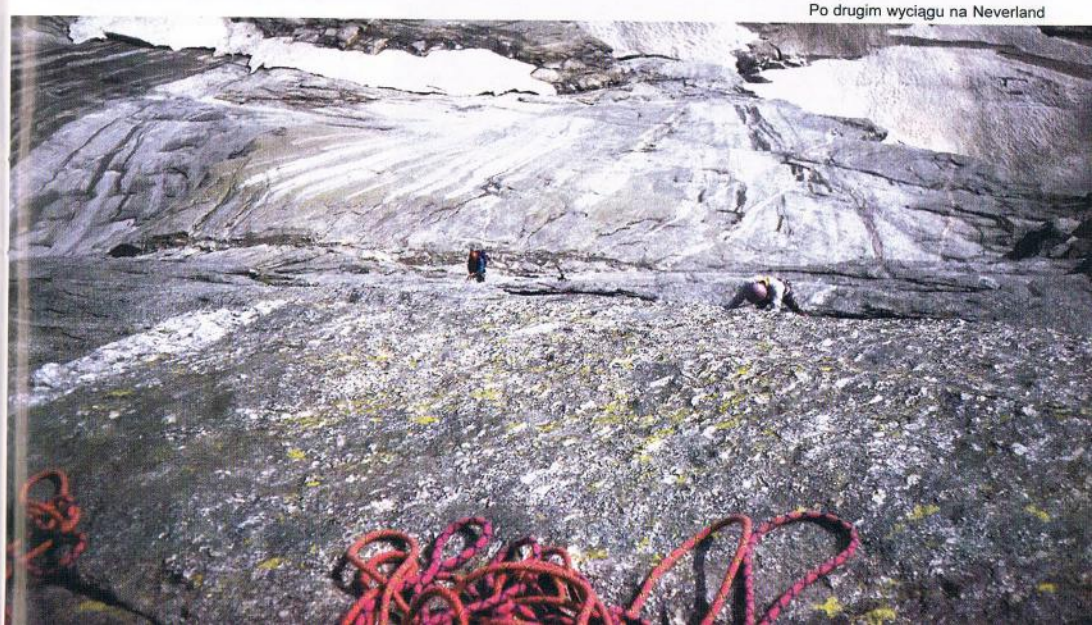

Piz Badile, wschodnia ściana:

- ***Via del Fratello*** (VII, 25 wyciągów). Droga trudna, z długim podejściem i o dużej klasie; pomimo że jest to dawna droga hakowa, należy wziąć zestaw haków.
- ***Hiroshima*** (VIII, 10 wyciągów). Nazwa mówi sama za siebie. Bardzo długie podejście i nagromadzenie trudności sprawiają, że jest to raczej oferta dla koneserów. Pomimo, że droga jest częściowo obita, należy mieć ze sobą haki.

Piękne, lite granity Piz Badile

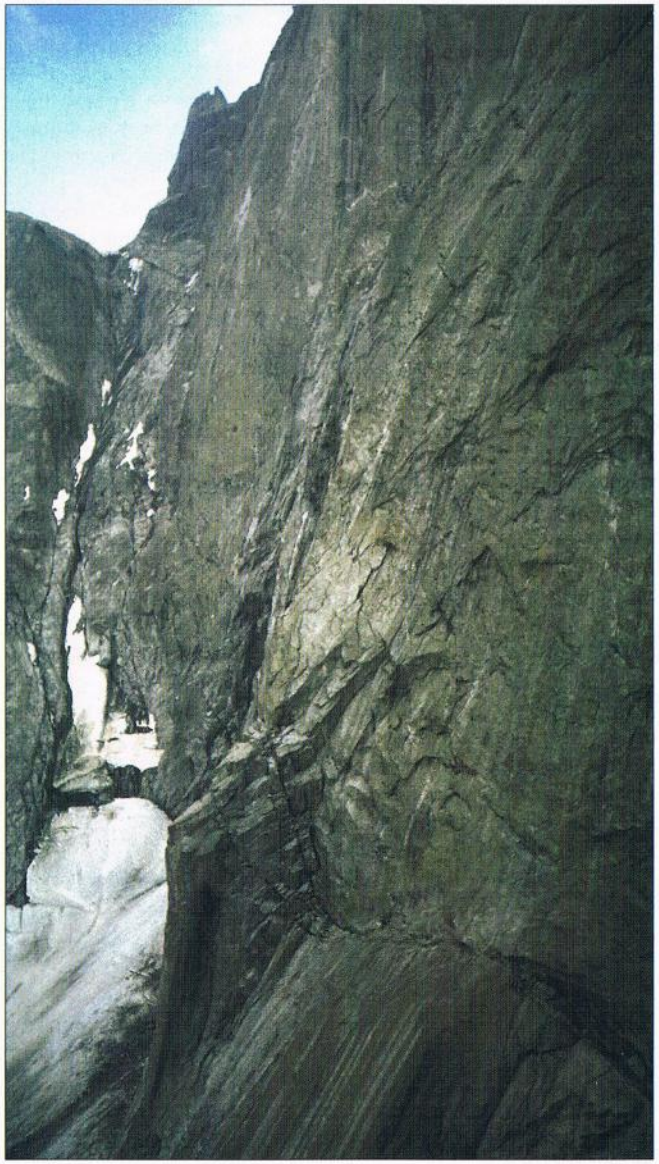

Piz Badile, zachodnia ściana:

- ***Ringo Starr*** (VI, 17 wyciągów). Droga z dość długim podejściem, będąca jednak jedną z bardziej umiarkowanych propozycji na ścianie zachodniej i dość często przechodzona.
- ***Grosse Verschneidung/ Wielkie Zacięcie*** (VI+, A1, 15 wyciągów). Piękne wspinanie w litej skale. Pomimo dwóch miejsc A1 również jedna z bardziej popularnych dróg na tej ścianie.

Piz Cengalo:

- ***Filar Północno - Zachodni*** (V+, 31 wyciągów). Droga długa i pomimo umiarkowanych trudności dość poważna, ze względu na długie podejście i zejście.

Inne wybrane drogi:

- ***Pizzi Gemelli/ Buegeleisen-Filar Żelazka*** (V, 12 wyciągów). Wspinanie w litej skale, droga niezbyt długa i trudna, choć piękna. Polecana osobom zaczynającym karierę alpejską, również ze względu na możliwość zjazdu wzdłuż drogi.
- ***Pizzo Badilet - droga Filarem Bonattiego*** (VI, 25 wyciągów). Droga dość poważna, z nagromadzeniem trudności w dolnej części, zdarzają się miejsca kruche.

- ***Punta da l'Albigna - Bio Pfeiler*** (V+, 8 wyciągów), ***Moderne Zeiten*** (V+, 12 wyciągów). Drogi w litym granicie, o umiarkowanych trudnościach. Polecane na pierwsze dni w rejonie.

Ściana Pizzo Spazzacaldeira:

Jest na niej około 15 dróg o długości od 4 do 6 wyciągów i trudnościach od VI+ do VIII. Wszystkie te drogi mają raczej charakter sportowy i są przygotowane do przejść bez młotka.

Warto również wspomnieć, że w wypadku niekorzystnej pogody istnieje możliwość przejechania na południową stronę masywu Bergell, do Val di Mello, gdzie z reguły utrzymuje się lepsza pogoda. Tu mamy do wyboru dwudziestometrowe ospitowane skałki lub nawet siedemsetmetrowe ekstremalne hakówki na ścianie Prezipizio delli Asteroidi. Inną opcją jest wspinanie w wapiennych rejonach nad jeziorem Como (ok. 80 km na południe).

Przewodniki i info:

G. Maspes, G. Miotti *Masino, Bregaglia, Disgrazia*, Jurg von Kanel *Schweiz Plaisir*, L.Griffin *Bernina and Bregaglia, Selected Climbs*, *SAC Clubfuehrer Bundner Alpen, Sudliches Bergell, Disgrazia.* Wszelkie informacje i schematy są również dostępne w schroniskach Sasc Fura i Sciora.

Spanie i zakupy:

Najbliższy sklep spożywczy w Promontogno, najbliższy supermarket w Chiavenna (14 km). Spanie w schroniskach Sasc Fura, Sciora i Albigna. Do niedawna możliwe było również biwakowanie w kolebach przy podejściu pod północną ścianę Piz Badile, obecnie jednak wprowadzono zakaz biwakowania. Możliwe jest również zabiwakowanie przed wspinaniem na samej przełączce pod Nordkantem, co daje oczywistą przewagę nad osobami podchodzącymi ze schroniska.

Chmiel wciąga kolejne der billigster Wein

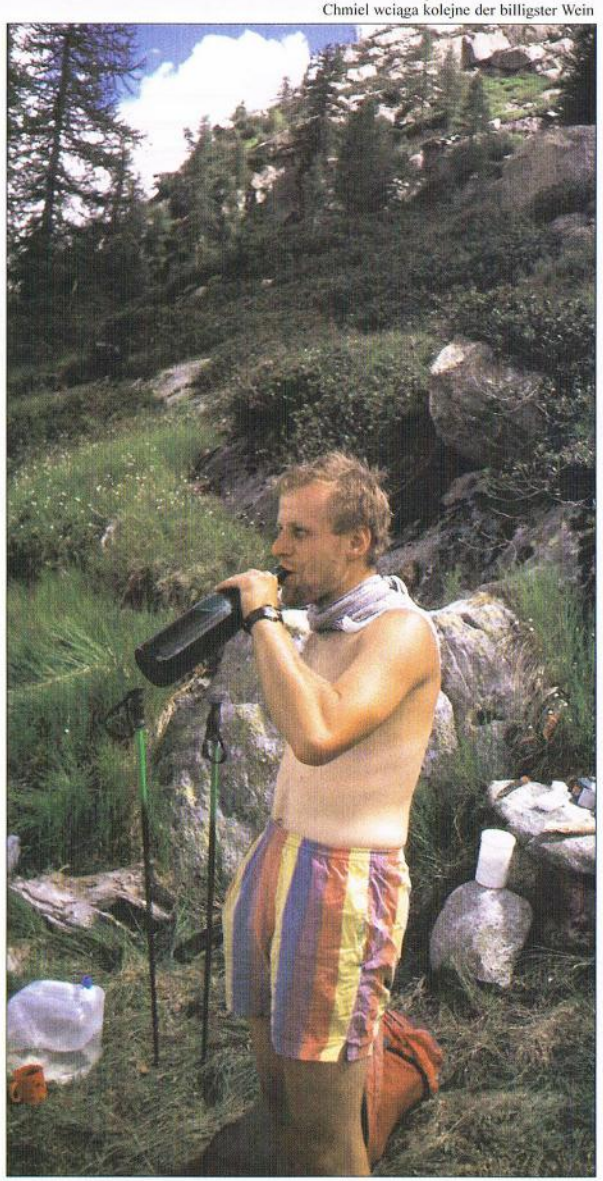

1. Pizzi Gemelli, *Buegeleisen - Filar Żelazka* (V, 12 wyciągów)
2. Piz Cengalo, *Filar Północno-Zachodni* (V+, 31 wyciągów)
3. Piz Badile, zachodnia ściana, *Ringo Starr* (VI, 17 wyciągów)
4. Piz Badile, północna ściana, *Via Cassin* (VI, 28 wyciągów od rampy, lub 32 wyciągi od lodowca)

Schematy z przewodnika:
Lindsay Griffin, *Bernina and Bregaglia, Selected Climbs, SAC 1995*

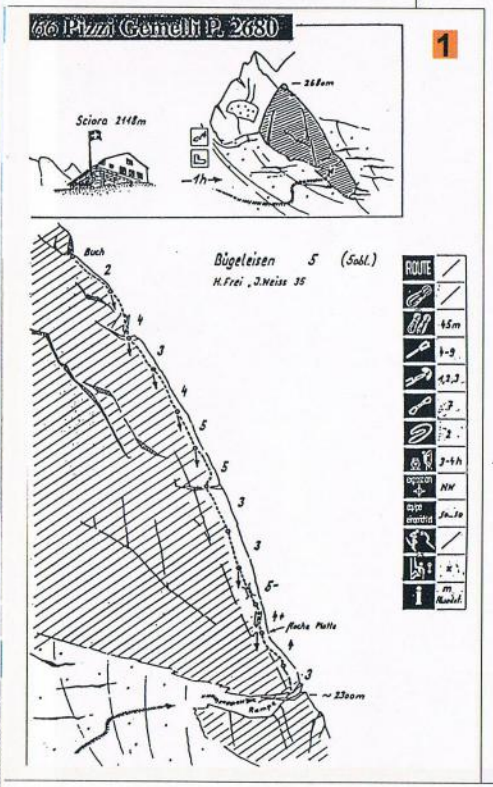

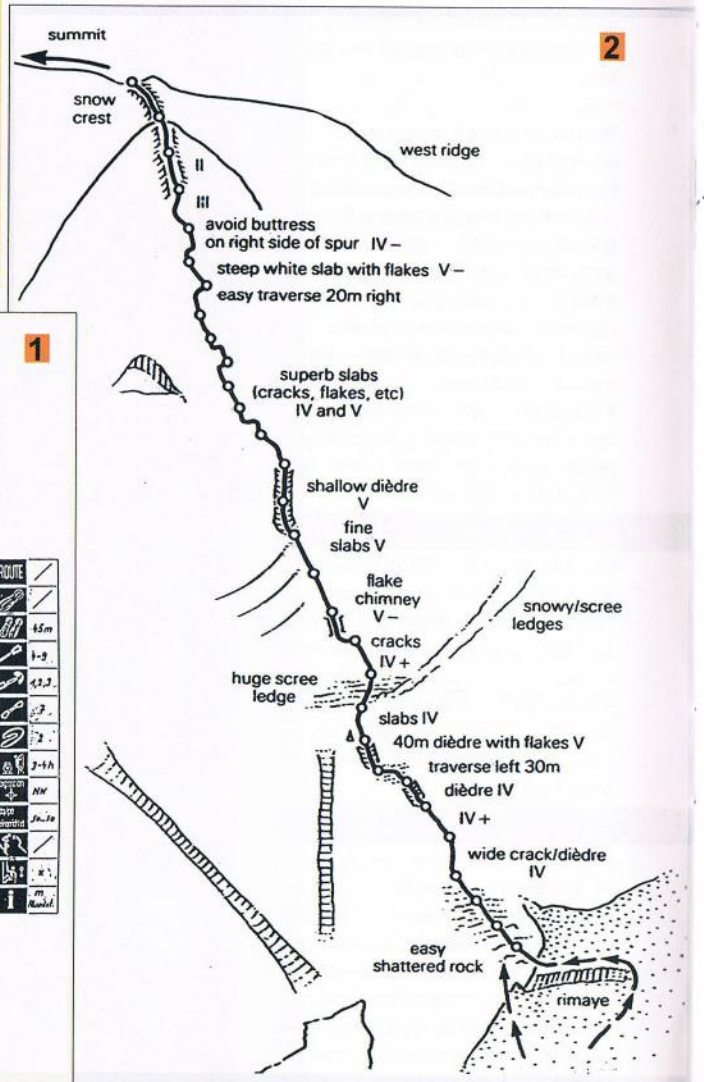

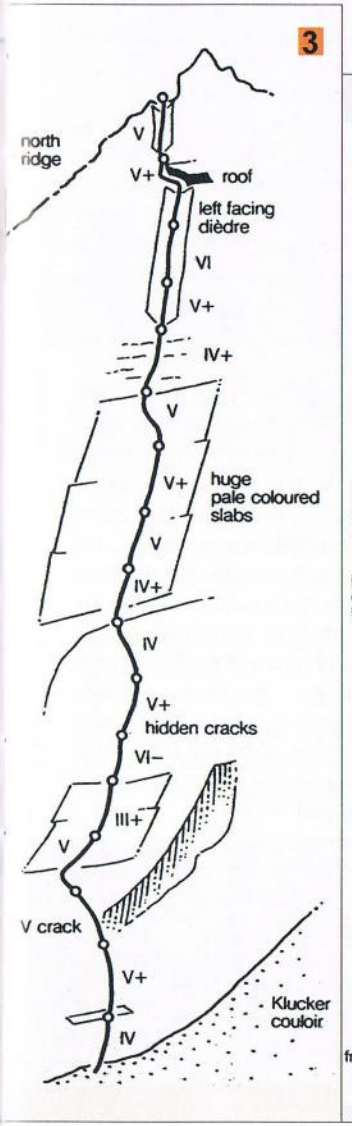

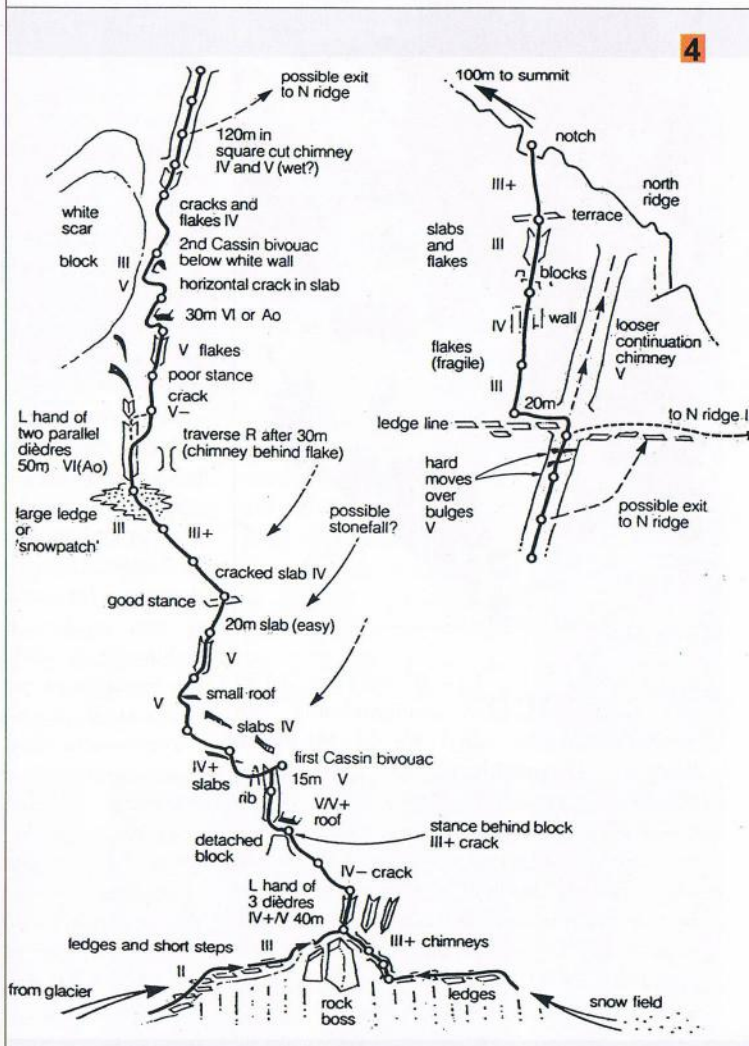

„MEMORIAŁ“

Tekst: Mariusz Wilanowski

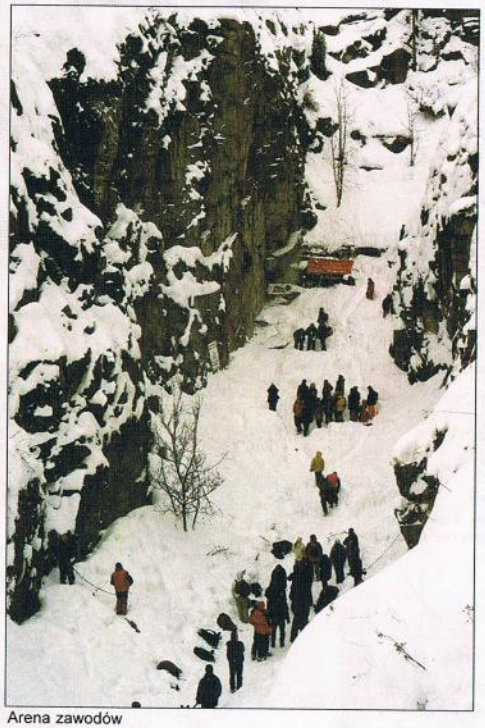

fot. Mariusz Wilanowski

Arena zawodów

W dniach 15-16 lutego 2003 w kamieniołomie nad przełęczą Snozka odbył się **„I Memoriał Bartka Olszańskiego w Klasycznej Wspinaczce Zimowej - Dry-Tooling“**. Kiedy odwiedziłem Snozkę po raz pierwszy we wrześniu ubiegłego roku o tym, że mogą się tam odbyć zawody dry-toolingowe świadczył tylko niczym nie zmącony entuzjazm Jasia Muskata, w którego głowie zrodziła się cała idea zawodów. Kilka miesięcy później plus 60 osadzonych spitów i mnóstwo bezinteresownej pracy całej rzeszy ludzi zaowocowało inauguracją pierwszej edycji Memoriału.

W zawodach wzięło udział 33 zawodników i 4 zawodniczki. Najliczniej stawili się co zrozumiałe Zakopiańczycy, liczne ekipy przyjechały też z Warszawy, Szklarskiej Poręby i ze Słowacji (ratownicy Horskiej Służby). Przygotowane do wspinania drogi przedstawiały następujące trudności: eliminacyjna IV (choć bardziej był to mikst), półfinałowa VI+/VII i finałowa VII+ to dla panów. Dla Pań ze względu na małą ilość startujących przygotowano tylko dwie drogi: eliminacyjną IV i finałową VI.

Zawody rozpoczęły się przy dźwiękach góralskiej muzyki i w prawdziwie zimowych warunkach z ciągłym opadem śniegu. Droga eliminacyjna miała za zadanie bardziej chyba rozgrzać zawodników. Trudniejszy start, potem trawersik, ścianka, zadziabanie w trawy i już dochodziło się do końcowego ringa. Poza nielicznymi przypadkami niezmieszczenia się w limicie czasowym bądź odpadnięć zdecydowana większość ukończyła drogę. Trzeba w tym miejscu dodać, że pomimo faktu wspinania się startujących z dolną asekuracją nie zanotowano pomimo licznych odpadnięć w przekroju całych zawodów żadnych kontuzji. Przygotowanie dróg pod względem asekuracji było wręcz wzorowe. Luźna formuła zwodów objawiała się brakiem strefy i wzajemnym podpowiadaniem sobie przez startujących patentów i kolejnych ruchów. Ci, którzy ukończyli drogę eliminacyjną mogli od razu spróbować swoich sił na półfinałowej drodze.

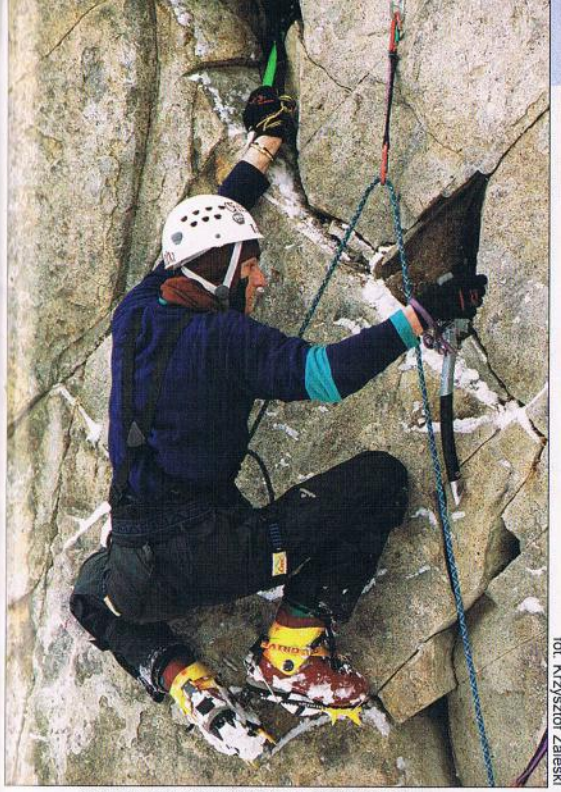

fot. Krzysztof Zaleski

Marek Kazior (3 miejsce) na drodze finałowej

Po dość łatwych eliminacjach, półfinał z pewnością zaskoczył i niejeden się zdziwił. Crux w przewieszonym kominku w połowie drogi skutecznie odsiał przeszło połowę półfinalistów a z 8, którzy drogę ukończyli tylko trzech zmieściło się w limicie czasowym (pozostała piątka też została dopuszczona do finału). Po sobotnich zmaganiach za dnia na świeżym powietrzu i wieczornych w „Karczmie u Ratowników“ przyszedł czas na niedzielny finał.

Finałowa droga wyceniona na VII + od samego początku stawiała wysokie wymagania. Dolna czujna ścianka, potem fragment z odstrzeloną płytą i półeczką, (tu większość zawodników zamiast dziabek używała rąk) i już wchodziło się w przewieszony „headwall“, który był prawdziwym sprawdzianem wytrzymałości. Poza bułami jak kalafiory wskazana była precyzja w osadzaniu dziabek i ekonomiczne rozplanowanie kolejnych ruchów - będące kluczem do pokonania finałowej drogi. Te elementy najlepiej w całość połączyli dwaj najlepsi wśród mężczyzn Grześ Bargiel i Artur Paszczak. Obaj największe problemy mieli z wyjściem na gzyms w górnej części „headwall“-u, z którego już tylko ok. 2 metry dzieliły od łatwego wyjściowego terenu.

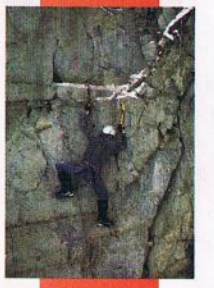

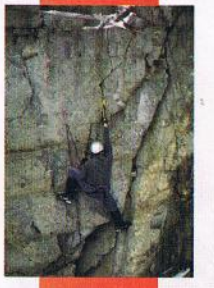

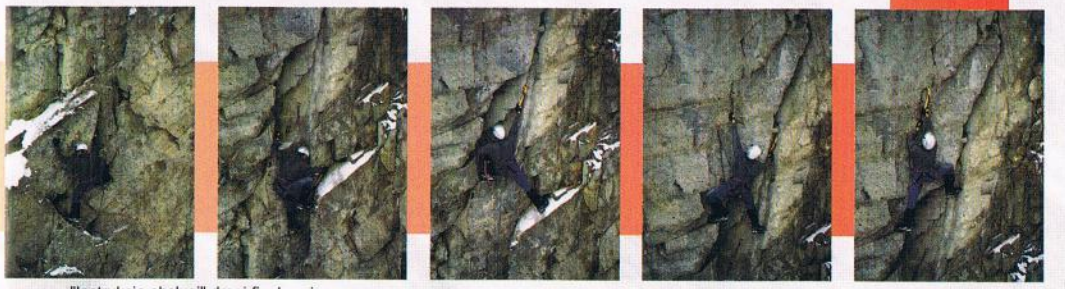

"Instrukcja obsługi" drogi finałowej

Artur, którego start z gzymsu wybrał fizycznie zdołał się jeszcze wpiąć w ostatni ekspres na płycie i odpadł. Grześ bardzo pewnie osiągnął ten sam przelot co rywal i gdy wydawało się, że ukończy drogę odpadł z urwanym chwytem. Ponieważ obaj zakończyli rywalizację w tym samym miejscu o zwycięstwie zadecydował czas przejścia a ten miał lepszy Grześ Bargiel z Zakopanego i to on został zwycięzcą Memoriału. Wśród kobiet, których na zawodach stawiły się cztery, bezkonkurencyjna okazała się Alicja Paszczak i to ona stała się szczęśliwą posiadaczką nowej dziabki (nagroda za pierwsze miejsce). Pozasportowym aspektem Memoriału było spotkanie tych, którzy znali Bartka Olszańskiego z jego górskiej działalności. Odnawiano stare i nawiązywano nowe znajomości.

Do zobaczenia za rok.

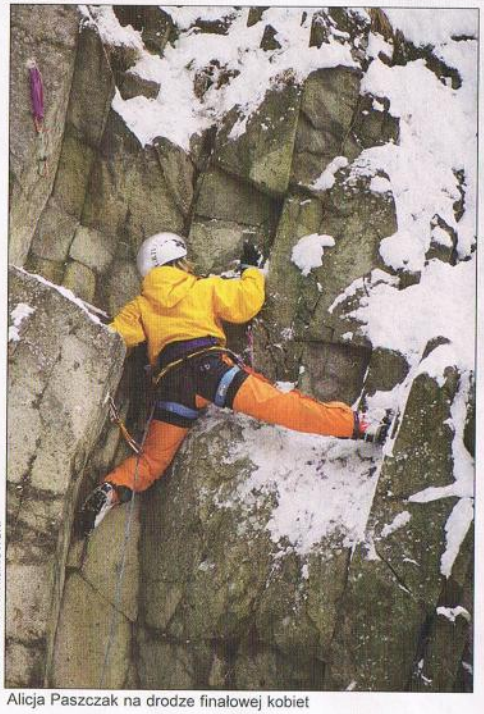

fot. Mariusz Wilanowski

Alicja Paszczak na drodze finałowej kobiet

... and the winner is ...

fot. Mariusz Wilanowski

Finaliści zawodów

Kobiety:

1. Alicja Paszczak (KW Warszawa)
2. Kasia Okuszko (Speleoklub Warszawski)

Mężczyźni:

1. Grzegorz Bargiel (TOPR Zakopane)
2. Artur Paszczak (KW Warszawa)
3. Marek Kazior (KW Katowice)
4. Michał Król (Nowy Targ)
5. Paweł Jachymiak (Nowy Targ)
6. Mariusz Rogus (KW Zakopane)
7. Marcin Gąsienica-Kotelnicki (KW Zakopane)
8. Jakub Hornowski (KW Zakopane)

fot. Mariusz Wilanowski

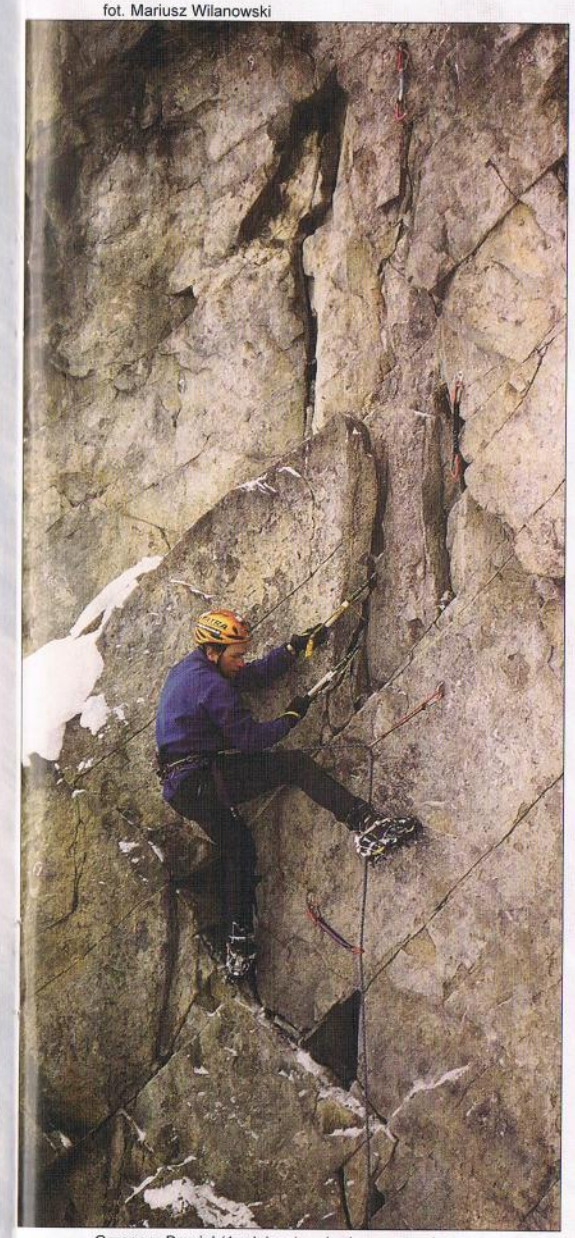

Grzegorz Bargiel (1 miejsce) w drodze po zwycięstwo

fot. Krzysztof Zaleski

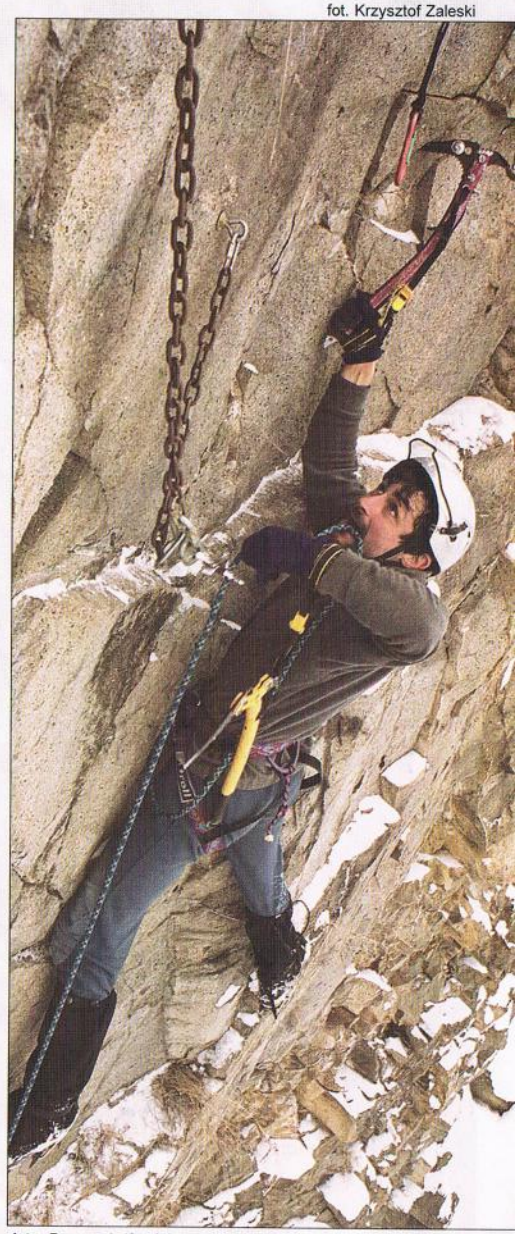

Artur Paszczak (2 miejsce) w trudnościach finału

DRY TOOL, WET DRINK & HOT DOG CARNIVAL PICNIC JANÓWEK 12-01-2003

Tekst i zdjęcia: Mariusz Wilanowski

Pomysł zorganizowania zawodów dry-toolowych przewijał się w rozmowach na ściance już od jakiegoś czasu. Lokalizacja narzucała się sama - oczywiście **Janówek**. Bunkry Janówka, będące od lat poligonem wspinaczkowym środowiska warszawskich wspinaczy, coraz częściej zimą stawały się areną doświadczalną dla nowej formy wspinaczki, jaką niewątpliwie jest dry-tooling. Zupełnie nowe możliwości, jakie oferuje cienkie ostrze dziabki powoduje, że to, co często latem klasycznie nie puszczało, zimą wręcz zapraszało do zmierzenia się z problemem - cienkie pęknięcia, hakodziury wyznaczają potencjalne linie dry-toolowych problemów.

W niedzielę 12 stycznia w iście zimowych warunkach (mróz i padający śnieg) duże bunkry Janówka stały się areną zmagań około 20 zawodników (drugie tyle stanowiły dziewczyny startujących, byli wspinacze ;-), fotoreporterzy i miejscowa ludność jako gapie). Główni organizatorzy zawodów, Marek Czyżewski, Janusz Porożyński i Paweł Przybysz, wyżej od sportowej rywalizacji postawili towarzyską integrację, za co im chwała. Impreza bardziej więc przypominała towarzyski piknik niż zawody.

Prawdziwie piknikowa atmosfera

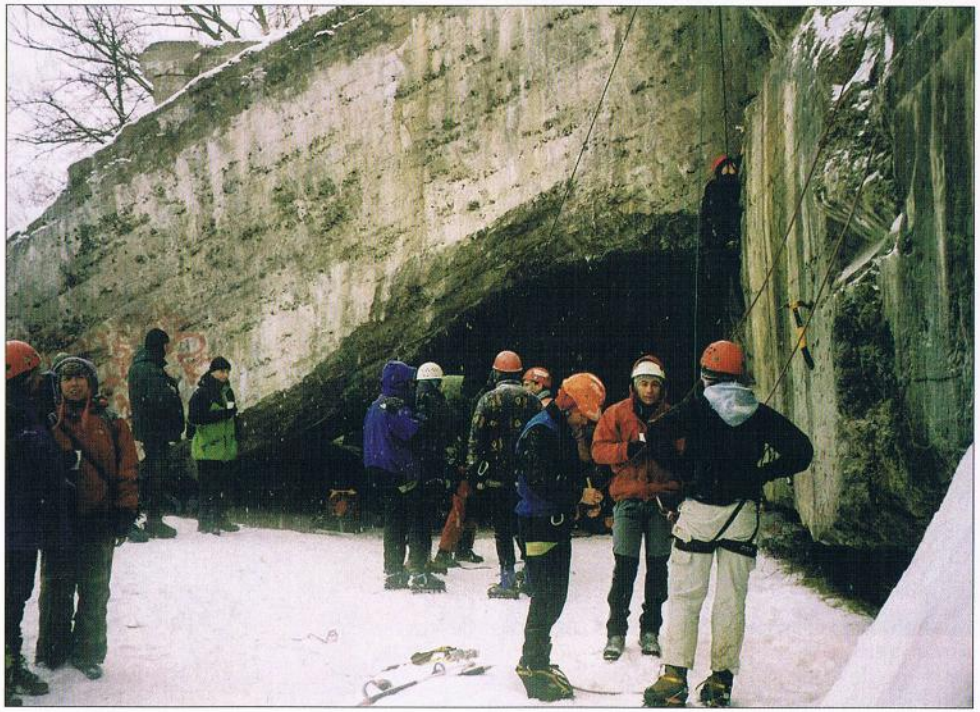

Pomimo tego śledziliśmy walkę do końca, a pretendenci do wygranej starali się zdobyć punkty do końcowej klasyfikacji wszelkimi dozwolonymi sposobami. Stawiło się też parę osób spoza Warszawki, co było miłym akcentem.

Do pokonania było 5 dróg w dowolnej kolejności i bez limitów czasowych (do dwóch z nich trudniejsze - lepiej punktowane - warianty do wyboru). Wspinających, pomimo górnej asekuracji, obowiązywał ze względów bezpieczeństwa kask. Szkoda, że nie udało się zorganizować kasku z kratą na twarz (jeden ze startujących stracił ząb, kilku nabawiło się siniaków). Wspinacze, w ramach dbałości o swój image, owijali dziabki plastrami, odkręcali młotki itp. Obowiązkowe było wspinanie się z dziabami i w rakach, używanie pętli nadgarstkowych pozostwiono do wyboru, podobnie jak przytrzymywanie chwytów rękami.

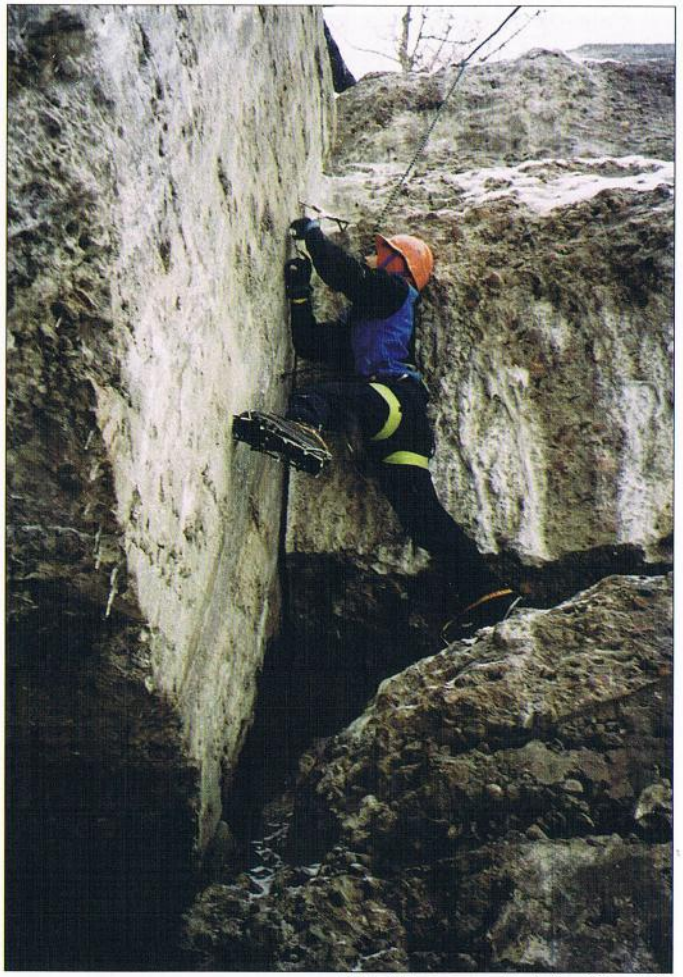

"Bakteria" pogrywa na *Brzytwie* za 20 punktów

Przygotowane drogi i punktacja przedstawiały się następująco (nazwy i wyceny podaję za przewodnikiem po Janówku autorstwa Michała Górzyńskiego):

- **Soczewka** VI+ - 15 pkt.,
- **Brzytwa** (zacięcie) VI - 20 pkt., wariant bez lewej ściany zacięcia - VI.1+ - 30 pkt.,
- **Środkowa rysa wprost** V - 10 pkt.,
- **Prawa rysa** V - 10 pkt., wariant - bez rysy lewą częścią VI - 20 pkt.,
- **Prostowanie Wielbłąda** VI+ - 20 pkt.

Dodatkowe punkty były przydzielane za przejście on-sight (5 pkt.) i za wyjście ponad stanowisko (5 pkt.).
Konkurencjami dodatkowymi były:
- rzut dziabą do tarczy - 20 pkt.
- podejście na linie - 20 pkt.
- zjazd na linie - 10 pkt.
- dupozjazd - 5 pkt.

Największym zainteresowaniem poza drogami 3 i 4 dla wspinaczy, a dla widzów w ogóle - cieszył się grill, gorąca herbata i grzaniec. Wszystko w naprawdę fajnej atmosferze, na luziku i bez zadęcia (część startujących w ogóle nie zgłaszała swoich przejść do klasyfikacji, a niektórzy pozostali częściowo anonimowi). Dziewczyny w liczbie trzech napierały na te same drogi, co chłopcy, a celnym rzutem dziabą do tarczy wygraną zapewniła sobie Marta Oleszczuk. Można powiedzieć, że był to jej „rzut na taśmę" - do tej pory nie wiem, jak Marta to zrobiła.

Najtrudniejsza droga zawodów w całej okazałości

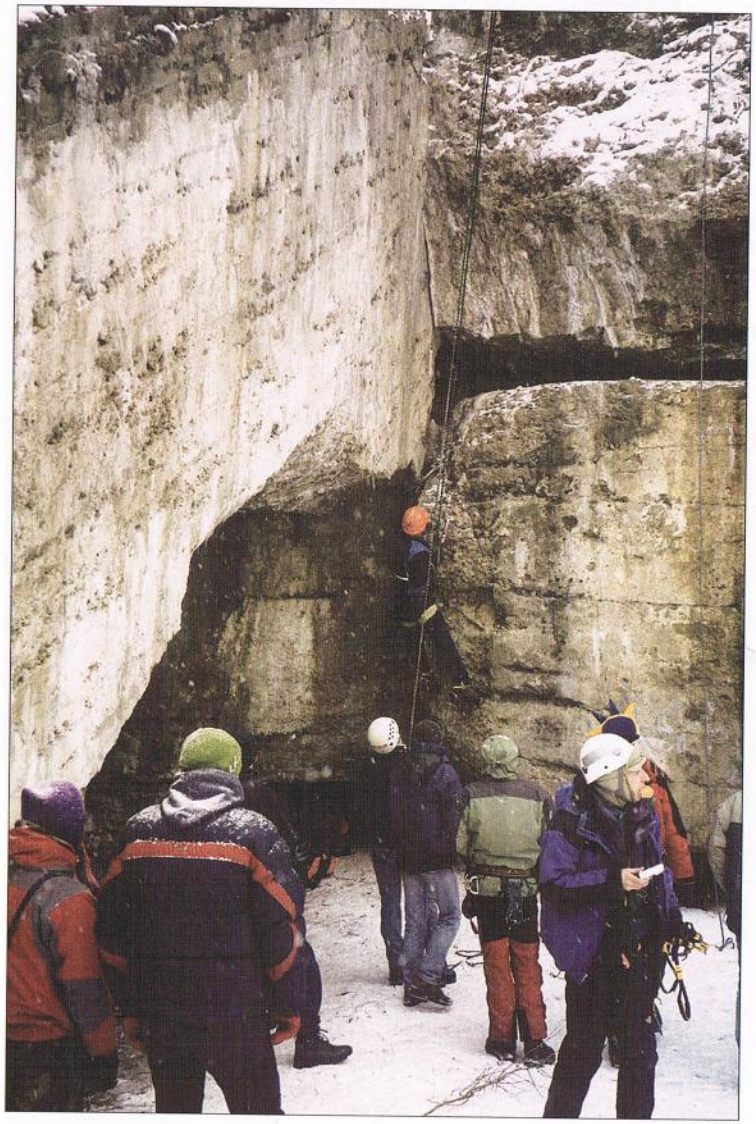

Wśród mężczyzn rywalizacja toczyła się od początku pomiędzy Pawłem „Kaczmarem" Karczmarczykiem i Pawłem „Bakterią" Olkiem. Pomimo desperackich prób „Bakterii" wyjścia na prowadzenie - min. dupozjazd głową w dół, ostatecznie zasłużenie wygrał „Kaczmar". Zwycięzcy Pikniku, Marta i Paweł, odebrali nagrody w postaci młotków z logo zawodów. W zgodnej opinii wszystkich, którzy byli w Janówku, impreza była super i szkoda, że mimo planów nie doczekaliśmy się kolejnych zawodów tym razem na bunkrach w Czosnowie. Może w przyszłym roku jakiś dry-toolowy Puchar ? Kto wie...

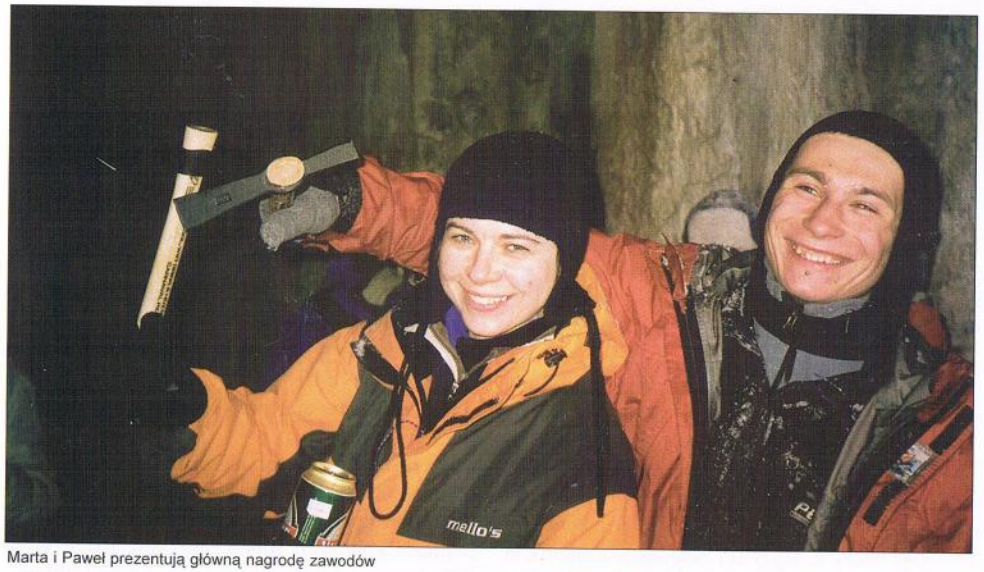

Marta i Paweł prezentują główną nagrodę zawodów

Lama na *Soczewce*

Końcowa klasyfikacja zawodów

Kobiety:

- **Marta Oleszczuk - 68 pkt.**
- **Kasia Okuszko - 65 pkt.**
- **Gosia ?? - 50 pkt.**

Mężczyźni:

- **Paweł Karczmarczyk - 165 pkt.**
- **Paweł Olek - 160 pkt.**
- **Janusz Porożyński - 122 pkt.**
- **Radek Kołodziński - 70 pkt.**
- **Marcin Chmieliński - 65 pkt.**
- **Arek Arak - 57,5 pkt.**
- **Antoni Pieszkow - 50 pkt.**
- **Krzysiek Dziedzic - 50 pkt.**
- **Maciek Olinkiewicz - 45 pkt.**
- **Paweł Przybysz - 35 pkt.**
- **Mariusz Wilanowski - 35 pkt.**
- **Paweł Olendzki - 30 pkt.**
- **Michał Ziółkowski - 30 pkt.**
- **Rafał Sz. ?? - 25 pkt.**
- **Bartek Jaroszewicz - 25 pkt.**
- **Michał ?? - 20 pkt.**

NAGRODA ZŁOTEGO CZEKANA

Tekst: Lindsay Griffin
Zdjęcia z kolekcji Micka Fowlera

Tego typu nagroda prawdopodobnie nigdy nie przyjęłaby się w Wielkiej Brytanii, ponieważ przyznawanie nagród za wspinanie brytyjscy wspinacze uważają za całkowite nieporozumienie.

Pierwszy raz w swej 12-letniej historii, **Złoty Czekan**, francuskie trofeum przyznawane corocznie za najbardziej wyróżniające się osiągnięcie alpinistyczne, trafiło w ręce całkowicie brytyjskiego zespołu.

W 1994 r. brytyjski wspinacz z Sheffield, Andy Parkin, od 18 lat na stałe mieszkający w Chamonix, także został uhonorowany tą nagrodą za swoje wspinaczki w Patagonii, jednak jego partnerem był dobrze znany francuski alpinista Francois Marsigny. 5 lutego tego roku, w Paryżu, sześcioosobowe jury prawie jednogłośnie, spośród sześciu zespołów wybrało Micka Fowlera i Paula Ramsdena. Wytyczenie spektakularnej drogi lodowej na północnej ścianie Siguaniang w prowincji Sichuan w Chinach przemówiło nie tylko do jurorów, ale jak się zdaje, również do większości licznie zgromadzonej w miejscu ceremonii francuskiej publiczności. Przez cały czas istnienia nagrody kryteria wyboru zwycięskiej wspinaczki nie wydawały się nigdy zupełnie przejrzyste, istniało jednak ogólne przekonanie, że „najpiękniejszy wyczyn" roku powinien być nowatorski, trudny, wymagający i przyczyniać się do ewolucji alpinizmu. Nie ma wątpliwości, że tegoroczna topowa wspinaczka pasuje do tego opisu jak ulał, ale raczej mizerne osiągnięcia zeszłych lat sprawiły, iż nagroda stała się kontrowersyjna.

Oprócz Fowlera i Ramsdena do dokonania prezentacji swych osiągnięć zaproszono następujące zespoły:
- Yann Bonneville, Benôit Chanal, Francois Duperty i Pierrick Keller (Francja) za nową drogę na południowej ścianie Huandoy Sur w Peru;
- Stephan Harvey, Bruno Hasler i Roger Schaeli (Szwajcaria) za dwie nowe drogi na północnej ścianie Arwa Spire;
- Dean Potter (USA) za szybkie solowe wejścia na Fitz Roya drogami *California Roulette* i *Supercanaleta* oraz przejście *Compressor Route* na Cerro Tore;
- Alberto Inurrategi (Kraj Basków) i Jean-Christoph Lafaille (Francja) za wejście i zejście wschodnią granią Annapurny w Nepalu;
- Jules Cartwright i Rich Cross (Wlk. Brytania) za pierwsze przejście pn-zach granią Ama Dablam.

Ta ostatnia wspinaczka miała miejsce w listopadzie 2001 r., a więc zbyt dawno, aby włączyć ją do tegorocznej listy nominowanych.

Ocena poszczególnych osiągnięć okazała się niełatwym zadaniem dla jury, składającego się z ubiegłorocznego zwycięzcy - Walerego Babanowa (Rosja), Christiana Beckwitha (byłego wydawcy periodyku „American Alpine Journal", obecnie wydawcy nowego amerykańskiego magazynu „Alpinist"), Francuzów: Guy'a Chaumereuila (o nim w dalszej części tekstu), Huberta Giota (przewodniczącego Groupe de Haute Montagne) i Gerarda Vionnet-Fuasseta (GHM) oraz przewodniczącego tegorocznego jury Paula Braithwaite'a z Wielkiej Brytanii.

Większość zespołów dokonujących prezentacji swych przejść mogłaby z łatwością zwyciężyć w poprzednich edycjach nagrody, ale to nowatorstwo i styl wspinaczki na Siguaniang okazały się decydujące. Niezbadany w dużej mierze obszar działania, całkowicie nieznany teren, zarówno podczas wspinania jak i zejścia, nie używanie poręczówek, spitów ani portaledge'ów, niezbyt duży zestaw sprzętu, duże trudności techniczne drogi - żadne z pozostałych przejść nie miało wszystkich tych cech.

Mick Fowler

Paul Ramsden

Nagrodę Złotego Czekana wręczyła brytyjskim wspinaczom Catherine Destivelle (obecnie nie ma nagrody pieniężnej) i powszechnie uważa się, że zwycięskie osiągnięcie zyska popularność pośród aktywnych i ambitnych alpinistów we Francji, gdzie „etyka Fowlera" znajduje coraz więcej zwolenników. Francuscy alpiniści wiedzą teraz dokładnie o dokonaniach Brytyjczyka z własnych powtórzeń jego dróg na ścianach Spantik i Taulliraju, a coraz więcej z nich ma ambicje pokonywać piękne drogi na wspaniałych ścianach w dobrym stylu, podobnym do stylu znanego ze ścian Changabang, Taweche i Arwa.

Obecnie Złoty Czekan ma ugruntowaną pozycję wśród wspinaczy europejskich i może okazać się prestiżową nagrodą dla tych, którzy żyją ze wspinania, zarówno z przewodnictwa górskiego jak i z funduszy płaconych przez sponsorów (co ciekawe, tegoroczni zwycięzcy byli jedynymi prawdziwymi amatorami pośród nominowanych alpinistów). Niebagatelna jest również rola mediów w jej propagowaniu. Czy nagroda ta ma jednak znaczenie dla rozwoju alpinizmu? Wielu młodych aktywnych wspinaczy, nawet we Francji, twierdzi, że nie. Czy ma wobec tego przyszłość?

Pomysłodawcą idei Złotego Czekana był znany francuski alpinista - Jean Claude Marmier. Chciał w ten sposób pokazać szerszej publiczności to, co jest piękne i dobre we współczesnym wspinaniu. Na początku lat 90. zebranie funduszy na wyprawy stawało się coraz trudniejsze. Minął wspaniały okres lat 80., gdy łatwo było pozyskiwać fundusze od firm. W przeciwieństwie do gwiazd wspinaczki skalnej, indywidualni alpiniści nie mogli liczyć na sfinansowanie swojej kariery przez sponsorów. Nawet legendarny Pierre Béghin, który był niewątpliwie jednym z najlepszych na świecie w tamtych czasach, musiał ciężko pracować na całym etacie, aby mieć pieniądze na urzeczywistnianie swych wspinaczkowych marzeń. W dodatku Federation Francais de Montagnes et Escalade (FFME) nie miała już żadnych funduszy na górskie ekspedycje. Było więc ważne, że Marmier, wtedy prezydent Groupe de Haute Montagne (GHM), przyciągnął uwagę szerszej publiczności, a szczególnie mediów. Guy Chaumereuil, ówczesny wydawca magazynu „Montagnes", doskonałego miesięcznika wydawanego w Grenoble od 25 lat, połączył swe siły z GHM i tak powstała nagroda Złotego Czekana.

W inauguracyjnym roku 1991 nagrodę przyznano słoweńskim wspinaczom, Marko Prezeljowi i Andrejowi Stremfeljowi za niezwykle wymagające, dokonane w stylu alpejskim pierwsze przejście trzykilometrowej południowej grani Południowej Kangchenjungi. Różnorodność trudności technicznych (niektóre wyciągi uzyskały wyceny VI, A1 i 90°), całkowicie nieznany teren, wysokość (wierzchołek 8.476 m)

oraz doskonały styl sprawiły, że było to jedno z największych osiągnięć w historii wspinaczki w Himalajach. Właśnie dzięki nagrodzie Złotego Czekana Francuzi mogli zapoznać się z alpinizmem słoweńskim. O ile jednak przedstawienie słoweńskiego sukcesu zyskało aplauz francuskich wspinaczy, sama impreza okazała się medialną katastrofą. Przedstawiciele prasy nie mogli zrozumieć, dlaczego grupka całkowicie nieznanych ludzi, których imion nie mogli nawet wymówić, zrobiła takie wrażenie na alpinistach francuskich. Z tego powodu FFME stworzyło Kryształ, podobną nagrodę, przeznaczoną jednak tylko dla Francuzów. Teraz zarówno telewizja francuska, jak i duże periodyki były usatysfakcjonowane.

Po roku 1991 Złoty Czekan wręczany był corocznie na różnych spotkaniach wspinaczy, przez ostatnie kilka lat odbywało się to pod koniec stycznia, na imprezie zwanej Ice Climbing Rassemblement odbywającej się w Argentiere la Bessée. Pomimo oczywistych negatywnych stron samej nagrody jak i ceremonii łudząco podobnej do ceremonii wręczania filmowych Oscarów, Złoty Czekan dawał znakomitą okazję do spotkania się najlepszych alpinistów świata. Niestety, nagroda miała też poważne wydźwięki polityczne. Później FFME dołączyło do komitetu organizacyjnego nagrody, a Marmier, dotąd jego przewodniczący, został zwykłym członkiem. Jednakże decyzje jury stawały się coraz bardziej kontrowersyjne - w jednym roku głosowano za wielką wyprawą w klasycznym oblężniczym stylu, w innych latach nagrodę przyznawano przejściom, które, cytując słowa komentatora, „nie różniły się jakością od wielu innych przejść kilku ostatnich dziesięcioleci". Ostatecznie Marmier zrezygnował, pociągając FFME ze sobą i nazywając całą sprawę niewypałem.

Większość ludzi zgadza się, iż założenie leżące u podstaw nagrody jest słuszne, jednak czy naprawdę możliwe jest porównanie długiego i wymagającego trawersu graniowego na wysokości ponad 7500 m z wielkościanową wspinaczką w stylu „minimum" w Peru albo szybkimi solówkami dobrze znanych dróg? W końcu jury musi i tak dokonać wyboru według własnego uznania. Wielu alpinistów, zarówno we Francji, jak i zagranicą, uważa iż przyznawanie takiej nagrody jest nie do pogodzenia z zasadami alpinizmu. Popularnością cieszy się pomysł uhonorowania wszystkich nominowanych przejść, jako wartościowych dla rozwoju alpinizmu i możliwe, że ciągle jest jeszcze miejsce na taką alternatywę. Niestety, tylko szum wokół Grand Prix może przyciągnąć media i tak liczną publiczność, jak w tym roku w Paryżu. Bez wręczania nagrody i związanej z tym otoczki, na której wszystko jest zbudowane, Złoty Czekan nie sprawdziłby się najpewniej jako widowisko dla francuskich i zagranicznych dziennikarzy, a alpinizm we Francji nie cieszyłby się tak dużym zainteresowaniem.

Tegoroczna zmiana miejsca wręczania nagrody - poprzednie pomieszczenia były za małe i zbyt nieformalne - na pewno przyciągnęła liczniejszą widownię, w tym osoby bez wątpienia dysponujące wpływami politycznymi. Organizatorzy wydają się być zadowoleni ze swojego pomysłu i sukcesu całego wydarzenia. Jeśli ma ono być wiarygodne, osiągnięcie nagradzane co roku powinno być inspiracją dla rzesz wspinaczy i przyznawane alpinistom wspinającym się w możliwie najlepszym stylu. Większość wspinaczy nominowanych do nagrody dokonywała swoich przejść tylko dlatego, że jest to ich pasja i jeśli zwykły wspinacz nie będzie odczuwał dyskomfortu, obserwując ceremonię, wszystko będzie w porządku.

Złoty Czekan przetrwa najprawdopodobniej w swojej obecnej formie. O tym, że generalnie został zaakceptowany świadczą jego kolejne klony. Hiszpanie mają również swój Złoty Czekan - Piolet de Oro, a ostatnio amerykański magazyn „Climbing" stworzył, co wydaje się być dobrym żartem, swoją własną nagrodę - Złoty Hak (Golden Piton). Przewidziano wyróżnienia dla około dziesięciu różnych odmian wspinaczki, np. bulderingu, przejść solowych, wspinaczki górskiej. W tej ostatniej kategorii również zwyciężyli Fowler i Ramsden.

ONSIGHT
Centrum Wspinaczkowe
Hala Sportowa Ko o
Warszawa, ul. Obozowa 60
zapraszamy codziennie od 10[00] do 22[00]
dojazd z Centrum tramwajami: 1, 12, 13, 20, 23, 24
przystanek: Magistracka

ALP EXTREME
SZKOŁA ALPINIZMU
Wiesława Madejczyka

- kursy na sztucznej ściance
- kursy skałkowe
- kursy tatrzańskie letnie
- kursy tatrzańskie zimowe
- imprezy integracyjne
- wynajem i obsługa przenośnej ścianki wspinaczkowej

Członkowie KW Warszawa 10% zniżki

www.alpextreme.com
info@alpextreme.com
tel. 0603 062 633
tel./Fax. (022) 823 13 12

10 5" górskiej przygody

Tekst: Janusz Porożyński i Paweł Przybysz

Ostateczna decyzja o noclegu pod szczytem MSW przy-szła nam stosunkowo łatwo, mimo dość niekorzystnych warunków temperaturowych i nikłego stopnia przygotowania do biwaku. Moment ten nie był pierwszą chwilą refleksji na temat szans dotarcia do schronu w czasie tej wspinaczki.

Janusz: *Już podczas porannego wygrzewania się we wschodzącym słoneczku pod startem w „Świerza" pomyślałem sobie, że dobrze byłoby się wreszcie zacząć wspinać, zamiast czekać, aż Chmiel ostatecznie znajdzie początek drogi.*

Pod ścianę doszliśmy, zanim Alicja i Chmiel wbili się w pierwszy wyciąg, ale później okazało się, że nie miało to specjalnego znaczenia - byliśmy w stanie nadążyć za nimi tylko na czterech pierwszych długościach liny. Po rozpoczęciu wspinaczki, defetystyczne myśli opuściły nas, jednak ich nawrót nastąpił właśnie po czwartym wyciągu, kiedy ślimaczyliśmy się z kominkiem skutecznie wyczyszczonym z przyjaznego lodu przez naszych poprzedników.

Paweł: *.... to już po trudnościach, ale jeszcze połowa drogi przed nami. Jest około 15.00. Już wiem, że się potwornie guzdrałem, że nie skończymy drogi za dnia.*

Później znów nadzieja - wspinaczka z lotną, aż do... zmroku, tuż przed ostatnimi wyciągami, gdzie trzeba się (lub też my musimy) przyasekurować. Należy przyznać, iż ciemności na drodze, której się nie zna, skutecznie odbierają chęć do życia - koniec drogi widać, kiedy się stanie na szczycie.

Paweł: *Po ciemku to będzie walka. Jeszcze bez czołówek dochodzimy do końca zachodu. Dzwoni mój telefon, to Paszczu pyta, jak idzie i tłumaczy drogę na szczyt oraz zejściową. Już jestem zmęczony, ale wizja tego, że jeszcze tej nocy prześpię się we własnym łóżku w schronisku dodaje mi sił.*

Janusz: *Na ostatnich metrach drogi byłem pewien, że nocujemy. Ale kiedy wyparłem na kolejną półę i skonstatowałem, że z niej już wyżej pójść się nie da, poczułem przypływ nowej mocy.*

Paweł: *Finałowy wyciąg idę na drugiego. Droga trzyma trudności aż do topu, ostatnie wbicie dziaby i w końcu jestem na wierzchołku Mięgusza. Już ołówkiem mogę sobie wpisać do zeszycika drogę Świerza. Radość ze skończenia drogi, ostatnie kawałki czekolady, ostatni łyk herbaty, zwijanie szpeju. Zakładam polar, który wyjątkowo zdjąłem przed wejściem w drogę. Jest już ciepło, nawet wiatr wiejący z potworną siłą nie jest już taki straszny. Ruszamy po śladach naszych poprzedników. Są głębokie i wyraźne. Widoczność jest wspaniała, gwiazdy, Podhale i upragnione schronisko tak blisko.*

Już tylko zejście i koniec. A tu niespodzianka. Wciąż idziemy granią, choć dokładne wskazówki prezesa mówiły co innego.

Janusz: *Podmuch świeżej psychy wyniósł mnie z trawersu żlebu po stronie słowackiej prosto w górę (ten pęd!) i dalej bez sensu granią w kierunku Hińczowej.*

Paweł: *Zastanawiam się czy obraliśmy właściwą drogę. Zaczynam biegać po grani, szukając w pamięci wskazówek do zejścia podanych przez Paszcza, ale ze zmęczenia już niczego nie jestem pewien, a plątanina śladów jest już tak duża że dalsze poszukiwania zjazdów nie mają sensu.*

Po dwóch długościach liny, kilkukrotnym badaniu pokonanego dotychczas terenu i niemożności dopasowania Paszczowego opisu do mrocznej rzeczywistości, postanowiliśmy ostatecznie usadowić się na luksusowej półce z widokiem na schronisko. Siadamy osłonięci od podmuchów wiatru dużym blokiem skalnym, przykryci jedną enercetą, jedząc stare cukierki, które nie wiadomo skąd znalazły się w plecaku Pawła.

Paweł: *No trudno trzeba się pogodzić z faktem, że tę noc spędzę w górach. Nie budzi to we mnie jakiegoś lęku, czuję, że mimo wszystko panuję nad sytuacją, a ranek przyniesie rozwiązanie, i że przeczekanie nocy jest jedyną słuszną decyzją. Zasypiając, patrzę na światła schroniska. I myślę, że tak mało brakowało, bym tę noc spędził w ciepłym śpiworze.*

Sen jest przerywany ciągłymi atakami zimna i zwiewaniem folii nrc. Nadchodzi upragniony ranek, słońce wstaje zza gór.

Paweł: *Jest pięknie*

Zbieramy się do zejścia. Meldujemy Paszczowi, że jesteśmy cali i zdrowi. Schodzimy do Hińczowej w blasku słońca. I tam niespodzianka, spotykamy dwa klubowe zespoły, które spędziły noc w górach. Dalsze zejście już razem, potem tylko dupozjazd Mnichowym Żlebem.
A tu Arek z Czyżem nadchodzą na spotkanie z herbatą, piwem i czekoladą.

Paweł, Janusz: *Dzięki chłopaki.*

Janusz: *Byłem wściekły z powodu nieukończenia przecież nieekstremalnej drogi door to door w jeden dzień. Ale z drugiej strony... Czy zawsze najważniejszy musi być wynik? To mam w końcu na co dzień, a podziwiać wschód słońca ze szczytu MSW zdarza mi się niezwykle rzadko..*

Paweł: *Już o 10.00 siedzę nad złocistym napojem w schronisku, patrząc na wspaniały widok roztaczający się nad Morskim Okiem. I myślę, że niczego nie żałuję, bo przeżyłem prawdziwą przygodę.*

Wschód słońca widziany spod wierzchołka Mięgusza

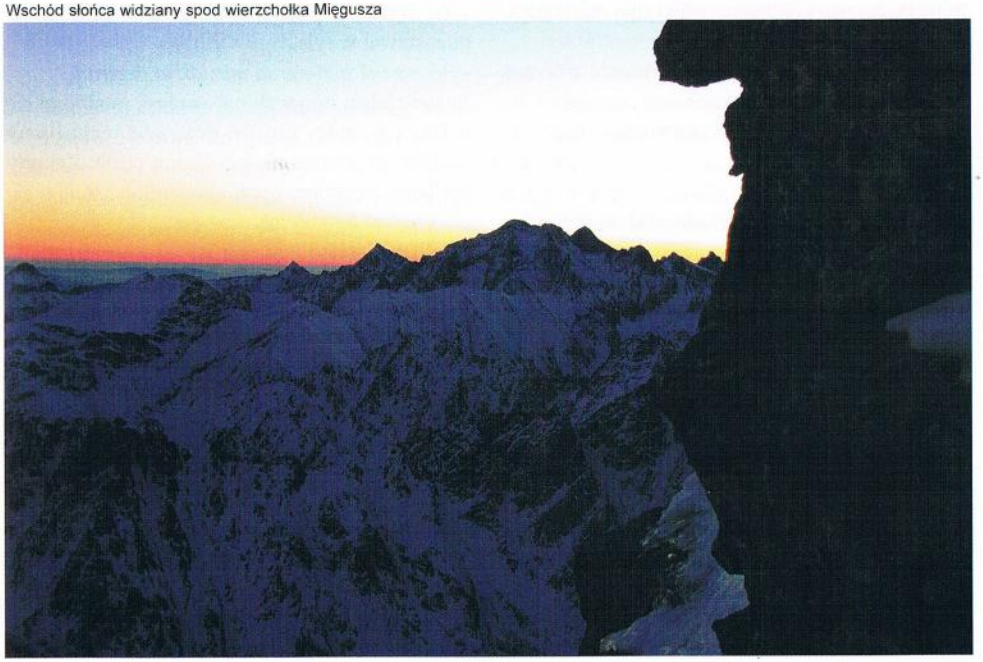

fot. Paweł Przybysz

W prawdziwej skale

Kursant

W życiu trzeba być czujnym, a moja czujność nie okazała się daremna. Jechałem w skały razem z kursową elitą - D i Ż oraz RK, JWK i K. Prowadzona w kuluarach rozmowa nie umknęła mej wytężonej uwadze i wyjeżdżającym nie pozostało nic innego, jak tylko zgodzić się na zabranie mnie ze sobą.

Kolega D i ja wyruszyliśmy później niż inni, ponieważ przytrzymały nas zajęcia uczelniane. To dodało naszej wyprawie dodatkowego kolorytu, gdyż żaden z nas nie wiedział, gdzie właściwie te skały są.

Zgodnie z instrukcjami JWK wsiedliśmy w ekspres do Zawiercia. Bez biletów. Powiadali, że nie trzeba. Jakoż i wszystko okazało się prawdą, bo pan konduktor, gdy tylko nas zoczył, wyraźnie się ucieszył:

- *Ach to wy* - stwierdził, przysiadając się do nas bez ceregieli. - *Po plecakach was poznaję.*

Grzecznie potwierdziliśmy, że to my.

- *Połóweczki?* - zagadnął.

- *Naturalnie.*

- *No widzicie* - nie posiadał się z radości - *wszystkim się to opłaca. Wy zarabiacie, ja zarabiam, nikt nie traci. Nie lepiej to tak?*

- *Jasne* - przytaknęliśmy skwapliwie.

- *Czasem tylko wsiądzie taki sk... i się czepia, no ale tak to w życiu jest. Nie przegapcie wysiadki, postój tylko jedna minuta.*

Mijała właśnie jedenasta, gdy wyszliśmy przed stację w Zawierciu. Było cicho i ciemno. Nie zanosiło się, aby pojawił się jakiś autobus.

- *Ostatni był o 22* - odczytał D i z właściwym sobie optymizmem oznajmił: - *Idziemy, to podobno niedaleko.*

Ruszyliśmy dziarsko przed siebie. Targaliśmy wielgachny namiot typu „Komfort", który nie miał żadnych uchwytów, więc mogliśmy go nieść tylko pojedynczo, co stanowiło konkretne obciążenie. Dość szybko zaczęło nam to dawać w kość. Nie byliśmy w ciemię bici, więc postanowiliśmy ulżyć naszej niedoli i złapać stopa. Światła Zawiercia już dawno zniknęły za nami, ale - pomimo naszego sprytu - stopa wciąż nie było. Co więcej, nie minął nas żaden samochód. I gdy sytuacja zaczynała wyglądać beznadziejnie, pojawił się maluch, który, ku naszemu zdziwieniu, dobrowolnie się przy nas zatrzymał.

- *Wsiadajcie, chłopcy* - zawołała pani ze środka.

Z wielkim trudem władowaliśmy się do wozu. Pani tryskała humorem, ponieważ była na zdrowym gazie.

- *Ale fajnie, tak pod namiot* - perorowała, a D nie pozostawał w tyle.

- *Bo my tak lubimy, za miasto, w przyrodę!*

Ja siedziałem przywalony worem i modliłem się o Bożą pomoc, bo nie dość, że jechaliśmy szybko, to jeszcze nie po swoim pasie. Zakręty braliśmy z piskiem opon i generalnie czułem się jak w górskiej kolejce.

Nagle pani zatrzymała się.

- *Tu skręcam* - oznajmiła.

- *Co?* - zdziwił się D.

- *Wy prosto, a ja skręcam. Wysiadka!*

Zostaliśmy sami na ciemnej drodze. D zarzucił namiot na plecy i zaintonował jakąś pieśń. Zrobiło się raźniej. Po kolejnych dwóch godzinach osiągnęliśmy nawet nieznaną nam miejscowość.

- *Kroczyce* - odczytał D - *Czyli nie Podlesice.*

- *O, k...* - jęknąłem.

D, nie zwracając na mnie uwagi, skierował się do pobliskiego kościoła. Ruszyłem za nim. D zastukał na plebanię. W ciemnościach nocy

jego walenie niosło się echem po pustym i ciemnym rynku. Po paru razach drzwi uchyliły się i wyjrzał z nich całkiem ubrany ksiądz.

- *Dzień dobry* - powitał go D. - *Przepraszam, ale którędy do Podlesic?*

- *Do Podlesic...* - ksiądz zatrzepotał rękawami sutanny. - *Aaaa, tam, na krzyżówce w lewo.*

- *Daleko?* - doprecyzował D.

- *Trzy kilometry.*

- *Bardzo dziękujemy* - D ukłonił się grzecznie. - *Do widzenia.*

- *Do widzenia* - odparł wolno ksiądz, wciąż przyglądając się nam badawczo przez szparę wpół otwartych drzwi.

D klasnął w dłonie.

- *Widzisz? Załatwione!* - I raźno pomaszerował w noc.

Kiedy osiągnęliśmy hotel Ostaniec - świtało. Na tle jaśniejącego nieba zobaczyłem Górę Zborów, a na niej - moje pierwsze skały.

Były piękne.

A na dodatek, za parę godzin miałem się po nich wspinać.

Jak prawdziwy alpinista.

*

Rankiem dotarły do nas wiadomości, które wstrząsnęły mną do głębi. Ż wspinał się z samym RK i był na Dziewicy!

RK powiedział, że wspina się bardzo dobrze (znaczy Ż, bo że RK to było wiadomo). Krótko mówiąc, Ż nas zdystansował. D i ja popadliśmy w przygnębienie.

K nie pozwolił nam jednak opłakiwać straty. Przybył z swoim pięknym plecakiem i wydobył szpej. Błysnęły nam oczy - karabinki, lina, taśmy, wszystko nowiuteńkie, łestowe, wspaniałe. I K wszystko to nam udostępniał w celach szkoleniowych. Zgodnie uznaliśmy, że K postępuje bardzo szlachetnie.

Rozpoczęliśmy pierwsze wspinaczki - Brzuszki Buddy, Wielbłąd, Kaczorek. Z żarem wykonywaliśmy polecenia K, upychaliśmy kostki w szczelinach (na ocenę) i poddawaliśmy się rygorystycznemu treningowi. I jakby tego było mało, wieczorem zasiadaliśmy przy ognisku w towarzystwie RK, JWK oraz MJ (pseudonim alpinistyczny F).

Uczyliśmy się życia. Z uwagą słuchaliśmy starszych kolegów, którzy dzielili się z nami swoimi doświadczeniami.

- *No i siedzisz z takimi przy stole* - F z niesmakiem opisywał rodzinną imprezę - *no i o czym tu z takimi gadać?*

Powiódł wolno wzrokiem po zgromadzonych wokół ognia. JWK zachowywał kamienną twarz, natomiast RK skrzywił się, jakby szczypnął go hemoroid.

- *No o czym?* - F rozłożył bezradnie ręce. - *Przecież o klamkach z nimi nie pogadasz!*

Właśnie. W lot to pojąłem. Rodzina to strata czasu, liczy się tylko łojenie, skały i koledzy alpiniści.

Liczy się ś r o d o w i s k o.

To słowo pojawiało się szczególnie często, toteż zaczynałem pojmować, jak bardzo jestem uprzywilejowany, że mogę do niego należeć.

Następnego dnia z jeszcze większym zapałem wykonywałem polecenia K. Szło nam chyba nieźle, bo w nagrodę, w uznaniu naszej samodzielności, mogliśmy poprowadzić swoją pierwszą drogę - nie jakąś byle jaką, ale **d i r e t ę !** Załoiliśmy diretę Wielbłąda! K pokonał ją bez asekuracji i osobiście sprawdzał każdy założony przez nas przelot. Na szczycie udzielił nam pochwały i uroczyście uścisnął dłonie. Staliśmy na szczycie ogromnej skały i patrząc w dół, na szare domki z wijącymi się niemrawo nitkami dymów, czuliśmy się uwznioślenie, a nawet wyniesieni. W oddali, na widnokręgu, majaczyły już sylwetki Mont Blanc, Everestu i K2. Były nam pisane.

Nieubłaganie pogrążaliśmy się w niezwykłym świecie alpinizmu.

Wyjazd trwał krótko, pogoda była marna, ale cel został osiągnięty - wspinałem się.

I miałem dobre widoki na przyszłość.

Cdn.

SNY PANA JANKA

Jan Gondowicz

Tej nocy przyśniła się panu Jankowi wielka kalarepa. Był to sen tak nudny, że pan Janek zaczął rozglądać się za czymś innym. Lecz wokół nic nie było.

Jakoś za bardzo nic. Nic i nic. Mleczną powierzchnię snu powleka mgła. Powierzchnia jest grząska. Coś pod nią chlupie. Stopy zapadają coraz głębiej. Ślady podbiegają wodą. W bezbrzeżnej dali zjawia się zbawczy brzeg. Krok za krokiem ku fatamorganie zaśnieżonych kosówek. Wtem noga wpada po udo. I nagle - z trzaskiem, pluskiem, zawrotem głowy zamyka się wokół lodowata ciemność.

Gwałtowny oddech - i naokoło nocny las. Mundurowi są coraz bliżej, za plecami ujada pies. Stromo jak czort. Twarz chłoszczą gałęzie. Zza pnia wynurza się tęga, spocona dziewucha. Łapie pod rękę, prowadzi. Na polanie płonie watra. Bucha od niej gorąco. Wokół siedzą ciemne typy. Na zębach dziewczyny lśni odblask. Uśmiecha się i popycha. Potknięcie o jakieś wory. Spoza ognia śniade, dzikie gęby. Wymieniają spojrzenia. Jeden typ wstaje. Trzyma coś czarnego.

Krok w tył i upadek w biały mrok. Nie sposób zaczerpnąć tchu. Nad twarzą wisi ciężar. Wilgotny, niesamowity. Nogi coś przywala. Głowa jest wolna. Miota się z boku na bok. Wzbija mocną woń śnieżnej surowizny. Sypią się mokre grudy. Jak świeżo zrytej ziemi. Nawet słychać gdzieś chór żałobny. Ale trzeba się wczepić rękami. Ach -

Nogi odjechały. Lina ciągnie w bok jak diabli. O! Lewa trzyma. Ależ tu luft. Jest coś w górze. Szpara. W sam raz na frienda. Długo się tak nie ustoi. Gdzie ten friend cholerny? Chyba z drugiego boku. Trzeba zamienić ręce. Oj, nie, nie! Moment. Najgorzej, że nic nie widać, co dalej. Miał być zaraz kominek. Coś jakby nie to. Trudno. Dobra, teraz tak. Mam drania. Łapa zaraz siądzie. Jeszcze, jeszcze. No chodź. Kurdebalans!

Pan Janek obudził się, walnął łbem w strop koleby i polazł na czworakach do wyjścia. Wiatr niby nietoperz wpadł mu we włosy. Jakby nigdy nic mrugały gwiazdy. Pan Janek splunął, wpełzł do dziury i zasunął zamek śpiwora.

Przyśniła mu się wielka kalarepa.

Dawniej to było dobrze!

przewodnik fotograficzny drogi na zdjęciach

master topo™

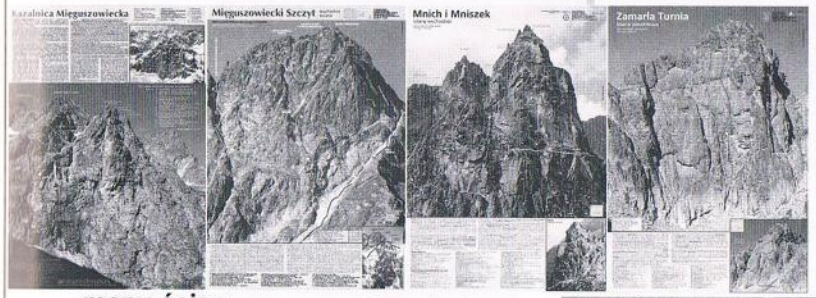

- szczegółowe przebiegi dróg;
- aktualne*;
- kompletne;
- wycofy i dojścia;
- rozdzielczość zdjęć** i druku jakiej nie było

*jesień 2002 (5. i 6. wiosna 2003)
**slajdy 6x6 cm, w tym teleobiektywami

mapy ścian
325 x 470 mm kolor
po 2 w zestawie, składane
jak mapa w pokrowcu (w teren)
lub zrolowane (do powieszenia)

MASTER TOPO™ (Grzegorz Głazek) i **Fabryka Reklamy**, Warszawa
glazekg@wp.pl; fabre@polnet.cc
693 051 070, (22) 825 08 87; 825 57 02

1. **Kazalnica+**
2. **Mięgusz;**
3. **Mnich+**
4. **Zamarła;**
5.+6. **Kościelce**

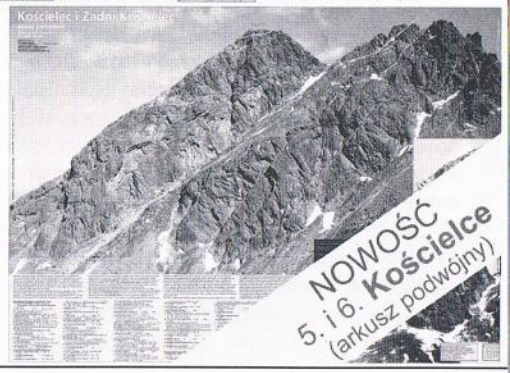

Do nabycia w: Bielsko-Biała - ***Sklep Podróżnika***, Wzgórze 9 (812 36 48); Gdańsk - ściana we Wrzeszczu, Sosnowa 2; Katowice - ***Sklep Podróżnika*** (w Summit Sport), pl. Wolności 8 (353 26 20); Kraków - ***Polar Sport***, Sienna 15 (422 42 49), ***Sklep Podróżnika***, Jagiellońska 6 (429 14 85) i Szujskiego 2 (421 89 22), pytajcie też w KW Kraków; Łódź - ***Sklep Turysty***, Narutowicza 47 (639 97 14); Poznań - ***Alpin***, Fredry 3 (853 66 84); ***Tatry***, Św. Marcin 28 (662 39 32); ***Expert***, Wożna 18 (852 97 23); Warszawa - ***Sklep Podróżnika***, Kaliska 8/12 blisko Grójeckiej, (822 54 87), także kluby ***UKA*** i ***KW-W*** w godzinach ścianek; Wrocław - ***Skalnik***, Polaka 20 (321 48 84) i Bogusławskiego 45 (332 72 23); Zakopane - ***Alpin Sport***, Krupówki 14 (20 132 45) i ***Księgarna Górska***, Dom Turysty, Zaruskiego 5 (20 124 81).
Wysyłkowo (rulony i składane) - ***Antykwariat Górski Filar***, www.antykwariat-filar.pl (0-41 345 62 19), Kielce, Alabastrowa 98; - ***Brytan***, www.wspinanie.pl.

TATRZAŃSKA SZKOŁA WSPINANIA

ZAPRASZA NA:

KURSY SKAŁKOWE
KURSY TATRZAŃSKIE
WEJŚCIA NA WSZYSTKIE SZCZYTY TATRZAŃSKIE
PRZEWODNICTWO WSPINACZKOWE
LATO I ZIMA
BAZA NOCLEGOWA

Jan Muskat
INSTRUKTOR TATERNICTWA
Tel. 0 18 2068001
607 079 421

Jacek Jania
Tel. 0 18 2062746
601 844 131

Współpraca
Grzegorz Bittmar

Kochanie, nie mam pięt... Blitzkrieg w Jaworowej

Tekst: Artur Paszczak

To miało być nieprzerwane pasmo sukcesów.

No bo weźmy nasz sprzęt, dla przykładu. Najnowszy produkt Rossignola - narty X-venture, specjalnie do wycieczek po górach w głębokim śniegu. Koniec z siedmiogodzinnym brnięciem przez zaspy. W Jaworowej śniegu po szyję, ale my prześmigniemy po nim jak kufel po barze. Sprzęt biwakowy: wszystko, co ludzkość wymyśliła - termaresty, płachty gore, puch-śpiwory, a nawet ultra-light namiocik. Żarcie - obiad z deserem i świeże bułeczki na śniadanie. Epigaz do gotowania - z benzyny zrezygnowaliśmy, gdyż satelitarna prognoza podała temperatury od -8 do -13. Nowiutkie buty Chmiela - już przetestowane na Północnej Giewontu („Rewelacja, stary!"). Szpej - lekki, całkowicie profesjonalny i nowoczesny. Słowem - pełen wypas. **Delta Force KW Warszawa.** I do tego absolutna i niezachwiana LAMPA. Jaworowy przegrał bitwę, zanim się jeszcze rozpoczęła. Szliśmy jedynie dopełnić formalności.

Problemy zaczęły się zaraz po wyruszeniu.

- *Co to jest, do jasnej cholery!?* - wrzeszczałem, potrząsając dwoma zupkami Winiary (i to bez kluseczek!). - *Jak mam się tym najeść?*

Alicja spochmurniała jak niebo przed gradobiciem stulecia.

- *Sam to zjesz, ja nie będę ci wyjadać! Mogę nie jeść w ogóle!*

Szlag trafił obiad z deserem i bułeczki. Mełłem przekleństwa jeszcze przez parę minut, ale wnet inna atrakcja zajęła moją uwagę. Minęliśmy już Zakopane, gdy Alicja, nieudolnie maskując drżenie głosu, zapytała:

- *Słuchaj, wziąłeś moją termarestę?*

W samochodzie doktora Zioło zapadła głucha cisza (no dobra - pyrkotał silnik). No więc pyrkotał silnik, ale nikt się nie odzywał. Nawet ja, bo myślałem, że szlag mnie trafi i tak się zapowietrzyłem, że mnie zatkało. W końcu wysyczałem:

- *Będziesz spała dupą na lodzie. Masz za swoje.*
- *A będę* - odparła hardo. - *Bez łachy.*

Granice przekroczyliśmy bez problemów. O dziwo, wszyscy mieli paszporty. Było już koło czwartej, a jeszcze tego dnia mieliśmy osiągnąć górne piętro doliny. Pospieszyliśmy do autobusu, ale go nie było. Smętnie przywalony czapą śniegu, stał za to na placu czerwony volkswagen-bus. Nie miał jednak kierowcy, więc, chcąc nie chcąc, dumnie prężąc piersi przed kolejką samochodów, jaka stała z drugiej strony granicy, poszliśmy do Jaworzyny na piechotę.

U wejścia do doliny złożyliśmy naszą Wunderwaffe i raźno pomknęliśmy w górę. Trzeba przyznać - szło się ekstra. W świetnych humorach sunęliśmy w głębokim śniegu w tempie szybkiego marszu po betonie.

- *No i co?* - triumfowałem. - *Warte nartki zachodu?*
- *Idealne, idealne* - potakiwał Chmiel, i tylko doktor nie miał się z czego cieszyć, bo jako jedyny zapychał na normalnych turach.

A więc szliśmy pełni optymizmu, w pięknej pogodzie i byliśmy pewni, że najdalej za dwie godziny rozłożymy się wygodnie u stóp północnej Jaworowego. Sielankę zepsuł jednak Chmiel.

- *Pięty mnie obcierają* - ogłosił.
- *Nie marudź, masz złą technikę* - ofuknąłem go.

Przez następne pół godziny Chmiel w milczeniu pracował nad techniką, podwiązywał buty i wykonywał różne sztuczki. Obserwowałem go krytycznie.

- *Twoja technika jest w dalszym ciągu do dupy* - oznajmiłem mu w końcu. - *Wciąż odrywasz nartę od ziemi.*
- *Bo tak mnie obciera, że inaczej nie mogę* - zajęczał Chmiel.
- *Przestań się mazać i chodź, ciemno się robi* - włączył się doktor i Chmiel ruszył dalej.

Po kolejnej półgodzinie Chmiel w końcu pękł:

- *Nie dam rady, muszę się okleić plastrem. Stajemy!*

Niechętnie, ale stanęliśmy. No dobra, niech już się okleja, jak taki delikatny.

Zasiedliśmy na kamieniu, przegryzając i popijając, a Chmiel zdjął buty. Gdy ściągnął skarpetkę - wyplułem to, co jadłem.

Na pięcie Chmiela ziała dziura o średnicy 6 centymetrów wypełniona krwawą miazgą. W bucie miał krew i wyżymał z niej skarpetkę.

- *O kurde, Chmielu, mogłeś wcześniej powiedzieć!*
- *Przecież mówiłem!!!*
- *Trzeba było gadać, że naprawdę cię obciera!*

Doktor na szczęście miał duży plaster z opatrunkiem, więc po chwili Chmiel mógł już włożyć buty. Ruszyliśmy, ale poczęło w nas kiełkować ziarno niepewności.

- *No i jak?* - dopytywałem się.
- *Lepiej, mogę iść.*
- *A wiesz, bo mnie też coś zaczęło obcierać.*
- *To lepiej stańmy.*
- *To stańmy.*

Moje nogi wyglądały o niebo lepiej, ale w stresie okleiłem je, zużywając cały plaster doktora.

Chmiel tymczasem, korzystając z postoju, zadzwonił do domu, do swojej Myszeńki.

- *No jak tam, baby, kochanie* - dobiegło nas zza winkla. - *Bo u mnie wszystko idealnie, tylko nie mam pięt...*

Wkrótce zaczęło się ściemniać. Zaczęło też robić się chłodno. Odziałem się w komplet łachów, włożyłem nawet moją ukochaną kurteczkę Arc'teryx'a , ale wcale nie było mi za gorąco.

- *Coś chyba zimno* - zauważyła Alicja.
- *Eee tam, noc i tyle* - odparłem bez przekonania. - Na tych nartach człowiek mniej się męczy, to mu zimno.

A dolina ciągnęła się i ciągnęła. W rzeczy samej była to najciąglejsza dolina, jaką szedłem. Wąska ścieżka wiła się wśród drzew, szło się po niej bardzo niewygodnie i wcale nie za szybko, a tymczasem minuty umykały bezlitośnie.

- *Gdzie jest ta leśniczówka?* - zastanawiał się doktor.
- *Miało być dwie godziny* - wyrzucała mi Alicja, i tak brnęliśmy wciąż głębiej i głębiej w słowackie ostępy.

Wreszcie, o czwartej, dotarliśmy do rozstaju ścieżek.

- *Nooo* - odetchnąłem - *stąd już godzinka pod ścianę.*
- *Na pewno?*
- *Duduś szedł dwie bez nart, to my w godzinę przemkniemy.*

Ale mknąć się nie dało. Gdy wyszliśmy wreszcie powyżej lasu, dostaliśmy się w kosówki, które skutecznie spowolniły nasz marsz. Jedynie Alicja, widać z powodu swej mizernej, więc lekkiej postury, przemykała wśród krzaczorów jak gdyby nigdy nic. My natomiast przeżywaliśmy ciężkie chwile, toteż niebawem pojawiły się pierwsze nawoływania do kibla.

- *Musimy dojść pod ścianę, chociaż w pobliże* - przekonywałem, ale sam powoli traciłem determinację.

Po kolejnej godzinie marzyłem już tylko o kawałku płaskiego terenu.

Wreszcie, mając już kompletnie dość, wydostaliśmy się z cholernych skarłowacin i stanęliśmy na śniegu.

W niewielkiej od nas odległości tężał w mrozie mur Jaworowych.

- *Dobra* - wysapałem - *kiblujemy.* Choć reszta wcale się na mnie nie oglądając, już uklepywała platformy.

Śnieg był niewiarygodnie sypki i diabelnie głęboki. Wcale nie chciał się ubić, więc w końcu wyryliśmy głęboki dół - raczej kołyskę niż platformę, ale nie mieliśmy woli do dalszej walki. Ręce dziwnie jakoś marzły i generalnie było nadzwyczaj rześko.

Alicja natychmiast wsunęła się do płachty, a Chmiel zadekował się w namiociku.

- *E, wyłaź* - nagabnął go doktor - *popatrz, jaka piękna dolina!*
- *Ja w tej dolinie bywałem, jak ty jeszcze na księdza „batman" wołałeś* - dobiegło z wnętrza.
- *A co ty takiego tu robiłeś?*
- *Na „Tytanową Paszczę" szedłem, ale warunków nie było.*

Bohaterski doktor sam więc poszedł po wodę do sączącego się nieopodal strumienia. Z jego namiociku dobiegało tymczasem pełne zachwytu:

- *Ale świetny ten śpiworek. Idealny, idealny!*

Wkrótce doktor zjawił się z powrotem.

- *Masz, wlej sobie* - zaoferował, a ja skrzętnie

nadstawiłem menażkę. Ale woda się nie polała.
- *Co jest ?*
Doktor postukał w wodę palcem
- *Zamarzła, kurde.*
- *Zrób dziurę łyżką.*
Wreszcie płyn się polał i mogłem zacząć gotowanie. Szło jednak niesporo, bo gaz ledwo się tlił. Ogrzewałem kartusz dłońmi i gdy wreszcie zagotowałem zupę, dalsze kucharzenie postanowiłem odłożyć do rana.
- *Jesz?* - zapytałem moją żonę Alicję.
Płachta, w której leżała, dygotała miarowo.
- *Hm mhm hy.*
- *To masz.*
Rozlała chyba z połowę, tak łyżką dzwoniła o zęby. Ręka, którą wyjąłem ze śpiwora, żeby podać jej kubek, błyskawicznie mi zmarzła. Najwyraźniej działo się coś niedobrego.
Szybko przełknąłem swoją porcję i wpełzłem do śpiwora. Chmiel z doktorem podrzucili mi jeszcze kiełbasę, którą z rozkoszą przeżułem. Zapiąłem płachtę, naciągnąłem śpiwór na głowę i postanowiłem zasnąć.
Było jednak niewygodnie. Leżałem jak w hamaku, albo raczej jak w fotelu. Uciskały mnie różne bety i w ogóle nie mogłem się umościć.
- *Śpisz?* - zapytałem trzęsący się obok mnie tłumoczek
- *Nie.*
- *Przysuń się do mnie, tyłek chociaż połóż na karimacie.*
- *Dobrze jest.*
- *Ciepło ci?*
- *Na granicy.*
No tak, granica - w rzeczy samej - była blisko.
- *Zimno Ali?* - zainteresował się doktor.
- *Trzęsie się.*
- *To pomaga. To termogemeza drżączkowa, lub w niektórych źródłach - drżeniowa.*
- *Jej chyba wszystko jedno.*
- *W sensie, że ogrzewa mięśnie.*
- *Co ty chrzanisz? Zimno ogrzewa mięśnie?*
- *Nie zimno, jełopie, skurcze. Skurcze ogrzewają.*
Patrzcie państwo, czy ten doktor ma mnie za debila - skurcze ogrzewają! Hę, mnie jakoś nie ogrzewają - może Alicję?
Ale faktycznie, przestała się trząść, toteż opuściły mnie wyrzuty sumienia, że nie oddałem jej swojej karimaty. Ona, skubana, wszędzie zaśnie. A ja, wiadomo - delikatny. Ale i mnie po chwili zrobiło się prawie ciepło i nawet mogłem zdjąć gore-tex. Jakoś się wreszcie ułożyłem i spróbowałem zasnąć.
Obudziło mnie kapanie na twarz. Wylot się zalodził, a od środka topniał i to nie dawało spać. Odsunąłem go od twarzy i położyłem się na boku. Znów przysnąłem. Ale bok mi zdrętwiał, więc zacząłem mościć się od nowa.
- *Jezu, jak ty się wiercisz* - skrytykowała Alicja.
- *To przez ten cholerny dół...*
No więc zaległem bez ruchu i leżałem, cierpiąc w milczeniu. Ciekawe, czy chłopaki śpią - mają przecież namiocik.
- *Ej, śpicie?*
- *Nie tam, podsypiamy.*
- *Ciepło wam?*
- *Idealnie!*
- *Mnie nie bardzo* - zaprotestował Zioło.
- *To co, zimno?*
- *W nogi, kurde.*
- *A mi w dupę* - przyznał się w końcu Chmiel. - *Ale poza tym idealnie.*
No to przynajmniej jest sprawiedliwość na tym łez padole. Wszystkim zimno. W zasadzie mi było bardziej niewygodnie niż zimno, ale komfortem termicznym tego nie można nazwać. I tak już pozostało do rana.
Gdy niebo pojaśniało wreszcie, nie trzeba mnie było specjalnie budzić.
- *Szósta, wstajemy* - oznajmiłem, a odpowiedziało mi przeciągłe pojękiwanie i gigantyczne ziewy.
Nie ja jeden oczekiwałem świtu.
Wszyscy niemrawo zaczęliśmy gramolić się z betów. Wtedy okazało się, że jest jeszcze gorzej niż wieczorem.
Wyjęty z płachty Epigaz ani myślał się zapalić.
- *Co jest!? Wasz się pali?*
- *Pali, miałem w śpiworze, ale słabiutko...*
No cóż, nie było rady - gaz powędrował w bety, w słabiznę.
- *Ale zimny, skurczybyk* - jęknąłem.
Po paru minutach udało się osiągnąć nikły płomyczek. Wszystko, co uzyskałem, to pół menażki wody. Z rozkoszą wypiliśmy tę porcję, ale gotować więcej nikomu się nie chciało.
Z ulgą ruszyliśmy do góry.

- *Zaraz będziemy pod ścianą! Patrzcie, jak to blisko* - byłem pełen optymizmu.
I faktycznie, ruszyliśmy niczym husaria na Szwedów. Wkrótce jednak ponieśliśmy pierwsze straty w ludziach.
Padł Chmiel.
- *Zostawcie mnie* - rzekł z godnością. - *Poradzę sobie.*
- *Chmielu, odpuszczasz, naprawdę?*
- *Moje nogi to porażka. To nie ma sensu.*
Zawrócił, a my sunęliśmy dalej. Rychło nasz marsz zamienił się w walkę. Sypki śnieg skrywał kamienie, między którymi ciężko było się posuwać. Narty blokowały się, ale bez nich w ogóle iść się nie dało.
Wreszcie, po dwóch godzinach, stanęliśmy pod północną ścianą Jaworowego.
Była ósma.
Mieliśmy kupę czasu.
- *Chyba śnieg nie jest zły* - powiedział doktor i odpiął narty.
Natychmiast zapadł się po pas.
- *Jednak jest zły* - zdecydował.
Usiedliśmy na plecakach. Miny mieliśmy nietęgie, ale przystąpiliśmy do szpejenia. Ledwo włożyliśmy uprzęże, a już powstały wątpliwości.
- *Jest za zimno* - oświadczyła twardo Alicja.
- *Na Stanisławskiego nie damy rady* - poparł ją doktor.
- *Nie przesadzajcie* - oponowałem - *to tylko trzy trudne wyciągi.*
- *Nie ma mowy, nie idę* - zaparła się Alicja.
- *No to chodźmy na Filar Martina!*
- *Też nie damy rady, nie w tych warunkach...*
- *No to chociaż na Jaworową przełęcz, poznamy zejście...*
Twarz doktora przeciął krzywy uśmiech.
- *Prezesie, apeluję do twojego rozsądku!*
- *Jezu, taki kawał podejścia...*
- *Prezesie!!!*
- *Daj spokój, wracamy* - zakończyła spór Alicja, umieszczając uprząż w plecaku.
Spojrzałem na swój wór ze szpejem. Nie mogłem jeszcze uwierzyć, że wyniosłem go tak daleko, żeby go teraz po prostu znieść. Po chwili jednak uwierzyłem i w rezultacie, w pełnej zgodzie, żwawo ruszyliśmy w dół.
W nagrodę czekał nas wspaniały zjazd w dół doliny. Nartki spisywały się w puchu wyśmienicie i jazda była prawdziwa przyjemnością.
Niebawem byliśmy już przy Chmielu, którego właśnie wizytował leśniczy Jaworowej.
- *Słuchajcie* - już z daleka entuzjazmował się Chmiel - *w Moku było w nocy minus dwadzieścia dziewięć, a tutaj poniżej trzydziestu.*
No tak - to wiele wyjaśniało. Minus trzydzieści - naprawdę zimno. I wciąż było niecieplo - minus dwadzieścia.
- *Widzisz* - triumfowała Alicja - *a ty się wspinać chciałeś!*
Leśniczy - ku naszemu zdziwieniu - nie miał nic przeciwko biwakowi: zlustrował Biwakplatz i nie znalazłszy ani papierka, popatrzył na nas przychylnie.
Pożegnaliśmy się grzecznie, wyrażając przekonanie, że zaraz będziemy na dole.
Leśniczy, sympatyczny dosyć facet, roześmiał się.
- *Dolu gorsze czem horu* - jakoś tak to skwitował i miał, niestety, rację.
Jazda wąską ścieżką w dół z worami na plecach była dla męskiej części wyprawy (żeńska dość szybko zniknęła nam z oczu) karkołomną przygodą, toteż zaliczyliśmy po drodze wszystkie większe zaspy. Lecz w końcu dialektyczna logika dziejów zaniosła nas do Jaworzyny. Ku naszej radości, otwarta była miejscowa karczma i mogliśmy najeść i napić się do syta. Gdy wyszliśmy przed knajpę, na niebie wciąż pyszniło się jaskrawe słońce.
- *Że też ze wszystkich nocy tej zimy* - westchnęła Alicja - *musiałam kiblować akurat w tę najzimniejszą.*
- *I to bez karimaty* - dodał doktor.
- *Ale wiecie* - kontynuowała Alicja - *następnym razem, to raczej nie pójdę tędy.*
- *Ja też nie* - zgodziłem się skwapliwie. - *Trzeba iść od południa, przekimać się w Zbójnickiej, a w nocy podejść przez Jaworową.*
- *Idealnie* - przytaknął Chmiel. - *To rozwiązanie godne człowieka cywilizowanego. I dlatego je popieram.*
Zarzuciliśmy wory na plecy i ruszyliśmy ku granicy. Nikt tego nie powiedział, ale było to dla nas najzupełniej jasne: na razie wystarczy.
Jaworowy poczeka sobie do następnej zimy.
Wtedy mu pokażemy!

Z Moka do własnej drogi na El Capitan

Od redakcji (GG): Wywiad z Jackiem Czyżem jest - nawet jak na warunki kultowego pisma dla wspinaczy - najeżony szczegółami technicznymi i terenowymi. Ale z drugiej strony pierwsza polska nowa droga na El Capitanie, i to w dodatku solo, zdarza się tylko raz w historii ściany, nawet tej najsłynniejszej. Więc poznajmy szczegóły takie jak chce autor drogi, który dojrzewał do swego projektu kilka lat. Wywiad przeprowadził Paweł Szymański z Chicago Mountaineering Club, współredaktor klubowego magazynu The Mountaineer, w którym wywiad ukazał się w tłumaczeniu na angielski (www.cmcwebsite.org).

Nadmieńmy, że w marcu b.r. Jacek za swój wyczyn został uhonorowany nagrodą Kolosy 2002 w kategorii alpinizm, a w styczniu 1999 od Dziennika Chicagowskiego otrzymał puchar dla najpopularniejszego sportowca amatora Polonii amerykańskiej.

Paweł Szymański: *Ile czasu zajęło Ci przygotowanie tej nowej drogi?*

Jacek Czyż: Pięć lat. Pierwszy pomysł narodził się, gdy zrobiłem swoje drugie przejście El Capitana w 1997 roku. Kiedy wspinałem się na drodze **Sunkist**, zauważyłem tam pewne możliwości w pobliżu drogi **Muir Wall**, w połowie wysokości ściany. Zaś w górnej części zauważyłem miejsce na warianty, które miałyby początkowo przebiegać jako przedłużenie trasy **False Shield**. Później jednak zdecydowałem się poprowadzić moją linię bliżej Muir Wall.

P. S. *Dlaczego wybrałeś tę część El Capitana i jakimi kryteriami kierowałeś się podczas wyboru nowej drogi?*

J. C. Po pierwsze, chciałem aby teren był dziewiczy. Czyli aby nie było tam zbyt wielu dróg w bliskiej odległości od siebie, i aby moja droga miała jak najwięcej samodzielnych wyciągów, a nie stała się tylko wariantem do dróg już istniejących. Planowałem przejść przynajmniej pół ściany w sposób zupełnie nowy, bo zdawałem sobie sprawę, że nie jest już możliwe wytyczenie takiej linii na El Capitanie, która zupełnie nie wykorzystywałaby wcześniejszych dróg.

Jacek Czyż na Taft Point w lecie 1999, dwa dni przed jednodniową wspinaczką na Nosie (z Jackiem Krawczykiem)

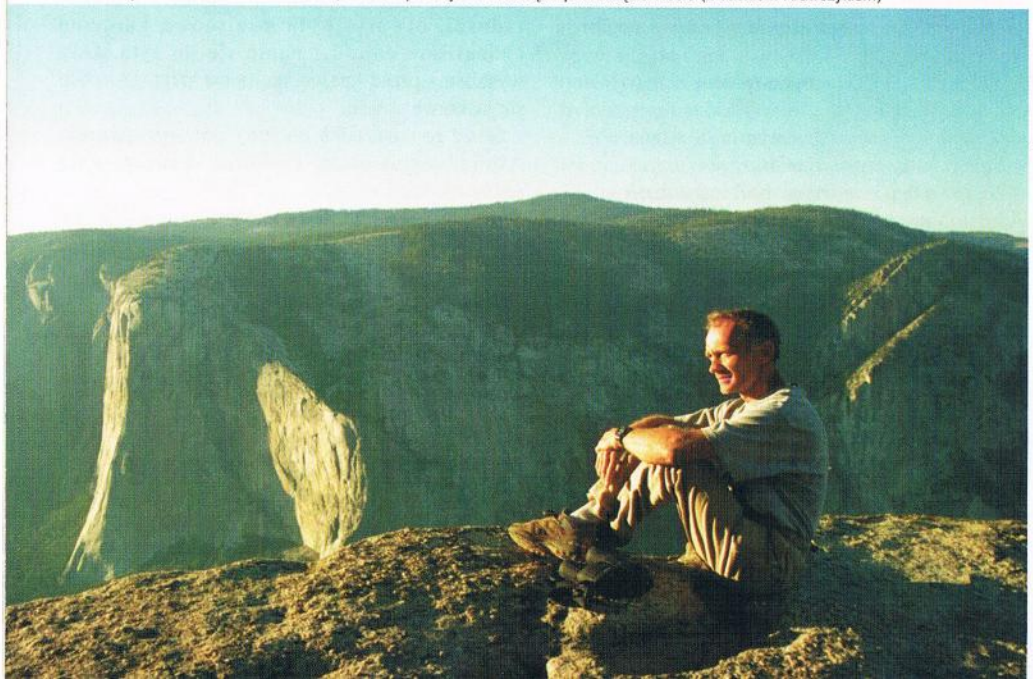

fot. arch. Jacka Czyża

fot. Jacek Łupina, arch. Jacka Czyża

Jacek Czyż i Robert Sieklucki na Jolly Rogerze w 1999, końcówka 20. wyciągu

Po drugie, chciałem także uniknąć nadmiernego wiercenia skały pod nity, gdyż przy pomocy wielu nitów można przejść każdą dziewiczą połać ściany.
Przed wytyczeniem mojej drogi wiedziałem, którędy biegną droga Muir Wall i jej klasyczne warianty **Shaft** oraz drogi **Meditterraneo**, False Shield i częściowo Turning Point. **Turning Point** była ważną niewiadomą w moich planach, choć miałem nadzieję, że nie będzie przebiegała przez miejsca, którymi zamierzałem iść. Ale nigdzie nie mogłem znaleźć dokładnych informacji na jej temat. Jednak patrząc na ścianę i porównując ją z opisami które udało mi się znaleźć, domyśliłem się jej przebiegu. Zaś rozwiązanie startu mojej nowej drogi przyszło mi do głowy wiosną 2002, kiedy robiłem drogę **Dorn Direct**. Po obejrzeniu stamtąd ściany stwierdziłem, że będę miał możliwość niezależnego startu.

P. S. *Czy trudności techniczne były trzecim kryterium przy wyborze nowej drogi?*

J. C. Nie. Trudności technicznych nie można przewidzieć. Są uwarunkowane trzema czynnikami. Po pierwsze, zależą od naturalnego układu skały i tu już sama przyroda narzuca trudności. Po drugie, od tego w jakim stopniu osoba wspinająca się jest w stanie wykorzystać tą naturalną rzeźbę. Innymi słowy, te same odcinki dla jednego wspinacza mogą być trudne, a dla drugiego łatwe. Ktoś nie będzie w stanie przejść pewnych miejsc, bo mu psychika na to nie pozwoli, mimo że technicznie takie przejście jest w jego zasięgu. Za to ktoś inny może ten sam odcinek przejść bez większych problemów, nawet się zbytnio nie zastanawiając nad tym co będzie, gdy odpadnie.
Trzecim czynnikiem jest sprawa związana z etyką wspinania. Ściślej biorąc, jak dużą liczbę sztucznych ułatwień, a w szczególności ilość wierconych otworów, akceptuje środowisko wspinaczkowe i sam wspinacz.

P. S. *Jakie znaczenie ma nawigacja na dużej ścianie?*

J. C. Bardzo ważna jest umiejętność poruszania się na dużej ścianie. Gładka ściana i mała ilość rys wymagają dużych umiejętności nawigacyjnych. Zły wybór formacji i rys podczas wspinania mógł mnie zagonić w ślepą uliczkę. W takim wypadku byłbym zmuszony do nadmiernego nitowania albo do wycofania się. Jak już wcześniej powiedziałem, chciałem uniknąć nadmiernego wiercenia i poruszać się maksymalnie wykorzystując rzeźbę skały. Dla ułatwienia sobie orientacji w ścianie, posługiwałem się wieloma zdjęciami, w dużych powiększeniach, zrobionych w różnych porach dnia przy różnym oświetleniu, co uwydatnia różne szczegóły.

P.S. *Czy domyślałeś się jakich trudności możesz się spodziewać podczas wspinaczki?*

J. C. Domyślałem się, że droga będzie trudna. Na pewno około A4, ponieważ moje wyciągi miały biec w bardzo gładkich częściach ściany. Nie byłem jednak w stanie przewidzieć, czy ostatecznie będą to trudności A3+ czy A5.
Kiedy patrzyłem na przyszłą drogę z Dorn Direct, domyślałem się, że mój trzeci wyciąg może być nawet A5. Nigdy bym się nie zdecydował na wejście w tę ścianę, gdybym stwierdził, że musiałbym przejść tam 40 metrów tylko na hookach [chodzi o uogólnienie skyhooków, wszystkie w pełni haczykowate haki specjalne do zawieszania za krawędzie, np. fish hook itd. - Red.]. Groziłby mi ponad 80 metrowy lot. Moja psychika jest za słaba na takie ryzyko. Muszę przyznać, że miałem przedtem chwile zwątpienia. Otrząsnąłem się ze złych myśli, czyszcząc sąsiedni wyciąg na Dorn Direct, gdy w morzu gładkich płyt znalazłem przez przypadek niewiarygodną możliwość założenia bombowego przelotu. Była to mikrojaskinia, rozszerzająca się do wewnątrz, średnicy małej pięści. Idealna do założenia heksa. W razie gdybym przeszedł płyty poniżej lub powyżej tego miejsca z użyciem naturalnej rzeźby skały, dałoby to odcinek trudności rzędu A4 lub A5. Bo właśnie mając jeden pewny punkt asekuracyjny mogłem odważyć się zaatakować ten wyciąg. Dzięki temu otworzyła się możliwość przejścia ponad stumetrowej płyty jako samodzielnego startu do nowej drogi. W praktyce okazało się jednak, że po 6 metrach i tak musiałem wiercić skałę pod nita, ale nie z powodu obaw przed lotem, tylko dlatego że po prostu nie dało się dalej przejść. Ściana była zbyt gładka.

P. S. *Czy mógłbyś opisać cały proces przygotowania tej drogi?*

J. C. Bardzo ważną drogą w moich planach był Sunkist. Przejście Sunkista pozwoliło mi na konkretne ulokowanie tej drogi, potem starałem się zebrać jak najwięcej informacji o tej części El Capitana. Tych materiałów nie jest zbyt wiele. Przewodniki nie opisują wszystkich istniejących dróg. Poza tym jest w nich dużo informacji błędnych. Niektóre drogi, takie jak Meditterraneo, to jest droga hiszpańska, zrobiona przez czterech braci Gallego w 1980 roku, nie są w ogóle opisane w amerykańskich publikacjach. Amerykańskie środowisko wspinaczkowe nałożyło jakby embargo na jakiekolwiek informacje o tej drodze. Bowiem Hiszpanie zaporęczowali około 3/4 sciany, co wzbudziło wiele emocji natury etycznej. Jedyne topo Meditterraneo istnieje na mapie ściennej El Capa, wydanej w 1996 roku [tzw. Wadman Poster,

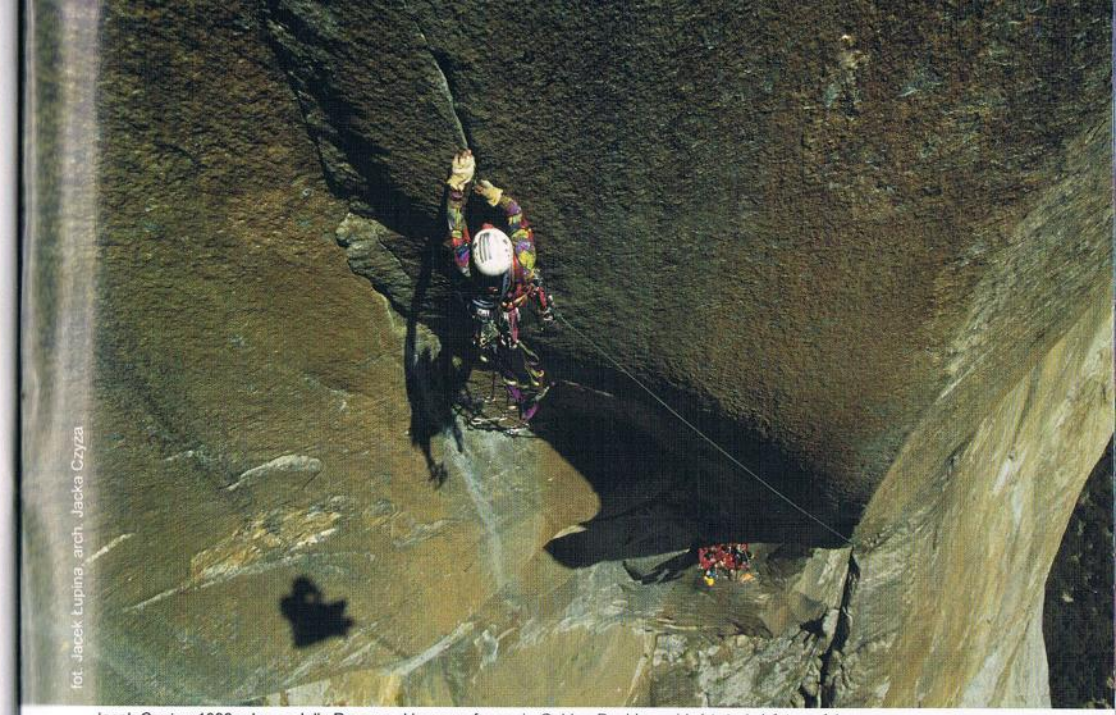

Jacek Czyż w 1999 roku na Jolly Rogerze, kluczowa formacja Golden Doublon, widać też cień fotografującego

zob. więcej w Taterniku 1-2/2003 s.51-Red.]. Ale i na niej nie są zaznaczone dolne wyciągi. Rozgryzienie przebiegu Meditterraneo zajęło mi dwa sezony, ale też było bardzo pomocne w wytyczeniu mojej drogi.

P. S. *Zlokalizowałeś dwie drogi, które są słabo oznaczone i prawie w ogóle nie opisane. Jaki był twój następny krok?*

J. C. Już dwa lata temu jechałem w Yosemite, aby zrobić nową drogę. Jednak mojemu ówczesnemu partnerowi, Robertowi Siekluckiemu, nie podobał się pomysł przebiegu startu pierwszych wyciągów do mojej nowej drogi. Gdy zlokalizowaliśmy wreszcie start Meditterraneo, okazało się, że początkowe wyciągi drogi hiszpańskiej częściowo jednak pokrywają się z moim projektem. Robertowi to nie odpowiadało, a mi z kolei odpowiadało to, że Robert wycofuje się z tego projektu. Zrobiliśmy wtedy inną pobliską drogę, **Jolly Roger** A4/A4+. Przejście to nie ma nic wspólnego z moją drogą, ale dało mi wyobrażenie jakiej klasy wspinaczem jest Steve Grossman, oraz jakich trudności mogę się spodziewać na jego nieopisanej drodze Turning Point, jeżeli bym musiał połączyć moją linię z tą drugą drogą Steva.
Z kolei rok później, robiąc Muir Wall, częściowo wariantami Shaft, miałem możliwość wglądu w górną część ściany - szczególnie w fascynującą lewą ścianę ostatniego zacięcia. Przecinał ją system cienkich rysek, możliwych do przejścia.
Ostatnią wskazówką dla mnie było zrobienie Dorn Direct. To są duże warianty do Shielda. Doznałem swojego rodzaju olśnienia i szczególnej motywacji, znajdując wspomnianą wcześniej jaskinkę. Mogłem ostatecznie przełamać opory przed zaatakowaniem tego wyciągu, otworzyły się możliwości samodzielnego startu nowej drogi przez stumetrową płytę.

P. S. *Opisz pokrótce jej przebieg.*

J. C. Droga zaczyna się samodzielnie. Na pierwszych trzech wyciągach musiałem wbić 20 nitów, łącznie z nitami stanowiskowymi. Trzecie stanowisko jest bardzo blisko Muir Wall, dosłownie parę metrów z boku, na samodzielnej półeczce. Na czwartym wyciągu przecinam Muir Wall. Idę około 25 metrów wspólnie z drogą **Magic Mushroom** i kończę już samodzielnie, dość ryzykownym przejściem na plombach czyli headach [zwanych też ogólnie copperheadami, do zaklepywania w rozwartych szczelinach - Red.] i jedynkach umieszczonych w nikłych ryskach. Ta część ma wycenę A4-R [ryzykownie - red]. Następnie przechodzę na prawą stronę w pobliże **Free Blast** [popularne klasycznie dolne wyciągi **Salathé Wall**, do Mamucich Tarasów - Red.]. Po 40 metrach wspólnych z Meditterraneo, odbijam w lewo pokonując najtrudniejszy odcinek A4/A4+ i robię następne cztery samodzielne wyciągi. Mijam formację **Half Dollar** po lewej stronie, a **Mamucie Tarasy** po prawej stronie, oraz trawersuję w prawo pod długim okapem.

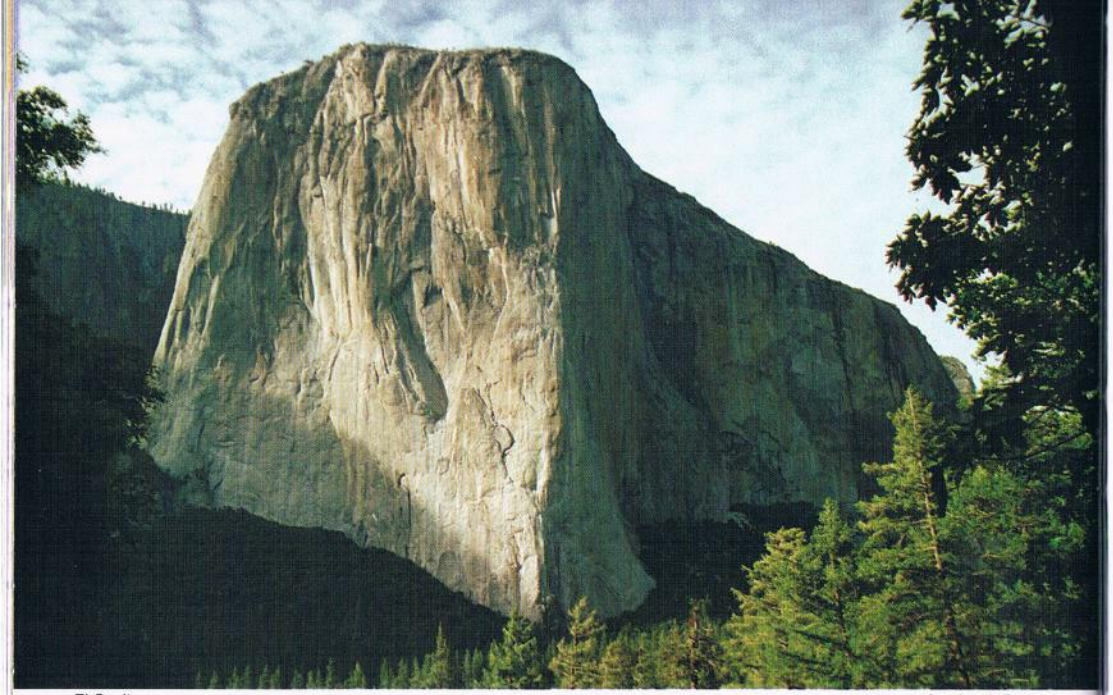

El Capitan fot. Jacek Czyż

Po wahadle łączę się na dwa i pół wyciągu z drogą Turning Point. Następne 4 wyciągi są nowe. Przecinają one Muir Wall i pokonują dalej ciąg rys po lewej stronie formacji Jedynka - Topór (**Battle Axe**) [nazwa 40-metrowej odpękniętej formacji nadana przez Jacka - Red.]. Kolejne 2 i pół wyciągu dzielę z Muir Wall. Ostatnie 3 i pół wyciągu są znów samodzielne, w tym 2 są bardzo trudne w granicach A3+, A4. Po kolejnym, ostatnim przecięciu z Muir Wall droga przechodzi wprost przez okapy, efektownie osiągając krawędź ściany.

P. S. *Jak długa jest twoja droga, ile ma wyciągów i jakiej długości?*

J. C. Cała moja droga ma 1100 metrów długości, w tym blisko 800 m samodzielnych. Pokonuje około 880 metrów deniwelacji. Różnica wynika między innymi z 9 wahadeł i 4 pająków oraz paru dużych trawersów. Droga ma 22 wyciągi, z tego łącznie 16 jest nowych. 9 wyciągów jest 55 metrowych lub dłuższych. Na przykład dystans ostatnich 6 wyciągów na Muir Wall, tak jak są opisane w przewodnikach, robię tylko 3 moimi wyciągami. Najdłuższy wyciąg jaki zrobiłem ma około 75 do 80 metrów. Na schemacie zaznaczyłem to miejsce jako wyciąg 10 i 11. Mimo, że miałem linę 60 m., było możliwe zrobienie takiego wyciągu, ponieważ na tym odcinku było 12-metrowe wahadło, po którego pokonaniu wspiąłem się, czyszcząc za sobą przeloty przez ok. 15 m [tzw. back-cleanig, w ten sposób likwidując zygzak liny - Red.]. Zaraz po tym wahadle droga łączy się z Turning Point i jest możliwość podzielenia tego długiego wyciągu na dwa krótsze, 30- i 45-metrowy. Na schemacie zaznaczone są właśnie takie krótkie wyciągi. Poza nimi żaden z pozostałych wyciągów nie jest krótszy niż 35 metrów. Daje to średnią długość wyciągu na całej drodze równą 50 m. Dla porównania, na starych, 20-letnich drogach takich jak **Zodiac**, **Shield** czy **Sea of Dreams**, tylko nieliczne wyciągi przekraczają długość 35 m.

P. S. *Ile miałeś lin?*

J. C. Używałem czterech lin na całej drodze. W pewnym momencie przydała mi się piąta, którą ktoś porzucił. Targałem ją ze sobą przez dwa tygodnie, ot tak, a nóż się przyda. A przydała mi się w momencie gdy nastąpiło zimowe załamanie pogody. Pozwoliła mi na szybkie wycofanie się z drogi i uniknąłem bezczynnego siedzenia w ścianie przez parę dni. Bezpiecznie zjechałem na moich czterech linach i tej znalezionej do Mamucich Tarasów, no a stamtąd są już stałe poręczówki aż na sam dół. Cały sprzęt zostawiłem w ścianie, co zaoszczędziło mi dużo czasu i energii. Intensywny deszcz i śnieg padał przez pełne cztery dni.

P. S. *Ile czasu zajęło Ci zrobienie tej drogi?*

J. C. W ścianie spędziłem łącznie 30 dni, z czego 26 było wspinaczkowych. Miałem 23 noclegi, w tym 20 na portaledge'u. Drogę zakończyłem tuż przed północą 20 listopada i zjechałem na biwak na 19 stanowisko, gdzie łącznie spędziłem 5 nocy. 21 listopada wszedłem ponownie po poręczówkach, aby wyczyścić ostatni wyciąg, i aby odnaleźć na szczycie wodę, gdyż od paru dni zaczynało mi jej brakować. Pół dnia zajęło mi sklarowanie sprzętu i przygotowanie się do zjazdów. 22 listopada zjechałem wzdłuż całej ściany.

P. S. *Jakiego typu i jaką ilość sprzętu zabrałeś ze sobą na ścianę?*

J. C. Ciężko wyliczyć co ze sobą wziąłem, ale oszacowałem, że wartość całego sprzętu zbliżyła się do 10 tysięcy dolarów. Czyli odzież, portaledge, śpiwór i cały szpej do hakówki. Plus cztery dynamiczne liny. Do moich przejść nigdy nie używam lin statycznych (nawet do holowania wora, tzw. „świni"), lecz grubej liny dynamicznej. W ten sposób w sytuacjach krytycznych mam dodatkową linę do wspinania. Ponadto na wszelki wypadek miałem po dwa młotki i nitownice, bo są to bardzo ważne, wręcz kluczowe przybory na nowej drodze. Plus komplet jumarów do małpowania, zapasowy jumar i bloczek do holowania wora, trzy kartusze gazu, dwa palniki i menażka, 200 karabinków, w tym ponad 25 zakręcanych. Do tego 6 kompletów małych camów, parę kompletów średnich, no i oczywiście dwa największe rozmiary camów, to znaczy Camalot 5 i Wild Country 6, które okazały się niezbędne. Pokonując wspomnianą formację Jedynkę - Topór (Battle-Axe), musiałem przejść ok. 15 metrów, używając tych największych camów, wyciągając je na zmianę spod siebie. Łącznie wziąłem 43 camy. Miałem także Big Brosy, ale okazały się nieprzydatne. Zabrałem też ok. 100 miedzianych i aluminiowych plomb czyli headów, z czego zużyłem ok. 50. No i oczywiście haki specjalne w dużych ilościach, które okazały się niezbędne.

P. S. *Ile zużyłeś wody ?*

J. C. Na początku zużywałem ok. 3 litrów dziennie. W środkowej części ściany zużycie wody spadło mi do półtora litra na dzień. Z powodu zimna - i to mimo że połowę mojego jedzenia stanowiły liofilizaty, wymagające przecież wody. Trzeba pamiętać, że zużycie wody latem często przekracza cztery litry dziennie. Obliczyłem, że na ostatnie 14 dni potrzebuję 26 litrów wody, jednak z uwagi na panujące wyższe temperatury, już po ośmiu dniach zużyłem większość zasobów. Na szczęście byłem już w pobliżu szczytu, koło którego miałem schowane

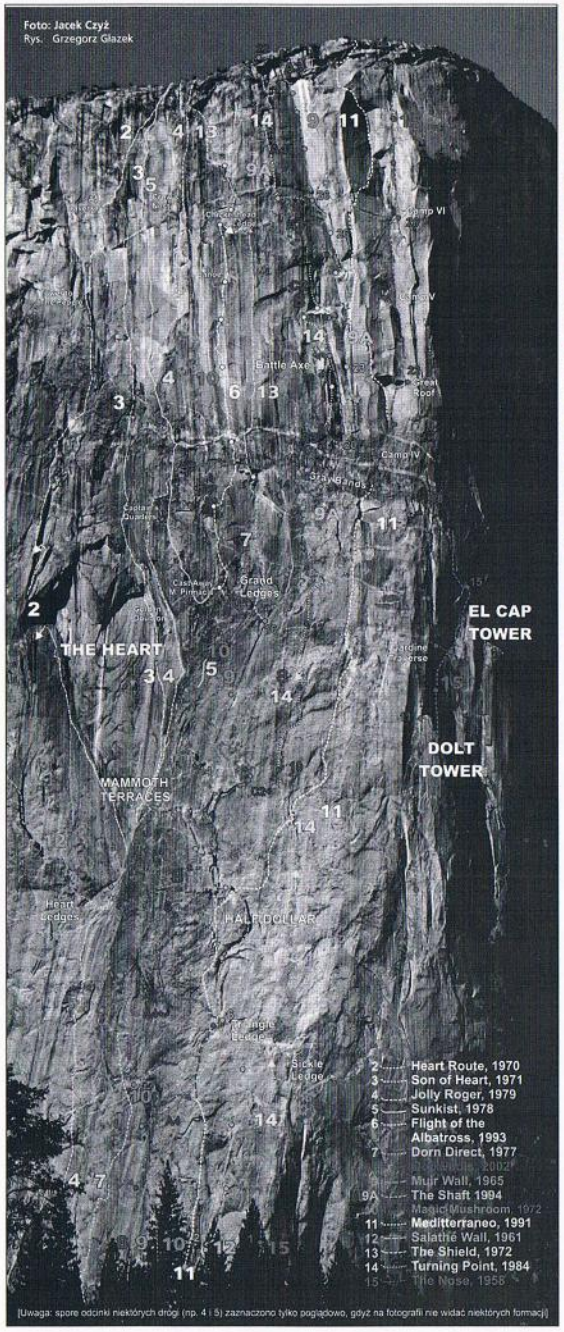

zapasy wody jeszcze z mojego wiosennego przejścia Shield. W sumie zużyłem tylko 65 do 70 litrów wody w ciągu moich 30 dni w ścianie.

P. S. *Ile miałeś worów?*

J. C. Trzy. Dwa holowałem do końca drogi, a ściślej do 19-tego stanowiska.

P.S. *W ilu miejscach miałeś biwaki na ścianie?*

J. C. Poręczowanie pierwszych czterech wyciągów zajęło mi 6 dni, które przespałem na Camp 4 [słynne obozowisko blisko podnóży ściany - Red.]. Następnie wszedłem w ścianę na siedem dni, podczas których zrobiłem siedem wyciągów. W tym czasie spałem zaledwie w trzech różnych miejscach, przy czym na 7. stanowisku aż 4 noce. Po zaporęczowaniu do 11. stanowiska cofnąłem się do Mamucich Tarasów i zjechałem na dół. Powróciłem z planem spędzenia dwóch tygodni w ścianie, i miałem wtedy 5 biwaków, ostatnie dwa na 14. stanowisku. Tam dowiedziałem się [przez telefon od Jacka Zaczkowskiego - Red.], że wkrótce nastąpi potężne załamanie pogody. Zjechałem na dół. Po tygodniu ponownie wszedłem w ścianę, spędzając w niej 10 nocy, ostatnie pięć na 19. stanowisku. Łącznie spędziłem 26 nocy w ścianie, w 11 różnych miejscach. Czyli było to połączenie poręczowania ze stylem kapsułowym.

P. S. *Ile razy wycofywałeś się ze ściany?*

J. C. Na początkowych wyciągach zjeżdżałem sześć razy w dół, a potem jeszcze dwa razy byłem zmuszony opuścić ścianę.

P. S. *Jakie były twoje najtrudniejsze wyciągi?*

J. C. Trzy wyciągi są wycenione na A4, w tym jeden na A4/A4+. Każdy z nich ma innego rodzaju trudności. Jest jeszcze 15. wyciąg A3+, na którym też się trochę bałem. Zajął mi on trochę czasu, ponieważ uparłem się, aby tam nie wbić nita. Ale po kolei, pozwól mi opisać jak te odcinki wyglądają. O samych trudnościach pierwszego wyciągu mówiłem już wcześniej. Pomogła mi tu wspomniana osobliwość geologiczna, tj, jaskinka na środku gładkich płyt, niespodziewany otwór w ścianie wielkości zaciśniętej pięści. Na tyle głęboki, że mogłem włożyć ramię aż do łokcia. Kiedy rozświetliłem ten otwór czołówką, okazało się, że ma on długość przynajmniej pół metra. Pozwalał mi on na założenie stuprocentowego punktu asekuracyjnego przez włożenie dużego heksa. Chroniło mnie to przed długim lotem, gdyby następny odcinek tego wyciągu okazał się w granicach A5 [tzn. w razie lotu wylatują wszystkie przeloty - Red.]. Po paru metrach okazało się, że i tak nie będę w stanie przejść tego bez wbijania nita, którego umieszczenie automatycznie obniżyło wycenę całego wyciągu do A3+. Gdyby tam pewna krawądka na hooka nie urwała się pod moim ciężarem, nie musiałbym wbijać nita i wyceniłbym ten odcinek na A4. No ale cóż, krawądka urwała się podczas testu i musiałem wiercić. Zdumiało mnie trochę, w jaki sposób taki dziwaczny otwór mógł się ukształtować na płaskiej granitowej płycie. Już wcześniej widziałem tego typu formacje na El Capitanie w dolnych częściach Jolly Rogera. Podobną jaskinkę można zobaczyć na zjazdach z Sercowych Półek [**Heart Ledges** - Red.].

P. S. *Dlaczego najbardziej się bałeś na 4 wyciągu?*

J. C. Czwarty wyciąg wyceniłem na A4-R. Patrząc przez lornetkę nie przypuszczałem, że będzie to trudne technicznie miejsce. Zauważyłem dwie lub trzy krótkie, skośne ryski, które sądziłem, że będą łatwe do zrobienia. Myślałem, że na dojściu do nich będę zmuszony użyć riveta [słaby nit typu rivet, jak do łączenia blach,

Reticent Wall, przejście Jacka solo 1999, trawers A3+ (uprzednio A4) na skyhookach w połowie 11. wyciągu

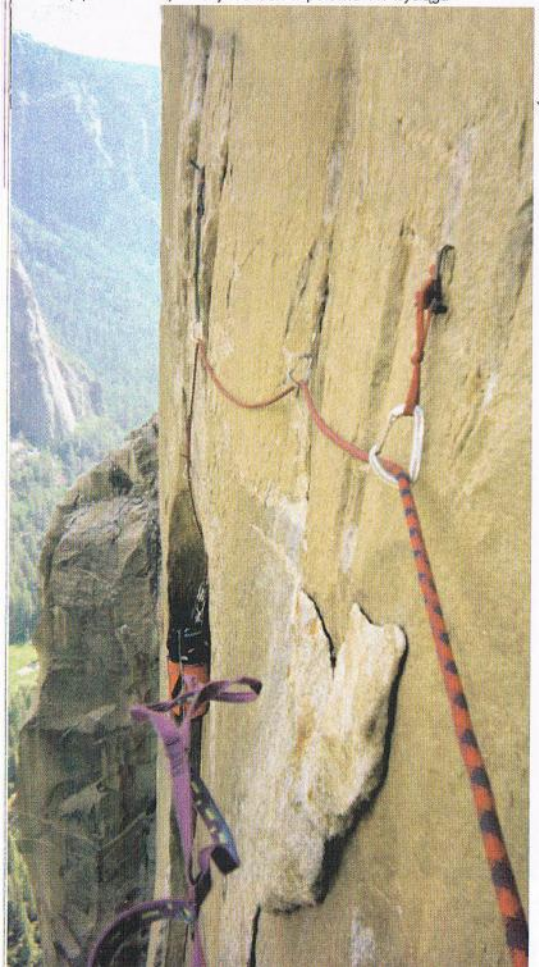

fot. Jacek Czyż

rozklepywany w dziurce do ok. 1 cm głębokości; dużo słabszy od solidnego bolta jakim jest np. spit - Red.]. Zapewniłby mi minimum asekuracji podczas przejścia ok. dwóch metrów, które dzieliły ryski od wielkiego zacięcia na drodze Magic Mushroom. Jednak w czasie wspinaczki okazało się, że z dużymi problemami, ale sam sięgam do pierwszej z rysek. Okazała sie bardzo trudna. Do jej przejścia użyłem bardzo słabo wbitych bird beaków [hak typu mała jedynka, z dodatkowych ząbkowaniem na ostrzu - Red.] i rurpów. Osadzałem je na wyczucie. W dalszej części dałem parę słabych, najcieńszych copperheadów. Niektóre z nich osadziłem parami, za odpęknięte skalne bloczki. Całość trudności występowała co najwyżej na długości 8 do 9 metrów, ale jakikolwiek błąd groził niebezpiecznym lotem z lekko przewieszonej ścianki. Na pewno skończyłby się uderzeniem o pologą lewą ścianę zacięcia. Tak, na tym wyciągu bałem się najbardziej.

P. S. *Który z wyciągów jest kluczowym problemem na twojej drodze?*

J. C. Szósty wyciąg. Wyceniłem go na A4/A4+. Wyciąg ma 65 metrów długości razem z wahadłem. Pierwsze 20 metrów biegnie wspólnie z drogą Meditterraneo i są to przeplatane trudności 5.6 do 5.9 A0, a trudności hakowe dochodzą do A3. W miarę dobry punkt asekuracyjny występuje na 12. metrze tego wyciągu i są to dwa stare nity. Jeden z pierwszego przejścia Meditterraneo, a drugi może z jakiegoś powtórzenia. Połączone razem są ostatnim, w miarę pewnym, punktem asekuracyjnym, na następne 25 metrów. Pierwsze 4 metry do góry to ruchy klasyczne i na skyhookach, aż do poziomego gzymsu, którym w lewo około 5 metrów. Występują tam trudności klasyczne rzędu 5.9 - 5.10 R lub A3, jeżeli to pokonywać na hookach. Na końcu gzymsu znalazłem stary hak typu listek. Jakieś dwa metry nad nim zobaczyłem na wpół wyrwany „chicken rivet" [czyli dodatkowy nit, niekonieczny, ale wbity ze strachu - Red.]. Meditteraneo podąża dalej prosto do góry, a ja miałem zaplanowane w tym miejscu wahadło lub trawers w lewo. Chciałem obniżyć się pod małe przewieszki i znaleźć się w pobliżu niklej, długiej ryski, którą wypatrzyłem jeszcze z dołu. Ale nie wiedząc co tam będzie, trochę obawiałem się zjazdu ze starego haka lub słabego riveta. Wypatrzyłem możliwość niewielkiego odejścia w lewo z pomocą hooków, w celu osadzenia nita, co byłoby wygodne dla mnie, ale również było pożądane etycznie, aby nie wiercić na istniejącej już drodze. Ku mojemu zdziwieniu, płyta zaczęła się coraz bardziej kłaść i obfitowała w ciąg małych krawądek i listewek umożliwiających przedłużenie poziomego trawersu na hookach. Po około 7 metrach możliwości dalszego trawersu w lewo skończyły się, około 5 metrów przed początkiem ryski. Rozglądałem się wyżej za bezpośrednim wahadłem do ryski. W ten sposób urobiłem na hookach dalsze 5 metrów w górę, aż do wygiętego w kształcie półksiężyca gzymsu. Teraz już byłem pewien, że stojąc na nim zrobię użytek z nitownicy. Stanięcie na gzymsie okazało się problematyczne, ale za to po oczyszczeniu go mogłem na nim powiesić dwa duże hooki. Połączyłem je ekspresami, no i miałem z czego wykonać moje wymarzone wahadło - tyle że z nieco bardziej bijącym sercem, niż gdybym zamiast hooków osadził nita. Około pięciometrowy pająk okazał się łatwy, ale wpasowanie się w osiągniętą trawersem ryskę już okazało się trudniejsze. Zapierając się w wahadle nogami i przytrzymując się dwoma palcami jednej ręki, usiłowałem coś zaklepać w rysce, która okazała się wprawdzie szeroka na 2-3 centymetry, ale była to nie tyle ryska co raczej owalna rynienka. W końcu po pół godzinie odważyłem się powiesić na pierwszych trzech połączonych razem punktach tj. rurpie wbitym na 1 do 2 mm, copperheadzie i jedynce. Dopiero po przejściu 7 metrów mogłem osadzić lepsze punkty. Kiedy znalazłem się 2 do 3 metrów powyżej mojego wahadła, byłem w stanie zamontować na tyle pewny multi przelot [tj. złożony z kilku przyrządów i pracujący w różnych kierunkach - Red.], aby umożliwił mi on w miarę bezpieczne wyczyszczenie spod siebie z takim trudem osadzonych rzęchów. Samo przegięcie liny spowodowane wahadłem i moim znacznym postępem w tej cienkiej rysie nie przeszkadzało mi swoim przesztywnieniem w prowadzeniu, ponieważ wspinałem się solo. Jednak taki układ liny stwarzał niebezpieczeństwo wydłużenia potencjalnego lotu z dalszej części wyciągu, o około 10 metrów. Powyżej trudności nie przekraczały już A3. Przy osadzaniu nitów stanowiskowych znowu miałem szczęście, gdyż koniec liny zastał mnie akurat na 3-metrowej gładkiej przerwie między rysami, co zaoszczędziło mi

wiercenia rivetów. Wyceniając trudności tego długiego wyciągu, miałem dylemat: dać A4 czy A4+. Zgodnie z opinią Johna Middendorfa, wycena A4+ i więcej przysługuje wtedy, gdy wspinacz ma odczucie śmiertelnego ryzyka. Ja wprawdzie takiego odczucia nie miałem, lecz potencjalne niebezpieczeństwo długiego lotu jest wysokie, a może być powiększone do 40-50 metrów, o ile nastąpiłoby wyrwanie jednego słabego riveta i haka. Więc ostatecznie wyceniłem na A4/A4+.

P. C. *Z jakimi trudnościami borykałeś się na 15 wyciągu? Czy to był ostatni skomplikowany wyciąg?*

J. C. Piętnasty wyciąg jest długości 45 metrów i wyceniłem go na A3+. Trudności na tym odcinku jest nie więcej niż 10 metrów w linii prostej, ale pokonanie ich zajęło mi 3 godziny. W jednym miejscu mógłbym wbić riveta i spokojnie przejść ten odcinek w pół godziny, ale okazało się, że lawirując, mogę przejść to miejsce bez kucia skały.

Nie był to jednak ostatni problem na mojej drodze. Kolejne trudne miejsca są na wyciągu dziewiętnastym. Pierwsza jego część pokrywa się z 25 wyciągiem Muir Wall i jest to A2, lub robiąc w stylu clean, C3F [F od fixed, tzn. bez młotka ale na zastanych przelotach - Red.]. Pod wielkim odstającym od ściany blokiem robię trawers w lewo (gdzie Muir Wall odchodzi w prawo do stanowiska), równocześnie czyszcząc przeloty za sobą. Pierwszy odcinek nowego terenu, robiony głównie na jedynkach, rurpach i plombach, to A3+, oddzielony stopniem - odstrzeloną półeczką - od ostatniej sekcji z hookami, też A3+.

20. wyciąg jest ostatnim bardzo trudnym wyciągiem. Rozpoczyna go ryzykowne skradanie się na hookach do trzech plomb parenaście metrów nad półką stanowiskową, czyli A3+X [X oznacza więcej niż R, uderzenie grozi śmiertelnymi kontuzjami - Red.]. Powyżej krótka drabina rivetów doprowadza do systemu cienkich rysek, których końcowe 15 metrów jest jednostajnie bardzo trudne. Ten odcinek o trudnościach A4 był bardzo przyjemny do prowadzenia, pomimo - a może dlatego - że robiłem go nocą.

Podsumowując, najpoważniejsze wyciągi na mojej drodze to wyciąg czwarty A4-R, szósty A4/A4+, piętnasty A3+, dziewiętnasty A3+ oraz dwudziesty A4.

P. S. *Czy przechodzisz jakieś kryzysy podczas samotnej wspinaczki i jak sobie z nimi radzisz? Czy czujesz się zmęczony psychicznie po przejściu trudnego odcinka ?*

J. C. Przyznam się, że boję się kiedy robię trudny wyciąg i jak to się mówi, tyłek marszczy mi się ze strachu. Ale generalnie gdy go skończę, to jestem podbudowany psychicznie. Czyli kolejne trudne wyciągi powodują u mnie wzrost zaufania do samego siebie. Strach najczęściej mnie dopada na początku drogi, gdzie długi lot grozi uderzeniem o ziemię. Na początkowych wyciągach mogę spędzić bardzo dużo czasu. Przechodząc pierwszy wyciąg A2, boję się tak samo jak potem na wyciągu A4. Może dlatego, że nie jestem jeszcze rozgrzany, a może lata wspinania dają mi inną ocenę sytuacji. Wspinając się solo, po długim, męczącym wyciągu, muszę zjechać do dolnego stanowiska aby wyczyścić wyciąg, odczepić wór i wciągnąć go na górę. W przypadku dwóch worów, muszę czasami zjechać i wejść dwa razy. Jest to duży wysiłek. Ale nie pamiętam, abym miał jakiś kryzys z tym związany. Na wszystkich drogach, pomiędzy Muir Wall a Nosem, najbardziej męczy wiatr. W okresie w którym się wspinałem, było już zimno. Choć rano, pomiędzy godziną dziesiątą a jedenastą, było bardzo ciepło, nawet wręcz gorąco i wspinałem się w krótkim rękawku. Ale punktualnie o godzinie jedenastej nadchodził silny wiatr i lodowate zimno. Sam wiatr nie wpływa na mnie destrukcyjnie, ale połączenie wiatru, zimna i zmęczenia działa jednak ujemnie. Myślę, że gdybym nie robił nowej drogi, tylko jakieś powtórzenie istniejącego przejścia, to po miesiącu wspinania wróciłbym do domu. Świadomość tego, że robię nową drogę, mobilizowała mnie psychicznie i nie dopuszczała chwil zwątpienia. Po prostu, zbyt dużo czasu i wysiłku zajęło mi przygotowanie tej drogi, aby wycofać się z powodu zmęczenia, wiatru i zimna.

P. S. *Nie czujesz się samotny robiąc solowe przejścia?*

J. C. Nie, absolutnie nie. Parę dni temu czytałem książkę Pata Amenta o Royalu Robbinsie, pt. „Spirit of the Age". Autor napisał, że Robbinsowi jednak doskwierała samotność podczas solowej wspinaczki. Robbins dokonał wtedy pierwszego solowego przejścia El Capitana robiąc Muir Wall, która jest w bliskiej odległości od mojej drogi. Sam zaś, na Reticent Wall, spędziłem 15 dni na ścianie i samotność mi nigdy nie doskwierała. Wręcz przeciwnie, jest to dla mnie rodzaj jakiegoś głębokiego przeżycia. Nie jest to stan euforii, ale bardziej jakby spokoju. Doskonale mógłbym porównać moje przeżycia do tych uczuć, które opisał Marek Kamiński w swojej książce - skądinąd dość monotonnej - o samotnej wyprawie na biegun południowy. Liczy się tylko to, że każdego dnia muszę pokonać określoną ilość metrów skały, bo każdy nie pokonany metr powoduje uszczuplenie zapasów wody i jedzenia. Co dwa, trzy dni kontroluję ilość jedzenia, wody i ilość metrów do pokonania. Nic innego się nie liczy. Życie sprowadza się do prostych rzeczy.

P. S. *Czy zabierasz ze sobą jakiś magnetofon albo książkę?*

J. C. Nie, nic z tych rzeczy. Ludziom się często wydaje, że samemu na ścianie można się znudzić, a to nie jest prawda. Być może można się znudzić w ścianie, wspinając się z kimś w zespole.

Często godzinami siedzi się na portaledge'u i asekuruje partnera, który się wspina. A to jest strasznie monotonne. Gdy robiłem z Robertem Siekluckim Jolly Rogera, to mimo powagi tej drogi uważam, że nasze przejście było spacerem w porównaniu z solowymi przejściami Quo Vadis czy nawet Reticent Wall. I w tym wypadku nie chodzi bynajmniej o same trudności techniczne. W zespole bywają dni, kiedy nic się nie robi podczas takiego przejścia, bo twój partner się wspina, a ty leżysz na portaledge'u i podziwiasz widoki. Czasami podeślesz jakiś szpej. Potem czyścisz drogę, kiedy on wciąga wór. Dlatego trudno porównywać obciążenie wspinaczką w zespole i solo.

W okresie w którym robiłem **Quo Vadis**, każdy następny dzień stawał się krótszy. Jest coraz zimniej. Wszystkie czynności trzeba wykonywać samemu. Od momentu zakończenia wspinaczki w danym dniu, do pójścia spać mijają dwie godziny. Rano zużywam następne dwie godziny na śniadanie, zlikwidowanie biwaku i przygotowanie sprzętu. Czyli każdego dnia spędzam cztery godziny robiąc czynności nie związane ze wspinaczką. Muszę dobrze obliczyć czas na spanie. Wstawałem o piątej rano. Jeszcze było ciemno. Podczas krótkiego dnia liczy się każde pół godziny dziennego światła. Uwierz mi, że nie ma czasu na nudę.

P. C. *Co jest najgorszą czynnością podczas wspinaczki w dużej ścianie? Niektórzy mówią, że wciąganie wora „świni". Czego ty najbardziej nie lubisz robić podczas wspinaczki w dużej ścianie?*

J. C. Zbyt dużo już się wspinam w dużych ścianach i traktuję ciągnięcie wora jako zło konieczne. To po prostu musi być wykonane. Myślę, że najbardziej wkurzającą rzeczą jest nie tyle przeciąganie wora przez ścianę, co noszenie tych „świń" pod ścianę, a potem znoszenie ich w dół. Sądzę, że nikt tego nie lubi robić. Jednak w moim wypadku jest to jeszcze bardziej dokuczliwe z powodu mojej niskiej wagi. I od pewnego czasu mam problemy z kręgosłupem i kolanami. Aby więc uniknąć znoszenia worów, z mojej nowej drogi po prostu zjechałem zamiast zejść na piechotę.

Uważam też, że podczas wspinaczki, również solo, lepiej mieć dwa lekkie wory niż jeden duży i ciężki. Łatwiej jest je przepakować i szybciej można znaleźć rzeczy. Nie sądzę też, abym tracił więcej czasu przy holowaniu dwóch lżejszych worów niż jednego dużego. A przynajmniej się nie zarzynam.

P. S. *No i doszliśmy do nazwy Twojej drogi. Nazwałeś ją Quo Vadis. Dlaczego taka właśnie nazwa?*

J. C. Chyba zwyczaj nakazuje, aby we wszystkich rejonach świata nadawać nazwy geograficzne w językach miejscowych. W przypadku El Capitana i całej Kalifornii w rachubę wchodzą angielski i hiszpański. Pomyślałem, że dość neutralnym językiem będzie łacina. Chciałem też, aby nazwa kojarzyła mi się z Polską. Nam, Polakom nie trzeba chyba jej tłumaczyć. Z Amerykanami jest dużo gorzej, mimo że już w pierwszych latach XX wieku sprzedano ponad 1,5 miliona egzemplarzy tej powieści w samych tylko Stanach.

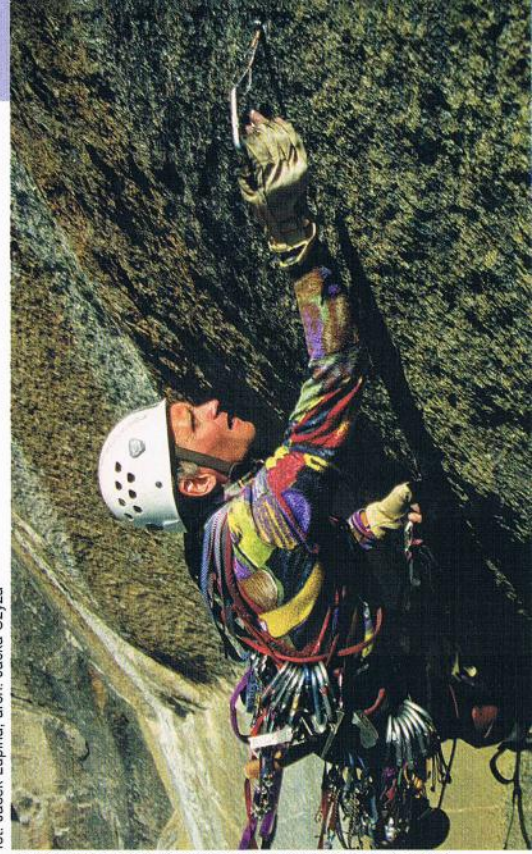

fot. Jacek Łupina, arch. Jacka Czyża

Jacek Czyż na Jolly Rogerze, trudności nad Golden Doublon, jeszcze 4 rivety i stanowisko

Drogę moją zadedykowałem wszystkim moim bliskim, których kocham, a zwłaszcza Rodzicom, Alicji i Stefanowi, którzy z dala przeżywają moje górskie wyjazdy.

P. S. *Dziękuję za wywiad i życzę dużo sukcesów w przyszłości.*

[Od red. Cały material przygotował redakcyjnie Grzegorz Głazek. Bardziej szczegółowo rozrysowany rejon drogi i lokalizację wymienionych w wywiadzie dróg i formacji można znaleźć w Taterniku 1-2/2003 s.50-51 oraz w piśmie The Mountaineer, Vol. 38 na stronie.26, wydawanym przez Chicago Mountaineering Club (dostępnym jako plik pdf na stronie www.cmcwebsite.org). Polskojęzyczny schemat, prostsze topo ściany i krótszy wywiad z Jackiem, przeprowadzony przez Maćka Ciesielskiego, oraz listę jego przejść na El Capitan, podały Góry nr 3/2003, s.10-14]

MOKO I OKOLICE - ZIMA 2002/2003

Tekst: Artur Paszczak i Mariusz Wilanowski

Zima w tym roku trzymała wyjątkowo długo i mimo zmiennych warunków pogodowych doczekaliśmy się wielu wartościowych przejść. Część z nich pomimo tego, że miała swoje miejsce poza zwyczajowo przyjętymi ramami sezonu zimowego także została objęta niniejszym omówieniem. A zaczęło się od mocnego uderzenia. 14 grudnia samotnie w ścianę Kotła wdarł się Marcin Malka obierając za cel drogę Korasa i Wolfa Polak w Kosmosie V+ A2. Droga zajęła mu dwa dni i było to dopiero trzecie, samotne przejście tej prawie w całości skalnej drogi. Co ciekawe, Marcin wybrał się na drogę z 7 (sic!) hakami (z czego z części wogóle nie korzystał - duże rynny) co powodowało, że nagminne były patenty z wybijaniem spod siebie jedynek, zarzucaniem pętli na wystające dziobki czy też wieszaniem się w zabitych dziabach.

Tydzień później, 21 grudnia, Adam „Siwy" Pieprzycki i Robert „Roko" Rokowski zakończyli wieloletnie zmagania z Drogą na Hell VI, w prawej części Kazalnicy. Drogę tą, która powstała w lecie 1992r (Głuszkowski-Paszczak) atakowało wiele mocnych zespołów w tym poznaniacy (Maciej Karoń i tow.), Andrzej „The Fly" Mucha, czy Marcin „Kiler" Michałek. Jako zimowy problem „Hell" stawia duże wymagania, łączy bowiem wspinanie w płytach z trudnym, rasowym mikstem a do tego jest jedną z dłuższych linii na ścianie. Na zimę, rzecz ma ok. 12 wyciągów do trawersu wyjściowego i wszystkie z nich są wspinaczkowe, a jak się okazało nawet wyciągi II były trudne (ścieki wodne, trudności z asekuracją). Poprzednie próby załamywały się w okolicach połowy drogi i trwały zazwyczaj więcej niż jeden dzień.

Chłopcy rozprawili się z problemem w stylu godnym najlepszych. Wiadomo, że grudzień nie jest optymalną porą na długie drogi, jednak decyzja o ataku została powzięta ze względu na dobre warunki w ścianie (mało śniegu). Atak na lekko przyniósł powodzenie - ok. 20.00 dwójka zameldowała się na trawersie do Bańdziocha. Trudne okazały się miksty, w płytach o sukcesie zdecydowały miękkie buty. Chłopaki pokonali jeszcze ostatni trudny wyciąg nad trawersem (V), poczym ze względu na załamanie pogody i mgłę, po zimnej nocy, rankiem zeszli do schronu. Można powiedzieć - niestety - nie przeszli całej drogi. Osobiście uważamy, że pokonali wszystkie trudności i z pewnością należy im się miano pierwszych zimowych zdobywców. Niewątpliwie jednak przejście całości jest jeszcze do zrobienia.

W tym samym okresie o pierwsze przejście Cudu niepamięci VII+ A3 na Turni Zwornikowej Cubryny walczyli Robert „Menel" Sieklucki i Marcin Wernik. W próbach rozłożonych na dwa dni zaporęczowali jednak tylko dwa pierwsze wyciągi, niepochlebnie wyrażając się na temat napotkanych trudności (A1, A2). Przed samym Sylwestrem „Menel" próbował jeszcze solo „zapalić" na Ostatnim Mohikaninie V+ A3, ale niesprzyjające warunki osłabiły jego napór i po urobieniu dwóch wyciągów, jak informuje książka wyjść, „z grają spłynął na dół".

Warunki w okolicach Sylwestra nie rozpieszczały - lodu, jak na lekarstwo, śniegu ilość minimalna. Pomimo tego, a raczej właśnie dlatego, Jacek Fluder i Artur Paszczak wytyczyli warianty prostujące do starej drogi grzędą MSCz, o nazwie Cień Wielkiej Góry V 2x A0 M5+. Droga startuje 15 m na lewo od Długosza-Popki i biegnie terenem, który był wcześniej chodzony, ale nie da się tam obecnie zlokalizować żadnej drogi (drogi Skłodowskiego i Berbeki-Sałygi biegną jeszcze bardziej na lewo). Pierwszy wyciąg poprowadzony został klasycznie i wymagał tylko dwukrotnego A0. Pozostałe cztery wyciągi oferują bardzo ładne wspinanie w trawach w stopniu III. Droga wyprowadza do trawersu z Kotła skąd można udać się do Sanktuarium lub do WCK.

Droga szybko doczekała się powtórzenia (obecnie jest ich już ok. 7, założone zostały też stanowiska zjazdowe, które mogą też być przydatne np. po Długoszu-Popce) - pod koniec stycznia Wiesiek Madejczyk w towarzystwie Marty Oleszczuk i Włodka Kaniowskiego pokonał kluczowy wyciąg klasycznie, proponując wycenę M6+. Przy okazji okazało się, że część początkowych trudności zniknęła pod śniegiem. W porównaniu z drogami w Tatrach Zachodnich „Cień" plasuje się w okolicach Tańczącego z nogami M7 lub Licho nie śpi M7-.

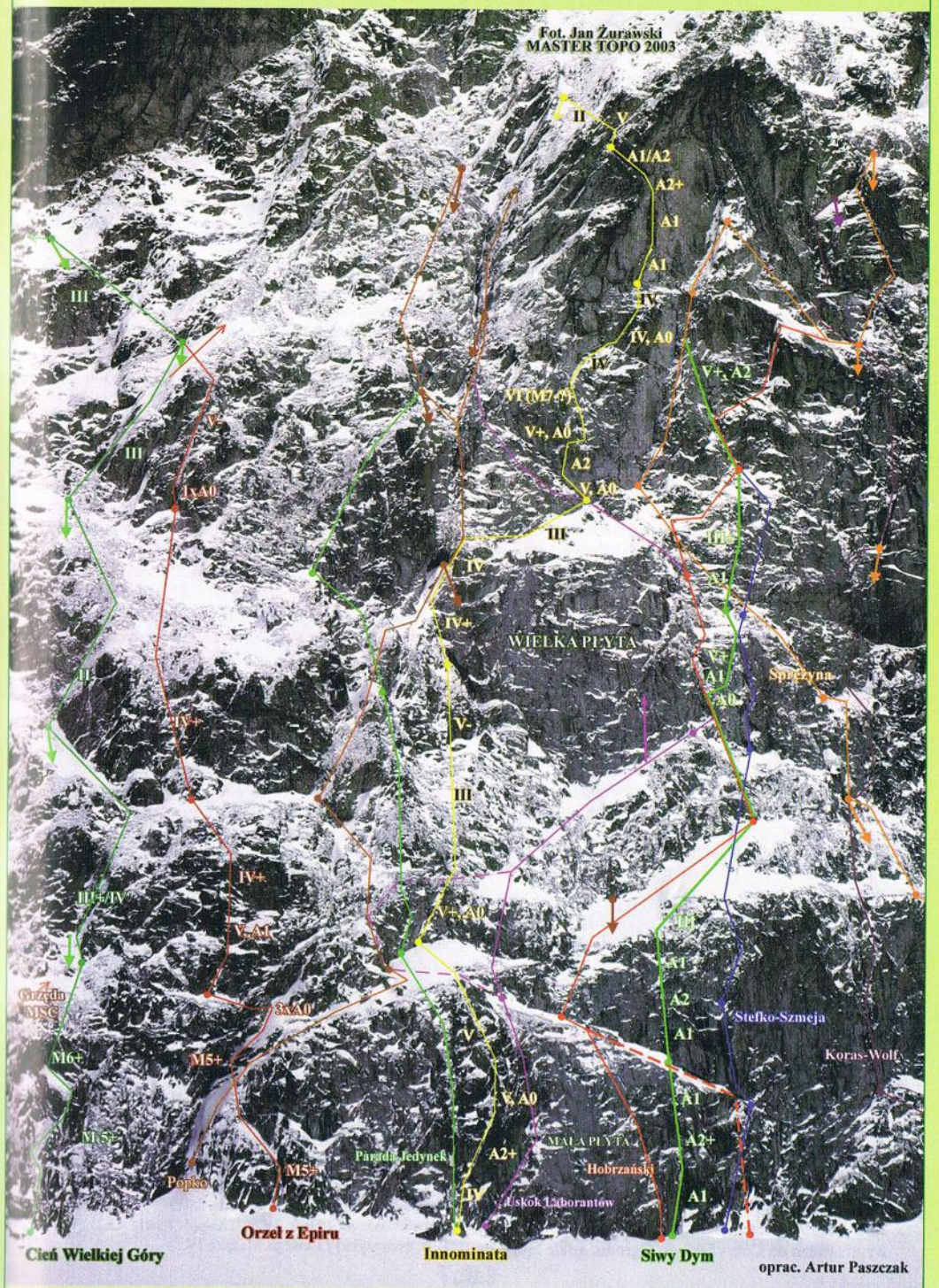

W pierwszych dniach nowego roku tuż za miedzą na Słowacji za sprawą Wojtka Kurtyki, Marcina Michałka i Adama Pieprzyckiego powstała na wschodniej ścianie Skoruszowego Mnicha nowa droga. Trudności sięgają VI stopnia w trawkach a asekuracja, jak podają autorzy wyłącznie z haków (knife, łyżki i jedynki). Przejście w Białej Wodzie i ewentualne powtórzenia trzeba rozpatrywać w kategoriach niezłej wyrypy, biorąc pod uwagę 6 godzinne podejście i trudności z dostaniem się pod właściwą ścianę a także zejście po wspinaczce.

Pod koniec stycznia Artur Paszczak i Paweł „Bakteria" Olek wytyczyli na Kotle Orła z Epiru V A1, pomiędzy „Cieniem" a Długoszem-Popko. Droga wchodzi w ścianę tuż na prawo od Długosza-Popki, charakterystycznym łukowatym wygięciem, które łączy się z główną załupą w połowie pierwszego wyciągu. Potem „Długosz" omija trawkami charakterystyczną przewieszkę z płytą i ucieka dalej w prawo. „Orzeł" idzie przez wspomnianą płytę w górę (M5+) i trawersuje w lewo do stóp dużego, bardzo ładnego zacięcia. Trawers, lekko przewieszony okazał się bardzo trudny i wymagał trzykrotnego A0. Następnie droga biegnie wprost pionowym zacięciem (A1 - drugi w zespole wycenił trudności tego wyciągu z górną asekuracją na M6/6+), po którym wyjście w płytę (asekuracja z ucha skalnego !). Kolejne dwa wyciągi, to piękne wspinanie trawiastą depresją i trawkową rynną . Cała droga jest bardzo ładna o umiarkowanych trudnościach, w całości rokująca możliwości odhaczenia. Wspinanie jest bardzo przyjemne, szczególnie w zacięciu A1 i skośnej rynnie na 4-tym wyciągu. Nazwa nawiązuje do straszliwych strat sprzętowych, jakie poniesiono podczas wspinaczki (2 camaloty, kilka haków), było to bowiem istne „pyrrusowe zwycięstwo", który to Pyrrus, pogromca Rzymian, zwany był właśnie „Orłem z Epiru".

Okres przełomu stycznia i lutego można śmiało nazwać „złotą erą" Buli pod Bandziochem. W tym czasie bowiem powstały na tej ścianie trzy nowe drogi. O wytyczenie dwóch nowych linii: Defekt Mózgu IV+ A2 i Globalne Ocieplenie V A0 (nazwa chyba na przekór panującym wtedy w Moku dwudziestostopniowym mrozom) pokusił się zespół Kopta - Pieprzycki. Trzecia z nowych propozycji, autorstwa Grzesia Sokołowskiego i Sławka Czajkowskiego nosi nazwę Bez Znaczenia II (miejsca IV, V). Wszystkie trzy nowości na Buli możecie obejrzeć wrysowane na zdjęciu na stronie .....

Swój projekt na Kazalnicy Cubryńskiej realizowali Tomasz „Zwierzak" Kohler i Marcin Księżak. Nowa droga nie powstała, otrzymaliśmy jednak duży, pięciowyciągowy wariant Kilerski Książę V+ A2, który wyprowadza do Cubryńskiego Ogrodu, gdzie łączy się z innymi drogami (szczegóły na schemacie na str. .....).

Po okresie kiepskiej pogody w lutym przyszła kolej na poprawę. Na scenie znów pojawili się „Roko" Rokowski i „Siwy" Pieprzycki. Dołączył do nich Paweł Kopta,. W drugiej połowie lutego zaczęli wspólną pracę nad projektem w środku Kotła. Parę dni później pojawił się obóz KW Warszawa, którego uczestnicy planowali poprowadzenie drogi w tym samym miejscu. Tak to bywa - pies utonie, łańcuch pływa. Warszawiacy musieli zadowolić się rolą kibiców, a „Kopciak" i „Roko" dociągnęli swoją drogę do połączenia ze Sprężyną. Tak powstał Siwy Dym V A2 (6 samodzielnych wyciągów + zakończenie Sprężyną) Jak przyznaje „Roko", żeby pójść wyżej nie starczyło już sprężа - „wymagałoby to jeszcze jednego dnia, a na to już nie mieliśmy mocy i ochoty". Niemniej powstała droga trudna, z wymagająca klasyką i skomplikowanym haczeniem. Start w drogę na prawo od hakowego startu od Hobrzańskiego, na dwóch wyciągach może biec w bezpośredniej bliskości Stefki-Szmeji, ale to pozostaje do ustalenia. Nie dajcie się zwieść wycenie - na większości wyciągów pojawia się dziwnie znajome III+ A1 (duch Fijała ciągle żywy). Na pytanie, jak wyglądało A1 padła odpowiedź „Roka" - „nie, no trudne, jedynki, rurp..., chyba ze sześć godzin się zeszło...", a w klasyce ? (III+) - „nie dawałem rady, poleciałem na tej jedynce i stwierdziłem, że tego nie założę. W końcu walnąłem spita i przeszedłem, ale i tak trzeba wyjść jakieś 6 metrów ponad niego" („Roko"). W kluczowym zacięciu (tym, z którego Hobrzański-Sułowski ucieka w prawo) chłopcy pozwolili sobie na ekstrawagancję - dali V! Wyciąg był najtrudniejszy na drodze, „Roko" miał słabą asekurację i nie był go w stanie przehaczyć. W końcu zjechał po miękkie buty i w ciężkiej walce doszedł do Sprężyny. Nazwa „Siwy Dym" może być więc bardziej niż adekwatna. Na razie chętnych do powtórzeń nie było.

Wraz z nadejściem pogody ożywił się duch w narodzie. Padł Łapiński V A0 na Zerwuni (zespół Sieklucki i tow., a zaraz potem Karczmarczyk - Wierzejski -Ola Misztur). Wielką zasługą Siekluca było przetorowanie pod wschodnią Mięgusza (przejście Świerza). Natychmiast potem runął istny legion naśladowców, częstokroć odkrywając ze zdziwieniem, że w Bandziochu ślady zawiane... Torować i tak było trzeba. Co chytrzejsi wychodzili później, licząc na „zająców" ale wiatr zacierał ślady w kilka minut.

Tak czy owak Świerz V- doczekał się w jednym sezonie tylu przejść, ile miał chyba w całej ostatniej dekadzie. Oprócz niego chodzono jeszcze Drogę Sokołowskiego (filar) IV-V (zespół Pawła „Kaczmara" Karczmarczyka) i Lewego Mączkę IV.

Humorystycznym akcentem był kibel jednocześnie 8 osób jednej nocy - dwóch na zejściu z Mięgusza (po Świerzu) a 6-ciu przy Hińczowym Stawie (po wycofie z Lewego Mączki). Wszystko skończyło się dobrze i bez strat. Dzięki dobrym warunkom na wschodniej ścianie MSW zespół Paszczak-Sokołowski przeszedł ciekawą łańcuchówkę łącząc Świerza V- (3.45h) i Stanisławskiego VI (2.30h) na wschodniej Mnicha. Łączny czas door-to-door 12 godzin.

Ten sam zespół parę dni wcześniej przeszedł na Kotle Hobrzańskiego-Sułowskiego V A1 wariantem hakowym w 8.30h (trudności wariantu hakowego autorzy powtórzenia wyceniają raczej na A2), ustanawiając prawdopodobnie najlepszy czas.

W pierwszym tygodniu marca pogoda zaczęła się psuć, ale „momentum" niosło ludzi dalej w ściany. Po kolejnej nieudanej próbie na Momie V+ A2 (wycof w mokrym śniegu) od razu następnego dnia droga jednak padła (Ciesielski-Pieprzycki) w czasie ok. 16 h. Ostatni wyciąg, po ciemku, zajął 6 godzin, a warunki dalekie były od ideału. Następnego dnia nastąpiła kompletna odwilż i zaczął padać mokry śnieg. Artur Paszczak i Paweł „Kaczmar" Karczmarczyk przeszli w tych warunkach Trzy Pory Roku V+ A2+ (3-cie powtórzenie) w 12.5 h. (najszybsze przejście Skorek - Piecuch w 8,5h). Start wymagał przekopania się przez monstrualne nawisy śnieżne, z których jeden, spadając, omal nie strącił prowadzącego. Na ostatnim wyciągu „Kaczmar", po wyrwaniu camalota, zaliczył efektowny lot, ok. 10m., ale na szczęście w powietrze. Ciekawe jest, że ostatni wyciąg tej drogi biegnie niemal wspólnie z Momą, wybiera jednak bardziej ewidentną szczelinę i łatwiej forsuje okap. Być może przy powtórzeniach Momy część zespołów nie zwracała na ten szczegół uwagi, bo oryginalnie droga biegnie płytą i ten właśnie wyciąg jest kluczowy. Po dojściu do śniegów warszawiacy zdecydowali się - ze względu na silne zalodzenie liny - wracać przez wierzchołek Turni Zwornikowej. W zejściu, Deską Szulakiewicza, miał miejsce lot zespołu, zakończony cudownym ocaleniem obydwu wspinaczy w głębokich śniegach Mnichowego Żlebu.

Kilka dni później zespół „Kaczmar"-„Bakteria" (Karczmarczyk-Olek) atakował znany problem „prostowania Sprężyny". Po walce trzeba było jednak się poddać - kruszyzna, potworne glony i słaba asekuracja uniemożliwiły pokonanie kluczowego spiętrzenia, a zjazd też nie należał do prostych. Tak więc „Sprężyna wprost" ciągle czeka na swoich zdobywców.

W pierwszych dniach marca dał o sobie znać zespół Wojtek Kurtyka - Marcin Michałek i ponownie wieści dotyczyły rejonu Białej Wody.

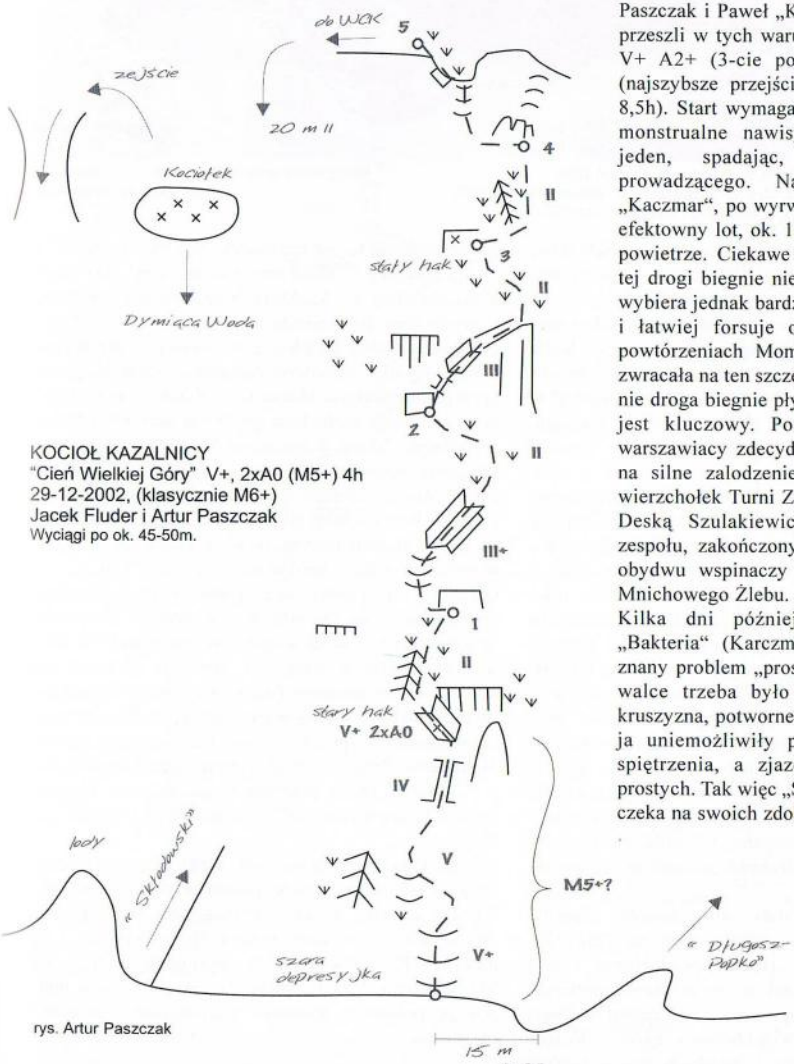

KOCIOŁ KAZALNICY
"Cień Wielkiej Góry" V+, 2xA0 (M5+) 4h
29-12-2002, (klasycznie M6+)
Jacek Fluder i Artur Paszczak
Wyciągi po ok. 45-50m.

rys. Artur Paszczak

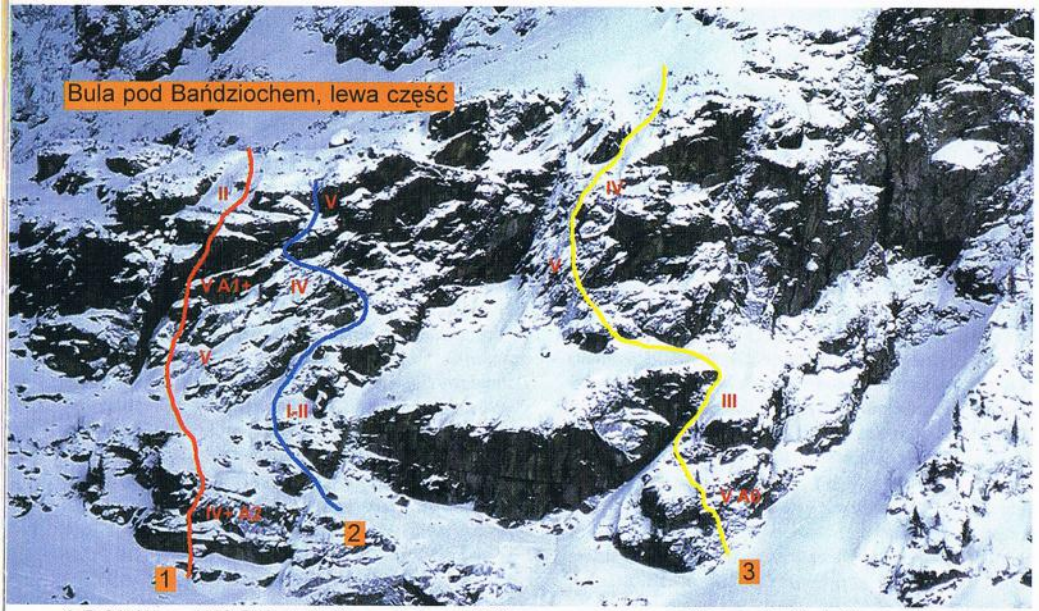

1. *Defekt Mózgu* - V A2, P. Kopta, A. Pieprzycki, styczeń 2003
2. *Bez Znaczenia* - II, miejsca IV, V, S. Czajkowski, G. Sokołowski, luty 2003
3. *Globalne Ocieplenie* - V A0, P. Kopta, A. Pieprzycki, luty 2003

Wrysowanie dróg A. Pieprzycki i G. Sokołowski
fot. Mariusz Wilanowski

Tym razem dotyczyły one północno - wschodniej ściany Jarząbkowej Turni, na której wspomniana dwójka wytyczyła Poniekąd-Donikąd V+ A2+.

W tym samym czasie w Moku „narzędziowo" zaatakowali Starka VI bracia Ziółkowscy (Kuba „Bratku" i Michał „Profesor") ale do sukcesu zabrakło 50m. Mówi Michał: „Próbowaliśmy zrobić „Starka" w stylu dry-tool i doszliśmy tak do ostatniego wyciągu, gdzie zastała nas noc". Zatem Starek jeszcze poczeka...

Ale prawdziwie mocnym uderzeniem tego marcowego weekendu (8-9.III) było przejście w stylu non-stop i w rewelacyjnym czasie 20h !! drogi Wish You Were Here V+ A3 przez zespół Jakub Radziejowski i Marcin Tomaszewski. Poprowadzona w 1982 roku przez Jacka Kozaczkiewicza i Andrzeja Marcisza droga pamięci Piotra Lose uchodziła do tej pory za jeden z największych zimowych ekstremów po polskiej stronie Tatr. Było to dopiero piąte przejście, pierwsze w stylu non-stop, tej pięknej i trudnej linii. Wiadomo, że kilka zespołów miało na oku problem non-stopu na „Wishu" (jeden z ostatnich tego typu na Zerwie) i załatwienie go było - niestety - tylko kwestią czasu. Sądząc po czasach uzyskanych na Wielkim Zacięciu (15h) i Superparanoi (17.30h) wróżymy w przyszłości skrócenie długości przejść nawet do ok. 16h.

Obok na Kotle działały dwa mocne zespoły. Wzmocniony sukcesem odniesionym na Petit Dru (nowa, polska droga - Home Speed Home V A3) Grzesiek Skorek załatwił w towarzystwie Andrzeja Lipki kolejny „najlepszy czas" - tym razem na Dagu V A1. 12h to już dość wyśrubowany wynik (13h zrobił solo Janusz Gołąb) i wielkich oszczędności spodziewać się tu już nie należy. Natomiast „Roko" z „Kopciakiem" i Maćkiem Ciesielskim atakowali 15.10 do Yumy V+ A3, której ostatnie przejście, przed ładnych paru laty zresztą (1993r.), należy do Jacka Fludera i Janusza Gołębia. Z informacji, które do nas dotarły wynika, że odwrót nastąpił z okolic okapu po ciężkim odpadnięciu Maćka Ciesielskiego. W tej sytuacji, ponieważ zachodziła obawa o zdrowie Maćka, zespół wycofał się. Wspinaczka do szczytu Turnicy na Długoszu zajęła im niecałe 12 godzin. „Droga nie zając, nie ucieknie" - stwierdził optymistycznie „Roko". Rewanż miał miejsce dwa tygodnie później a zespół w niezmienionym składzie przeszedł 15.10 ... w stylu non-stop w bardzo dobrym czasie 21h !!.

Ostatniego dnia zimy Jacek Fluder i Artur Paszczak poprowadzili już czwartą w tym sezonie zimowym drogę na ścianie Kotła Kazalnicy. Innominata VI A2+ prowadzi ostatnią dużą, nie zrobioną formacją tej ściany - przewieszonym filarem na lewo od Sprężyny. Filar ten był atakowany wielokrotnie, po raz pierwszy prawdopodobnie przez Czeczkę i Łozińskiego prawie 30 lat temu. Przejście drogi było rozłożone na dwa dni - po próbie 18.03 przerwanej załamaniem pogody Artur z Jackiem powrócili w ścianę 20.03 i dokończyli drogę.

Zdaniem autorów, droga jest bardzo wymagająca z długimi odcinkami trudnej hakówki (zalane szczeliny lub ich zupełny brak) i wymaga od wspinających umiejętności przesiadania się z ław w klasykę i na odwrót. Podobnie, jak w przypadku drogi na Skoruszowym Mnichu wagę Poniekąd-Donikąd podnosi jej położenie, trudności orientacyjne w ścianie i na zejściu.

TURNIA ZWORNIKOWA
wariant "Kilerski Książę" V, A2+
22-02-2003
Tomasz Kohler i Marcin Księżak

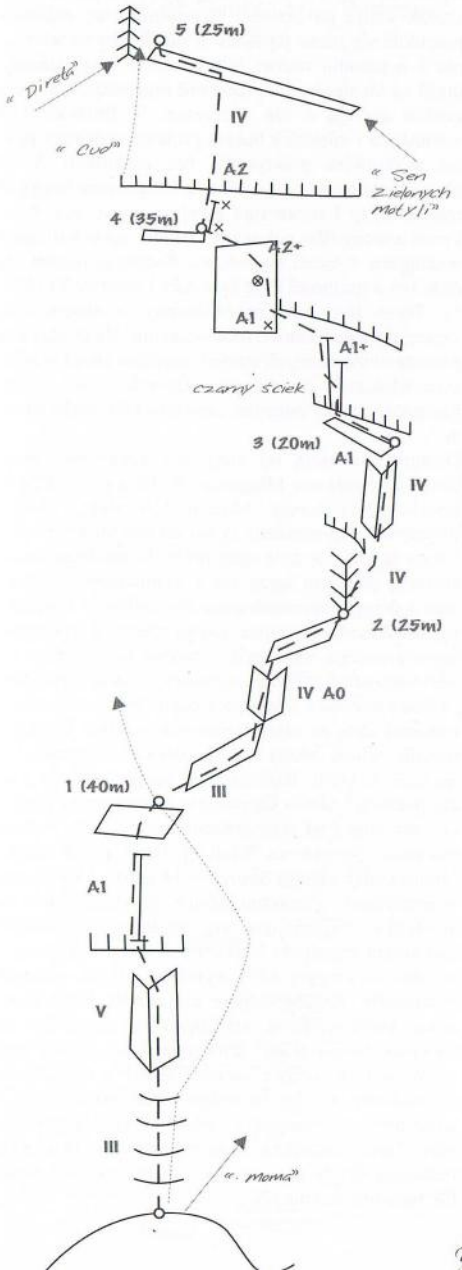

KOCIOŁ/GRZĘDA MSC
"Orzeł z Epiru" V, A1 (m-ca A0)
26-01-2003
Paweł Olek i Artur Paszczak
(sprawdzona możliwość przejścia klasycznego, ok.M6)

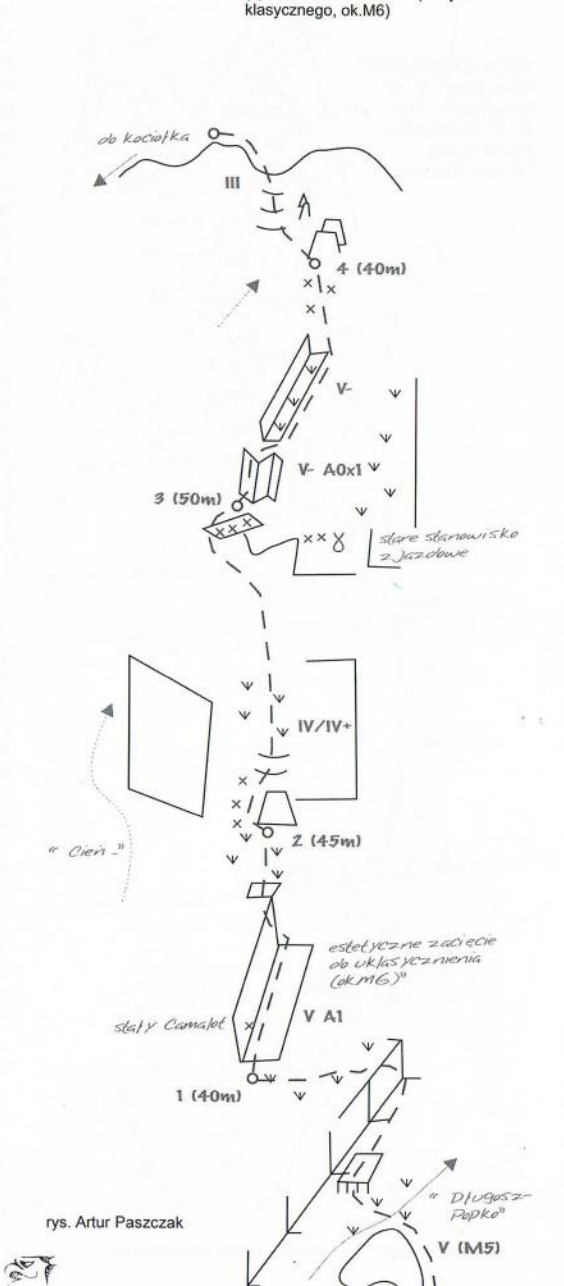

rys. Artur Paszczak

KOCIOŁ KAZALNICY
"Siwy Dym" V, A2
(efektywnie 19h)
15,17,22-02-2003
Paweł Kopta
i Robert Rokowski

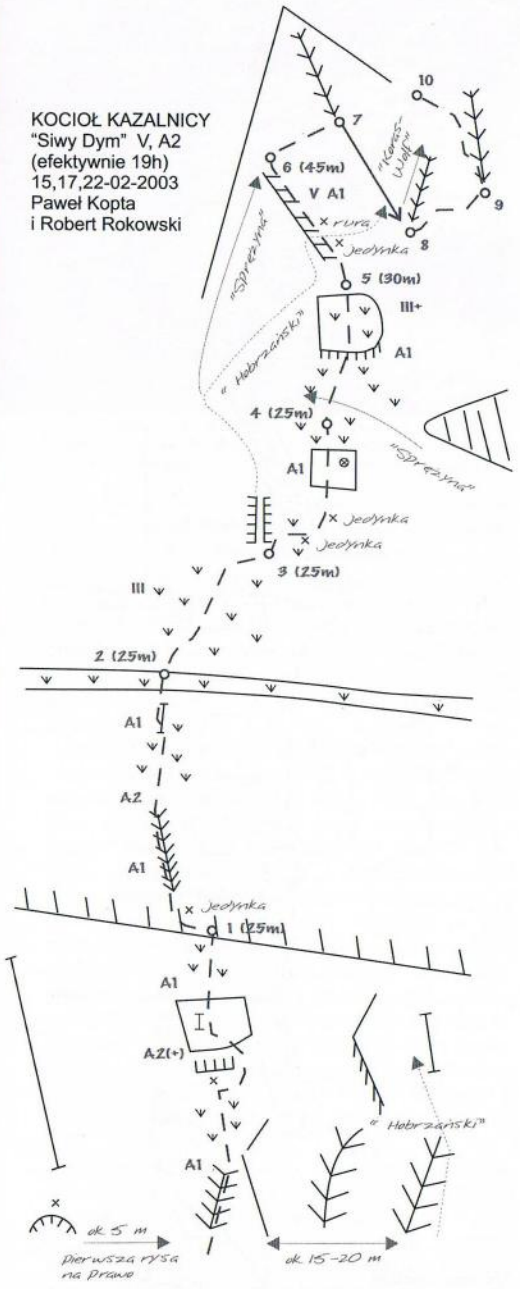

rys. Marek Libront - na podstawie książki wyjść w Moku

Droga niemal w całości prowadzi nowym terenem - rozpoczyna się filarem pomiędzy Paradą Jedynek i Uskokiem Laborantów (A2+). Następnie biegnie wprost do góry (V+ A0) pod wielką , litą płytę, którą Uskok omija po prawej. Pierwotnie plan zakładał przebicie się przez płytę ale wymagałoby to wiercenia i osadzania nitów. Jak wiadomo obaj autorzy drogi są ideologicznie przeciwni ingerencji w skałę i gorąco apelują o nie wiercenie. W bezśnieżnych warunkach i miękkich butach problem powinien puścić aczkolwiek praktycznie bez asekuracji. Spod płyty droga łączy się na 15 m. z Długoszem-Popką w rejonie nyży i trawersuje dalej w prawo pod filar. Przewieszony filar pokonany został w dwóch długich wyciągach + trzeci wyjściowy. Formacja okazał się dość lita a trudności dość syte A2+ i zimowe VI (M7-?). Teren jest dość przewieszony, a ekspozycja, szczególnie pod koniec robi wrażenie. Na drodze nie pozostawiono żadnych stałych punktów (poza starym stanowiskiem zjazdowym Czeczki) tak więc następców czeka mozolne „nadziewanie skały hakami".

Ostatnią nowością tej zimy jest częściowo nowa droga na Czołówce Mięgusza. W dniach 22-23.03 w lewej części ściany Marcin Michałek i Adam Pieprzycki poprowadzili Tylko do trawnika V+ A2+. Droga prostuje w dole stare próby Łozińskiego z lat 80-tych, po czym łączy się z Yellowstone, ostatnie dwa wyciągi doprowadzające do wielkiego trawnika są prawdopodobnie nowe. Droga oferuje 6 wyciągów urozmaiconego wspinania a nazwa drogi zdaje się odzwierciedlać żal z niemożności dokończenia drogi , która pierwotnie miała prowadzić do wierzchołka.

Pomimo tego, że nasze opracowanie miało dotyczyć jedynie rejonu Moka nie sposób nie wspomnieć o jeszcze jednym doskonałym osiągnięciu z Tatr Zachodnich. Mowa oczywiście o pierwszym przejściu non-stop i od razu jednodniowym drogi Naluka Haczenia V+ A4 na Wielkiej Turni przez zespół Janusz Gołąb i Grześ Skorek w 14 godzin! Wynik ten w porównaniu z czasami letnich powtórzeń daje do myślenia. Pojawiające się ostatnio pogłoski o rzekomym obniżeniu kluczowych trudności drogi z A4 do A3 (a nawet A2+) wynikają z faktu, że część powtórzeń prawdopodobnie nie wiodła przez kluczową, końcową płytę, ale „uciekała" trawersem do zaciątka (wywiercone kontrowersyjne dziury pod bat-hooki). W ocenie Janusza Gołębia oryginalnie prowadzony wyciąg to nawet teraz mocne A3+, a najtrudniejszy moment to właśnie wyjście płytą w górę. Janusz zaznacza, że w momencie prowadzenia trudności mogły być większe i ocena A4/A4+ wcale nie była przesadzona.

"Innominata"
KOCIOŁ KAZALNICY
A2+, V+A0, M7- (VI)
Jacek Fluder i Artur Paszczak
18, 21-03-2003

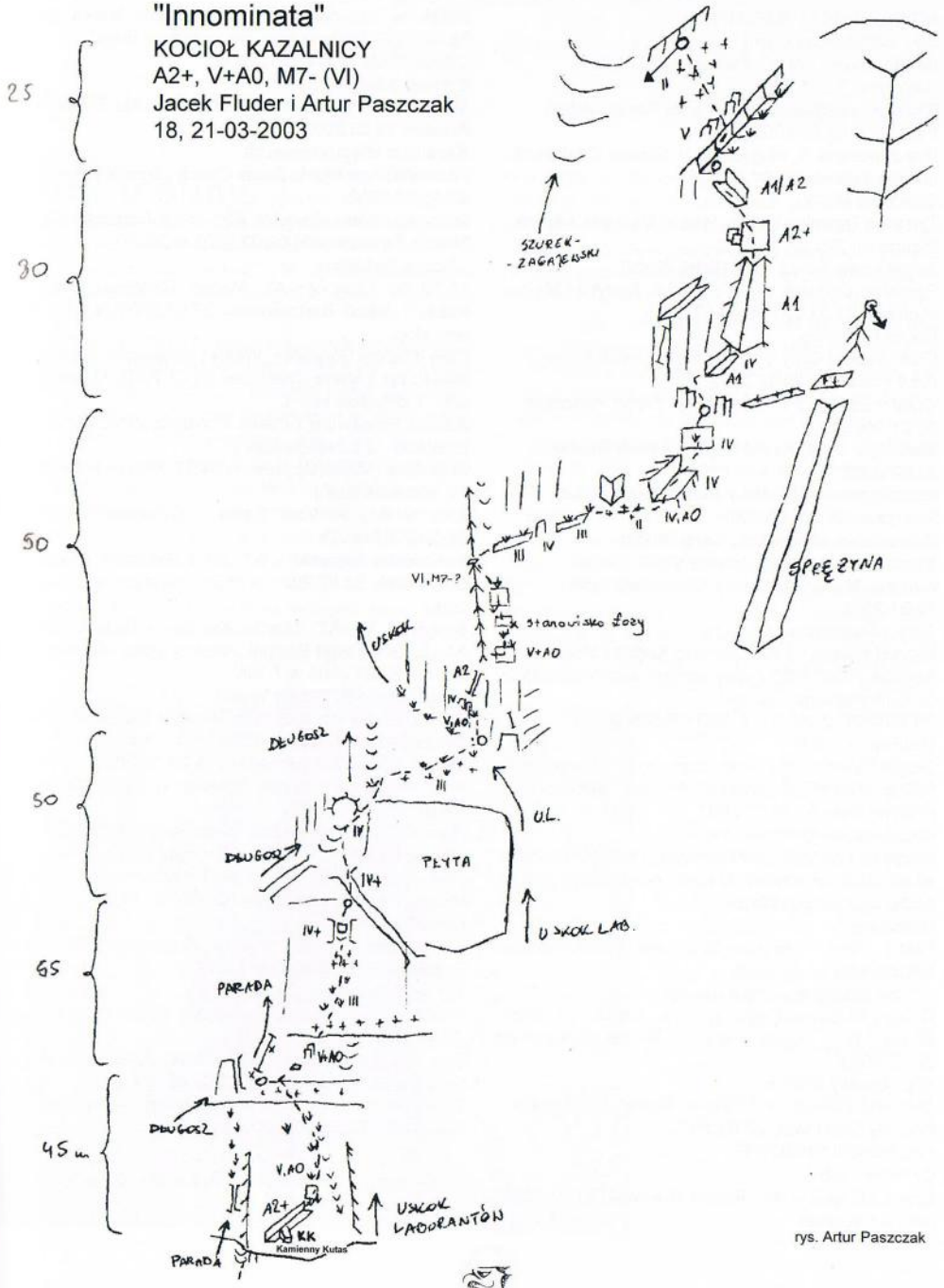

rys. Artur Paszczak

NOWE DROGI I WARIANTY
Bula pod Bandziochem
Defekt mózgu IV+ A2; Paweł Kopta i Adam Pieprzycki 31.01.2003.
Globalne ocieplenie V A0; Paweł Kopta i Adam Pieprzycki 02.02.2003.
Bez znaczenia II, miejsca IV, V; Sławek Czajkowski i Grześ Sokołowski 04.02.2003.
Czołówka MSW
Tylko do Trawnika V A2+; Marcin Michałek i Adam Pieprzycki 22 i 23.03.2003.
Jarząbkowa Turnia (Dol. Białej Wody)
Poniekąd-Donikąd V+ A2+; Wojtek Kurtyka i Marcin Michałek 22-23.02 i 08-09.03.2003.
Kocioł Kazalnicy
Cień Wielkiej Góry V 2xA0 (M5+); Jacek Fluder i Artur Paszczak 29.12.2002.
Orzeł z Epiru V A1 ; Paweł Olek i Artur Paszczak 26.01.2003.
Siwy Dym V A2; Paweł Kopta i Robert Rokowski 22.02.2003.
Innominata VI A2+ (M7-) Jacek Fluder i Artur Paszczak 18 i 21.03.2003
Skoruszowy Mnich (Dol. Białej Wody)
Nowa droga na wsch. ścianie VI A0; Wojtek Kurtyka, Marcin Michałek i Adam Pieprzycki 13.01.2003.
Turnia Zwornikowa Cubryny
Kilerski Książę V+ A2 ; Tomasz Kohler i Marcin Księżak 22.02.2003 (nowy wariant wyprowadzający do Cubryńskiego Ogrodu)
PIERWSZE ZIMOWE POWTÓRZENIA
Dziurawa Czuba
Droga Cywińskiego (lewą częścią pn. ściany) II+ ; Iwona Mosiej-Skłodowska, Andrzej Skłodowski i Krystian Zalejski 26.02.2003
Kazalnica Mięguszowiecka
Droga na Hell VI; Adam Pieprzycki i Robert Rokowski 28.12.2002. (Pierwsze Zimowe powtórzenie drogi - do Turnicy na Schodach)
Miedziane
Filar z Orłem IV; Andrzej Skłodowski i Iwona Mosiej-Skłodowska 24.02.2003
Skrajna Białczańska Baszta
Droga Skłodowskiego (prawa część pn.-wsch. ściany) IV ; Paweł Fidryk i Michał Kasprowicz 27.02.2003.
Szpiglasowy Wierch
Cywiński-Ziemak II ; Iwona Mosiej-Skłodowska i Andrzej Skłodowski 27.02.2003.
PRZEJŚCIA SAMOTNE
Czołówka MSW
Szare Zacięcie V A1 ; Robert Rokowski 21.12.2002.
Kocioł Kazalnicy
Polak w Kosmosie V+ A2; Marcin Malka 14-15.12.2002. (trzecie samotne przejście drogi)
CIEKAWSZE POWTÓRZENIA
Czołówka MSW
Miękkie Ruchy V+ A2 ; Tomasz Kohler i Marcin Księżak 16.03.2003
Kazalnica Mięguszowiecka
Filar +Ostroga VI A1; Jacek Czech i Tomek Szumski 13-15.12.2002.
Wish You Were Here V+ A3; Jakub Radziejowski i Marcin Tomaszewski 08.03.2003 w 20h !!!
Kocioł Kazalnicy
15.10 do Yumy V+ A3; Maciek Ciesielski, Paweł Kopta i Jakub Radziejowski 22.03.2003 w 21h !!! non-stop.
Cień Wielkiej Góry M6+; Włodek Kaniowski, Wiesław Madejczyk i Marta Oleszczuk 26.01.2003. (2 przejście - 1 przejście klas.),
Janusz Porożyński i Paweł Przybysz 24.02.2003 (3 przejście - 2 przejście klas.),
Arek Arak i Marek Czyżewski 24.02.2003 (4 przejście - 3 przejście klas.).
Dag V A1; Andrzej Lipka i Grzegorz Skorek 08.03.2003 w 12h.
Hobrzański-Sułowski V A1; Artur Paszczak i Grześ Sokołowski 23.02.2003 w 8.5h (najszybsze przejście)
Sprężyna V+ A1; Marcin Księżak i Piotr Sztaba 14.12.2002 Paweł Bździel, Andrzej Lipka i Grzegorz Skorek 22.03.2003 w 7.15h.
Mięguszowiecki Szczyt Wielki
Świerz V-; Miłosz Jodłowski, Andrzej Lipka i Robert Sieklucki 20.02.2003 w 7.15h,
Robert Rokowski i Bernard Voss 24.02.2003,
Artur Paszczak i Grześ Sokołowski 25.02.2003 w 3.45h !!
Marcin Chmieliński i Alicja Paszczak 26.02.2003.
Janusz Porożyński i Paweł Przybysz 26.02.2003.
Filar Sokołowskiego V; Paweł Karczmarczyk, Ola Misztur i Jaś Wierzejski 24.02.2003 w 7h.
Mnich
Stanisławski V A0 ; Artur Paszczak i Grześ Sokołowski 25.02.2003 w 2.30h !!
Turnia Zwornikowa Cubryny
Moma V+ A2; Maciek Ciesielski i Adam Pieprzycki 02.03.2003.
Sen Zielonych Motyli ? ; Miłosz Jodłowski, Jan Kuczera i Andrzej Lipka 15.02.2003 w 7,5 h.
Trzy pory roku V+ A2; Paweł Karczmarczyk i Artur Paszczak 03.03.2003 w 12,5h

Sezon zimowy 2002/2003 w Tatrach Zachodnich

Dry tooling czy klasyka zimowa

Tekst: Jan Muskat

Dry tooling w dosłownym tłumaczeniu z języka angielskiego to "suche przyrządy" - w tym przypadku czekany. Po polsku brzmi to trochę niezgrabnie. Osobiście jestem za nazwą „klasyka zimowa". W moim przekonaniu określenie to w pełni precyzuje istotę zimowego wspinania.

Idea klasycznych przejść zimą zaczęła się parenaście lat temu, a dokładnie w marcu 1988 roku. Po bardzo obfitych opadach śniegu, któregoś marcowego wieczoru, siedząc z Rochem Krokowskim w moim domu na Kotelnicy, zastanawialiśmy się, gdzie by tu się wspiąć. Założenie nasze było następujące: klasycznie i w terenie, nie zagrożonym lawinami. Wybór padł na Mur Raptawicki. Podejście bezpieczne. Lustrujemy w myślach formacje, dające szanse realizacji naszych planów. Wyżni Kominek VI. To będzie odpowiedni cel.

„Umawiamy się z Rochem na następny dzień. Skoro świt wyruszamy do Doliny Kościeliskiej. Po dwóch godzinach morderczego podejścia (po pas w śniegu) depczemy platforemkę pod Wyżnim Kominkiem. Pierwszy wyciąg prowadzi Roch (to wynik losowania). Rusza do góry, asekurując się z rzadka. Szybko dociera do trawiastej przewieszki, zamykającej komin (jedno z trudniejszych miejsc na wyciągu). Wbija się w nią bez pardonu. Pełen podziwu śledzę jego poczynania. Nagle przewieszka otrząsnęła się jakby z nocnego odrętwienia, zrzucając za jednym zamachem swoje śnieżne okrycie i dziwnego intruza. Roch, zataczając potężny łuk, wali się głową do mych stóp. Miałem wrażenie, że specjalnie przyjął tę horyzontalną pozycję, aby uściskać moje stopy za bezbłędną asekurację. Jak się później okazało, był to błąd w sztuce: Roch przywiązał linę tylko do dolnego łącznika uprzęży. Na szczęście, nie odniósł poważniejszych obrażeń. Nie przejawiał jednak chęci do prowadzenia. Chcąc nie chcąc, z duszą na ramieniu ruszam do góry. Wymęczony fizycznie i psychicznie, prawie po trzech godzinach zakładam stanowisko. Trudności, jakie napotkałem na pierwszym wyciągu przekroczyły moje najśmielsze oczekiwania. Ten mikstowo - trawkowy wyciąg z odcinkami, wycenionymi na VI - VI+ to wzorzec późniejszych wycen."

Parę dni po klasycznym przejściu Wyżniego Kominka dzieliłem się wrażeniami ze znakomitym alpinistą, spotkanym na Krupówkach. Popatrzył na mnie, jak na człowieka niespełna rozumu i powiedział: „Stary, w zimie to trzeba łapać się haków i byle szybko do góry."

Takie przekonanie tkwiło jeszcze do niedawna w mentalności wielu znakomitych wspinaczy. Parę lat później, goszczony na Kotelnicy, nowozelandzki wspinacz na stałe zamieszkały w Szkocji, C. McDermott dokonał drugiego przejścia Wyżniego Kominka.

Jan Muskat podczas pierwszego prowadzenia RP *Drogi Francuskiej VII*

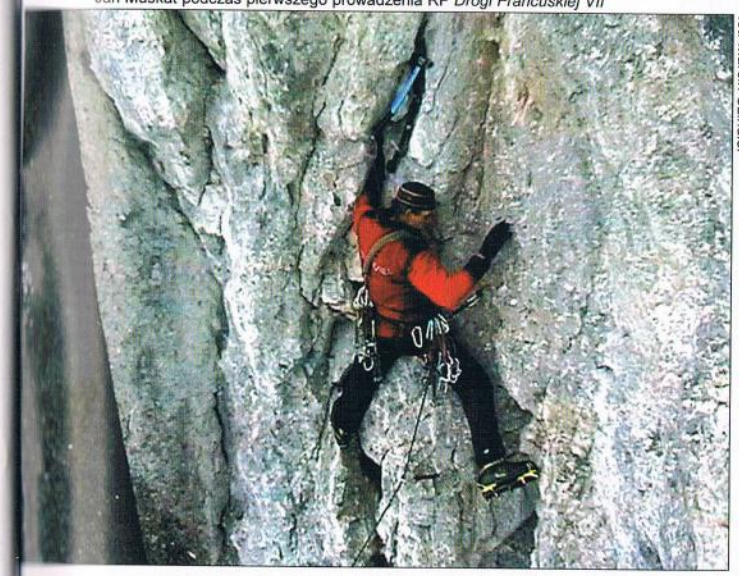

fot. Marcin Szindler

1. *Kęp Going* - V+ W, M. Kacperek, Milewski, 1999 r.
2. *Tura Artura* - V+ R, A. Łuczak, M. Kacperek, 1999 r.
3. *Małe Jest Piękne* - VII, J. Jania, A. Dutkiewicz, F. Pawluśkiewicz, 2000 r.

Wrysowanie dróg Jan Muskat
fot. Radek Kołodziński

Jego komentarz brzmiał: „It was the hardest pitch I've ever led". Należy dodać, że na swoim koncie miał wiele ekstremalnych wspinaczek w Szkocji i Alpach oraz częściowo odhaczenie filara szkockiego na Bhagirati.

Bad Jack (pierwotnie VI A1) na Kazalnicy Drugiego Giewontu, Lista Obecności VI na Wielkiej Turni oraz Klepsydra (pierwotnie VI+ A2) na Ratuszu Litworowym to kolejne drogi o zimowych trudnościach VI+. W styczniu 1994 roku dziesięciometrowy odcinek A2 na drodze Tombe de la Neige (V A2) autorstwa Maćka Pawlikowskiego i Mietka Ziacha zostaje odhaczony przez zespół Jania - Muskat. Jacek Jania w pięknym stylu podnosi barierę trudności, przechodząc prawie klasycznie (1xA0) ten hakowy odcinek. Dowiedziawszy się o tym „wygłupie" Maciej Pawlikowski minę miał nietęgą. Jak na tamte czasy, pachniało to mistyfikacją. Było to pierwsze VII -.

Parę lat później Marcin Kacperek odhacza Kaprys Aury (pierwotnie IV+ A1), proponując wycenę VII -. Kluczowe miejsca na tych drogach, to prawie sucha skała, zmuszająca do użycia czekanów w inny sposób niż ten, dla którego zostały stworzone. Dla niewtajemniczonych dodam, że zostały stworzone do wbijania w lód i w trawy, ale można je także klinować w rysach, zawieszać na występach skalnych jak sky hooki, podhaczać i wyprawiać z nimi co tylko nasza inwencja podpowie, a skała zaakceptuje.

Małe Jest Piękne (pierwotnie VI+ A1+) droga Jani i Dutkiewicza, zostaje częściowo odhaczona (drugi wyciąg) przez zespól Muskat - Zając. Zbyszek Zając w fenomenalnym stylu przechodzi drugi wyciąg, w najtrudniejszym miejscu gubi raka, nie przeszkadza mu to jednak w skończeniu wyciągu i dojściu do stanowiska. VII to nasz werdykt. Następne przejścia to potwierdzają. Pierwszego przejścia klasycznego całości drogi w stylu OS dokonuje w 2001 roku Marek Kazior. W 2002 roku klasycznie pada Rysa (Komin) Malczyka na Wielkiej Turni. Jest to następna droga o trudności VII, ale na trochę wyższej ścianie (cztery trudne wyciągi i trzysta metrów II - III terenu).

Podsumowanie sezonu zimowego 2002/2003

Za najlepsze przejścia, które przyćmiły pozostałe, można uznać powtórzenie Komina Malczyka VII na Wielkiej Turni i przejście Nauki haczenia V A4+ też na Wielkiej Turni. Pierwszego dokonali Darek Kałuża i Marek Dziubas, którzy przeszli drogę w pięknym stylu. Zabrało im to osiem godzin styczniowego dnia. Darek, który prowadził kluczowy wyciąg tak zrelacjonował przejście „Potwierdzam trudności, wyciąg trzyma klasę do końca, asekurowałem się wyłącznie w friendów, dwa haki, napotkane przy wyjściu z komina były zbawieniem. Uważam, że najtrudniejsze miejsce to środek dolnego komina, aczkolwiek w górnej części też podżyłem".

Janusz Gołąb i Grzegorz Skorek byli bohaterami drugiego zimowego przejścia Nauki haczenia V A4+. Drogę przeszli w rewelacyjnym czasie czternastu godzin 15 stycznia. Jest to trzecie przejście całości drogi. Dwa poprzednie, letnie przejścia, wytrawersowujące spod najtrudniejszego miejsca, zabrały wspinaczom dwa razy więcej czasu. Komentarz zbyteczny. Jak powiedział Janusz, jest to trudna i wymagająca droga. Dodał jeszcze, że podczas zejścia w kompletnej mgle zgubili drogę i ni stąd, ni zowąd znaleźli się na szczycie Ciemniaka. Wynika z tego, że przeszli przez Czerwone Wierchy. Po pięciu godzinach uciążliwego marszu udało im się zejść.

Ciekawsze przejścia

Bartek Stoch-Michna jako pierwszy w stylu OS przeszedł Tombe de la neige VII na Długim Giewoncie 9 marca 2003 a jego towarzyszem był Michał Parczewski. Ten sam zespół pokonał 27 grudnia 2002r. w 10 godzin Drogę Puci V+ na Giewoncie, Małe jest Piękne VII w 8 godzin (drugi kluczowy wyciąg zrobili w stylu OS, a 3 RP) i na koniec Nasze wejście VII- na Siodłowej Turni.

Klasycznego przejścia doczekała się też droga Rico-Madzia V A0 na Raptawickim Kotku (propozycja zimowej wyceny VI). Paweł Orawiec i Bartek Stoch-Michna przeszli 22 grudnia 2002 w sześć godzin zacięcie w Styrżniku na Długim Giewoncie, które wycenili na VI. Bartek , jakby mu tego było mało, przeszedł solo na Giewoncie Depresję Rysuli i górną część ściany Drogą Śląską w 3,5 godziny, (całość trudności IV+). Jak na pierwszy sezon zimowy tego młodego zakopiańskiego wspinacza to wielki wyczyn.

Piątego przejścia doczekał się Komin z Dziurami V+ A2 na Długim Giewoncie. Dokonali tego w dwa lutowe dni nowotarscy taternicy - Tadek Grzegorzewski, Paweł Jachimiak i Przemysław Leśnicki. Natomiast Grzesiek Bargiel i Maciek Cukier przeszli Nawet w zbroi nie załoi z prostowaniem i było to pierwsze zimowe przejście tej drogi.

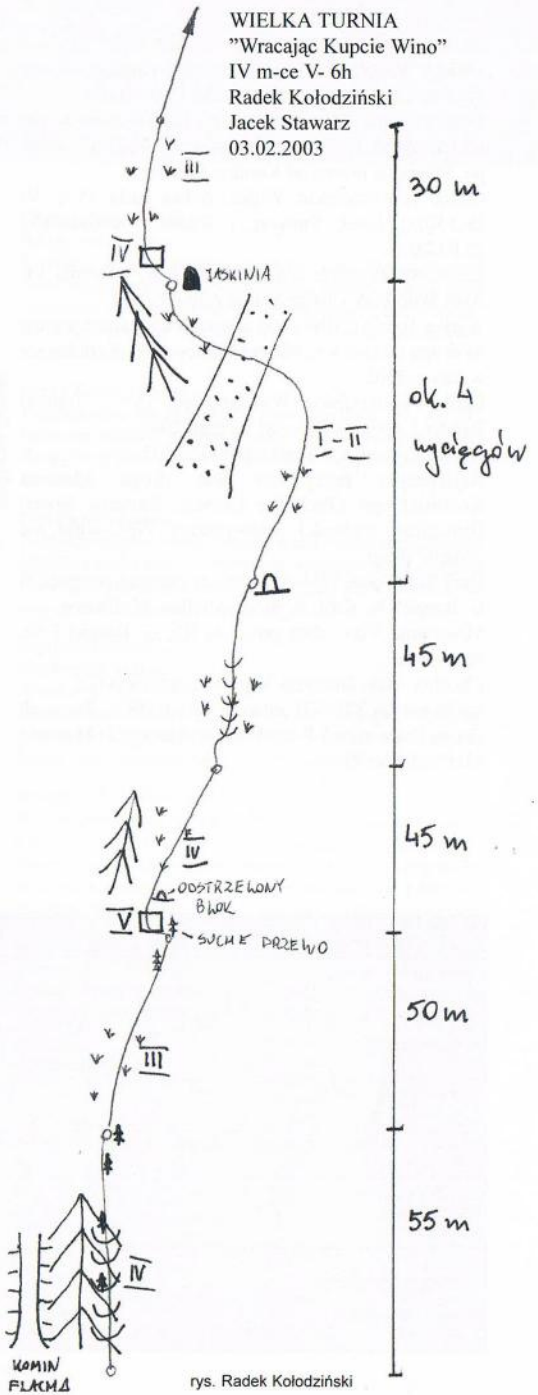

rys. Radek Kołodziński

Nowe drogi
Mnichy Małołąckie V- ,2h Grzesiek Kubicki i Jacek Stawarz (szczegółów brak) Około 15.01.2003r.
Wielka Turnia Wracając kupcie wino IV m-ce V- 6h; Radek Kołodziński i Jacek Stawarz 03.02.2003 (droga pn. ścianą na prawo od Komina Flacha)
Czoła Jaworzyńskie Wujek dobra rada IV+/ V- 2h,150m; Jacek Stawarz i Radek Kołodziński 22.03.2003.
Czoła Jaworzyńskie lewą częścią ściany - Ostatki VI; Arek Worobiak i Jacek Stawarz 29.03.2003.
Wielka Turnia (Filar) - trzy wyciągowy wariant wprost na drugą turnicę V+; Marcin Francuz i W. Kępkiewicz w lutym 2003.
Czoła Jaworzyńskie Wniebowzięci IV+ ; Tomasz Bender i Zbyszek Skierski styczeń 2003.
Klasyka zimowa w skałkach 2002/2003.
Najlepszym przejściem jest droga Marcina Kotelnickiego (Technika Górska, Extreme Sport) Hiroshima, trudności przewyższają VII+, autor nie wycenił drogi .
Dark Side Force VII+ doczekał się czterech przejść OS G. Bargiel, K. Król, B. Stoch-Michna, M. Kazior
Mitomania VII+ dwa przejścia RP, G. Bargiel i Sz. Hornowski
Chochołowski Dentysta VII+ dwa przejścia OS
Licho nie śpi VII-/VII jedno przejście OS A. Paszczak
Droga Francuska VII z własną asekuracją J. Muskat i M. Ciesielski RP

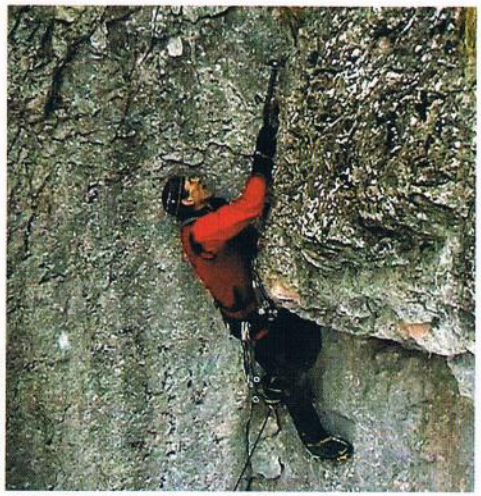

fot. Marcin Szindler

Jan Muskat podczas pierwszego prowadzenia RP *Drogi Francuskiej VII*

NAZWA DROGI AUTORZY	ILOŚĆ POWTÓRZEŃ	TRUDNOŚCI	STYL	CHARAKTERYSTYKA
DARK SIDE FORCE M. KOTELNICKI	4	VII+	RP	pierwszych 8 m mikst, potem czysta skała
HIROSHIMA M. KOTELNICKI	BRAK	na pewno powyżej VII+, autor czeka na następne przejście	RP	słabe trawy na pierwszych paru metrach, duże wywieszenie, czysta skała
TAŃCZĄCY Z NOGAMI J. MUSKAT	WIELE	VII-	RP	pierw. droga, która przyczyniła się do upowszechnienia skałkowej klasyki zimowej
BANSAI D. KAŁUŻA	BRAK	VI	RP	typowy mikst trawkowy
CHOCHOŁOWSKI DENTYSTA J. MUSKAT	4	VII+	RP	mieszanina wymagającego mikstu i kluczowe zacięcie w czystej skale
LICHO NIE ŚPI T. GRZZEGORZEWSKI	1	VII-/VII	RP	dwa nity, reszta własna asekuracja
FRANCUSKA RYSA J. MUSKAT	1	VII	RP	własna asekuracja

PATAGONIA
sezon 2002-2003

Tekst i zdjęcia: Rolando Garibotti

Patagonia, sezon 2002-2003
Opracowanie: Rolando Garibotti

PATAGONIA CENTRALNA

Cerro Castillo. 2675 m.
Ściana południowo-wschodnia
Cerro Castillo to interesujący szczyt leżący w Chile, którego flanki są atrakcyjne wspinaczkowo. Mieszany zespół chilijsko-hiszpański dokonał tam pierwszego powtórzenia drogi w/w ścianą (650m., D,TD-, 70-80°)

Cerro San Valentin. 3910 m.
26 grudnia na szczycie tym doszło do strasznej tragedii. 10-cio osobowa wyprawa chilijska podczas zaopatrywania wysokiego obozu dostała się w gwałtowna burzę. Poszczególne zespoły utraciły ze sobą kontakt i tylko jeden, trzyosobowy, zdołał przeżyć, ponieważ jeden z jego członków wpadł do szczeliny, w której on i partnerzy znaleźli nieoczekiwane schronienie. Wszyscy pozostali zginęli.

Grupa San Lorenzo
Szczyty wymienione niżej leżą w Argentynie i są osiągalne od północy przez Lago Pueyrrendon and Rio Oro albo od południa przez Petito Moreno.

Cerro San Lorenzo. 3706 m.
Pod koniec 2002 dwa zespoły atakowały wschodnio-północno -wschodnią ścianę, na prawo od wspaniałej i estetycznej wschodniej grani. Byli to Szwajcarzy David Fasel i Mike Schuwey oraz Włosi Diego Fregona i Luca Maspes. Ci ostatni wycofali się z powodu zalegania śniegu i wysokich temperatur powodujących spadanie lodu i kamieni. Skała nie jest tam najwyższej jakości i Maspes uważa, że lepiej ścianę tę atakować przy zimnej pogodzie, a nawet w zimie.
Najlepszą próbę na tej znajdującej się w centrum uwagi i mocno pożądanej ścianie zanotowali Francuzi Jean Annequin i Simon Destombes w 1988r, kiedy to omal nie zdobyli szczytu.

Cerro Hermoso. 2500 m.
1 listopada Fregona i Maspes zdobyli jeden z wierzchołków Hermoso, który nazwali *Punta Silvia*. Pokonana droga to 1200 m. wspinaczki o trudnościach V+, 70°, głównie w mikście.

PATAGONIA POŁUDNIOWA

Argentyna, Masyw Chalten.
Cerro Azara and Bravo. 1950 i 2040 m.
6 grudnia Hiszpania Jose Fernandez Arrieta i Raul Lora dokonali drugiego wejścia na Azarę nową drogą wschodnią ścianą (60-65°, III), poczym przeszli grań łączącą oba wierzchołki (IV, krucho) dokonując pierwszego wejścia na Bravo.

Cerro Grande. 2571 m.
Ściana południowa
5 grudnia Włosi Marcello Cominetti i Luca Maspes przeszli nowy wariant na tej ścianie pokonując lodowe żebro i rynny oraz mikst prowadzące do wschodniej grani, gdzie dołączyli do drogi normalnej z 1991 r. (T. Villars). Na wierzchołek, z powodu późnej pory, nie weszli.

Cerro Torre. 3102 m.
Południowo-wschodnia grań, *Compressor Route ED-, A2, 70°.*
Dokonano zaledwie jednego wejścia – w dwa dni drogę przeszli Amerykanie Bean Bowers i Dave Nettle stając na wierzchołku 1 stycznia.

Południowa ściana
Pomiędzy połową lutego i marca Włosi Mauro Bole, Ricardo Milania i Paolo Schiavo próbowali wytyczyć nową drogę na lewo od słoweńskiej (Jeglic-Karo 1988), ale z powodu złej pogody urobili zaledwie 150m.

Aguja Standhart. 2730 m.
Wschodnia Ściana.
Tomahawk, TD+, 450m, V, WI6
Kanadyjczycy Martin Bointeau i Claude Gagnon dokonali pierwszego zimowego przejścia. Złe warunki uniemożliwiły jednak zdobycie wierzchołka, na który usiłowali wejść *Exocetem.*

Exocet, ED-, 800m., V, WI6
W listopadzie, po nieudanej próbie na wschodniej ścianie Cerro Torre, Niemiec Alex Huber i Szwajcarzy Stephan Siegrist, Roger Schaeli i Ralph Weber przeszli tą bardzo popularną drogę. W lutym Austriacy Much Mayr i Peter Janschek wraz z doświadczonymi Słoweńcami Inezem Bozicem i Janezem Skokiem podjęli próbę zakończoną wycofem zaledwie o wyciąg od grani.

Piergorgio. 2719 m.
Ściana północno-zachodnia.
Pod koniec listopada Niemcy G. Berecz, S. Huber i T. Tivadar zaatakowali z portaledgami nową drogę na tej imponującej ścianie. Kiedy jednak wichura porwała im portal gdy byli jeszcze u podstawy ściany - poddali się i pojechali do domu.

Na początku 2003 duża grupa Włochów podjęła próbę dokończenia drogi Ferrariego. Zła pogoda zmusiła ich jednak do odwrotu. Mario Conti, partner Ferrariego ze słynnego wejścia na Cerro Torre w 1974 r., był liderem tej wyprawy.

Aguja Guillaumet. 2579 m
Ściana Północna. *Ramię Północno-zachodnie, D+, 350 m, 6b+*
3 przejścia

Ściana Wschodnia. *Couloir Amy D+, 350 m, 5, 55§*
Cecilia Vedelago i Martin Heredia 2.04.03.

Aguja Mermoz. 2732 m
Ściana Wschodnia. *Vol de Nuit, ED-, 500 m, M6, A1*
Podczas zimy 2002 Anglicy Andy Kirkpatrick i Ian Parnell dokonali pierwszego przejścia zimowego a drugiego w ogóle na tej drodze. Wejście zajęło im trzy dni z dwoma biwakami w ścianie. Według wspinaczy droga jest wysokiej jakości, z wymagającymi lodowymi rynnami. Uważają oni, że można by ją przejść klasycznie, a trudności sięgałyby M8. Mniej więcej w połowie ściany Kirkpatrick zaliczył trzydziestometrowy lot w wyniku kłopotów z porozumieniem się na temat lin.
Kirkpatrick atakował już ten problem dwa lata wcześniej z Richem Crossem, kiedy to udało im się przejść 1/3 drogi zanim musieli się wycofać z powodu kiepskiej pogody. Tym razem wraz z Parnellem osiągnęli grań szczytową, ale nie poszli nią na szczyt. Andy Parkin zrobił dokładnie tak samo podczas pierwszego przejścia, stąd Aguja Mermoz nadal oczekuje na pierwsze wejście zimowe.

Fitz Roy. 3405 m
Ramię Południowe. *Droga Francusko – Argentyńska, ED-, 450 m, 6b/c*
Gabriel i Luciano Fiorenza (Argentyna) 7.12.2002.
Masahiro Takiyama i Hidenobu Hata (Japonia) 01.01.2003.
Gunter Gapp i Raimund Moser (Austria) 16.02.2003.

Ściana Wschodnia. *Diabelskie Zacięcie.*
Anglicy Andy Kirkpatrick i Ian Parnell dokonali próby przejścia drogi podczas południowej zimy 2002. Powolny postęp wynikający z zaśnieżonej skały i brak wystarczającego ekwipunku zawrócił ich po pierwszym dniu wspinania.

Ściana Zachodnia. *Supercanaleta, TD+, 1600 m, 6a, A2, 85°*
9 listopada Francuzi Nicolas Fabbri i Silvain Rivoire rozpoczęli wejście Supercanaletą około 2.00 w nocy. Po 19 godzinach wspinaczki doszli do pół szczytowych, około 150 m od piku. Postanowili jednak od razu stamtąd zjeżdżać drogą, co zajęło im 7 godzin.
Szwajcarzy David Fasel i Mike Schuwey przeszli Supercanaletę 31-ego grudnia 2002, osiągając szczyt w pierwszych godzinach nowego roku. Całą długość drogi przeszli w rakach. Pod szczytem przeczekali do świtu by zjechać Drogą Francusko – Argentyńską.

Ściana Północna. *Tehuelche, ED+, 1200 m, 6c/A2*
W styczniu 2003 Klemen Mali (Słowenia) i Chris Turiano (USA) podjęli próbę jednodniowego przejścia *Tehuelche*. Wyszli z obozu na Paso Cuadrado o 2:00 w nocy i dotarli do bazy około 7:00 rano. Wspinali się na lekko, zostawiając ciężkie buty, palnik, sprzęt biwakowy i dodatkowe ubrania, zabierając za to małą porcję wody. Wspinali się bardzo szybko przechodząc z lotną asekuracją przeważającą cześć dolnych partii i uklasyczniając trzeci wyciąg (A2) na poziomie około 6b. Do "Grand Hotelu" dotarli około 1:00 po południu, mając nadzieję na dotarcie do szczytu tego samego dnia. Jednak słynny wyciąg z przerysą bezpośrednio nad "Grand Hotelem" okazał się trochę trudniejszy niż oczekiwali, i w konsekwencji pokonanie go zajęło im 4 godziny (sugerują użycie camalotów #6 przy następnych przejściach). Potem zrobili jeszcze 2 wyciągi, ale byli zbyt wyczerpani by iść dalej i zdecydowali się wracać.

Poincenot. 3002 m
Ściana Wschodnia. *Droga Whillans-Cochrane, TD, 550 m, 5+, 60°*
Miguel Kuarta i Diego Lara (Argentyna) 16.02.2003.
Eric Murphy (USA) i towarzysz z Niemiec na początku 2003.
Ben Bransby (Wielka Brytania) z towarzyszem koniec lutego 2003.

Aguja Innominata. 2482 m
Ściany Północna i Wschodnia.
16.12.2002 Szwajcarzy Carsten von Birckhahn i Anke Clauss wytyczyli nową drogę (*Artebelleza*) na północnej ścianie. Ich linia składa się z sześciu nowych wyciągów na północnej ścianie, następnie łączy się z drogą *Piola-Anker* (1989) na jej ostatnich trzech długościach wzdłuż wschodniej części góry. (TD-, 450 m, 6b/A1).

17 lutego Argentyńczycy Esteban Arellano i Juan Canale, wraz z Amerykaninem Beanem Bowersem uklasycznili przeważająca część tej linii (trudności 6b+), ale byli zmuszeni poddać się na jeden wyciąg przed szczytem z powodu gwałtownie pogarszającej się pogody.

Aguja Saint Exupery. 2558 m.
Filar Wschodni. *Droga Włoska, TD+, 700 m, 6a+, A2, 45°*
Agustin Inchausti i Alejandro Lucena (Argentyna) 8.1.2003.

Ściana Północna. *Droga Kearney-Harrington, TD-, 580 m, 6a+*
Carsten von Birckhahn i Anke Klaus (Szwajcaria) 10.01.2003.

Ramię Północno – Zachodnie, *Wariant do Chiaro Di Luna: Supertrek, TD+, 780 m, 6c/7a*
7 stycznia Bean Bowers i David Nettle (USA) stworzyli nowy wariant do klasyka *Chiaro di Luna*. Wspięli się 40 metrów dalej wzdłuż ewidentnego progu z którego startuje *Chiaro di Luna* by następnie podążyć narzucającym się systemem rys i zaciątek, gdzie poprowadzili 4 pełne 60-cio metrowe wyciągi, w tym 6b+ w przerysie. Po tym wrócili na *Chiaro di Luna* na około 300 metrów by ponownie wejść w system rys na dwa 60-metrowe wyciągi prowadzące przez górną część ściany czołowej (6b) na szczyt. Swój wariant nazwali *Supertrek*, na cześć przewodników lodowcowych podtrzymujących ich w dobrym nastroju w czasie niepogody w bazie.

Aguja de L'S.
Filar Północny, *D+, 300 m, 6a+, 50ş*
Carsten von Birckhahn i Anke Klaus (Szwajcaria) 31.12.2002.

Uwaga.
W dolinie Cerro Torre Argentyńczycy Luciano Frasson i jego brat wraz z Lucasem Favą znaleźli najprawdopodobniej pozostałości zwłok Tony Eggera. Znalezisko zabrali do grobu Eggera po drugiej stronie doliny i pochowali wraz z tym, co odnaleziono w latach 70-tych. Najwyraźniej nadal nie ma śladu po tak bardzo poszukiwanym aparacie fotograficznym, który miał ponoć uwiecznić domniemane wejście na szczyt Cerro Torre w wykonaniu Egger'a i Maestriego w roku 1959.

Torre del Paine National Park. Chile.
Torre Central.
Ściana Północno-Wschodnia. *Droga Bonington-Whillans, TD+, 650 m, 6b/c lub 6/A1*
Dokonano dwóch wejść tą klasyczną linią: 7 grudnia drogę pokonali Słoweńcy Milena i Miha Paprotnik oraz katalońscy wspinacze Sergi Castellana Balana i Ignasi Amat. Sukces Mileny był trzecim wejściem kobiecym na Torre Central; wcześniej uczyniły to Ginella Pagani w 1987 roku i Allison Pennings w roku 2001.

Ściana Wschodnia. *Riders on te Storm, ED+, 1000 m, 7b, A2*
W listopadzie Francuzi Jerome Arpin i Sylvain Empereur próbowali przejść *Riders on the Storm* w stylu alpejskim, wyczyn, którego dokonali już Czesi Jan Kreisinger i David Strastny w lutym 2002. Arpinowi i Empereurowi udało się przejść 18 wyciągów w cztery dni, potem jednak nastąpiła zmiana pogody, przynosząc bardzo niskie temperatury. W związku z tym wspinacze zdecydowali się na wycof. Z ich relacji wynika, że Kreisinger i Strastny, którzy dokonali drugiego przejścia drogi, mogli dodać pewną ilość spitów na drodze, zarówno na stanowiskach, jak i na wyciągach.

Na początku grudnia, Francuzi Arnaud Boudet, Martial Dumas, Jean Yves Fredericksen i Yann Mimet dokonali trzeciego przejścia tej drogi. W ciągu 14 dni, z czego 8 wspinaczkowych, założyli 500 metrów poręczówek w dolnej części. 4 grudnia rozpoczęli ostateczną próbę, zabierając portaledge i żywność na 5 dni. Założyli obóz na końcu dotychczasowych poręczówek, by w trakcie czterech następnych dni założyć kolejne 400 metrów stałych lin, używając tych rozciągniętych uprzednio w niższych partiach. 8 grudnia zaczęli podejście po poręczówkach, pokonali ostatni trudny fragment – duże wywieszające się zacięcie – a następnie weszli łatwym terenem na szczyt, osiągając go około południa. Tego samego dnia ściągnęli wszystkie swoje liny, spakowali obóz i zjechali w linii drogi do bazy, gdzie znaleźli się około 23-ej. Droga ma najwyraźniej wiele spitów i wierconych haków. Nie licząc stanowisk, ich liczba sięga 46. Francuzi dodali jeden hak na 16-tym wyciągu. Przeszli klasycznie trzy główne wyciągi z przerysami (17, 18, 19), z których droga słynie, nie używając umieszczonych tam w dużej ilości haków (odpowiedź na pytanie czy pochodzą one z pierwszego czy z drugiego przejścia nie jest znana). Wspinacze zwrócili także uwagę na to, że mieli camaloty 4,5 i 5, a i te były za małe, sugerują więc autorom kolejnych powtórzeń camaloty 6 lub też większe Big-Bro. Wiele spitów nie ma plakietek, więc proponują też wziąć spity (8mm Petzl self-drive bolts) i plakietki.

Torre Norte
Ściana Północna. *La Ultima Esperanza, TD-, 450m, 6c, A2*
Jerome Arpin i Sylvain Empereur w listopadzie 2002. Dzięki temu wejściu Francuzi dołączyli do grona wspinaczy, którzy zdobyli wszystkie trzy Paine Towers. Zaliczają się do nich Włosi B. De Dona, M. Manica, E. Orlandi i E. Salvaterra; Amerykanie M. Pennings i S. Schneider; Chilijczyk A. Zeegers; Argentyńczycy R. Calvo, D. Luro i T. Plaza. Ostatni trzej jako pierwsi weszli na te szczyty w jednym sezonie (1993), przechodząc nową drogę na wschodniej ścianie Torre Central (*Una fina linea de locura*) i nową drogę na Torre Norte (*Capachin Tortola*). Zdobywcy liczyli sobie wtedy odpowiednio 18, 17 i 20 lat. Możliwe także jest, że Hiszpanie J.C. Tamayo i J. Laskano wspięli się na wszystkie trzy wieże, jak również Amerykanie C. Tague i S. Lazar oraz Brazylijczycy A. Portela i S. Tartari. Włoch Bruno De Dona jest jedynym wspinaczem, który zdobył wszystkie cztery główne szczyty formujące grań Paine Towers, w tym Torre Sur, Central i Norte i Cerro Peineta.

Tomaz Jakofcic i Tina Di Batista (Słowenia) 16.12.2002r.

Ściana Północna. *Taller del Sol, TD-, 450 m, 6b+*
Janez Peterlin i Nejc Brescak w grudniu 2002

Szczyt Północny. Nowa droga. *Los Esclavos del Barometro.*
31 grudnia Słoweńcy Tina Di Bastita i Tomaz Jakofcic wytyczyli nową linię na północnym szczycie North Tower of Paine. Ich droga, którą nazwali *Los Esclavos del Barometro* biegnie linią rys na prawo od *Armas y Rosas,* bezpośrednio na lewo od *Spirito Libero*. Pierwszą próbę podjęli dwa dni wcześniej wraz z Nejcem Brevk'iem, ale musieli się wycofać z powodu nagłej burzy śnieżnej. Pokonali wtedy około 250 metrów. Było zimno, ale skała była sucha i przeważnie wspinali się klasycznie, nie pozostawili więc żadnych poręczówek. Dwa dni później wszystkie rysy były pełne śniegu i lodu, więc na większości wyciągów musieli haczyć. Jak później stwierdzili, w związku z kończącym się pobytem, musieli "wspinać się na to, co było". Słoweńcy osiągnęli szczyt północny o 18-ej i zjechali tą samą drogą. Cała wspinaczka "od bazy do bazy" zajęła im 19 godzin. Napotkane trudności sięgały 6b/A2 (500m), uważają oni jednak, że przy lepszych warunkach możliwe byłoby przejście klasyczne o trudnościach 6b+/c. Na pierwszych dwóch wyciągach znaleźli kawałki starych lin, pochodzących najprawdopodobniej z wcześniejszych prób.

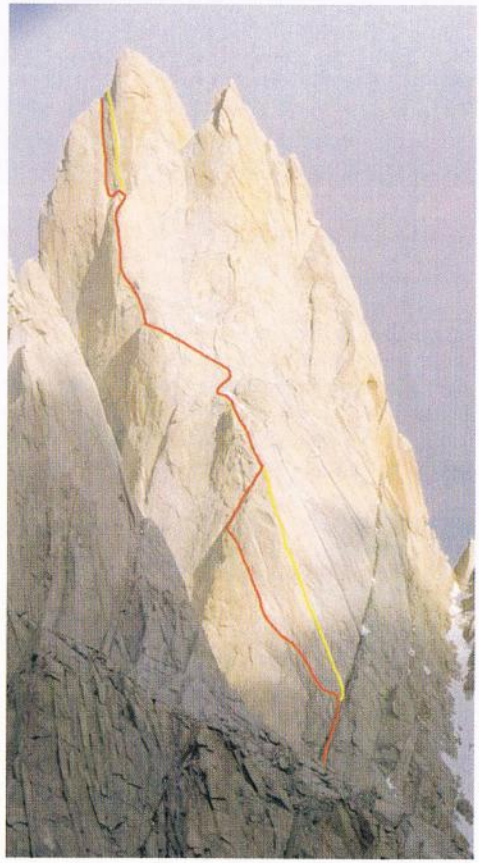

Photo Information.
All fotos " R. Garibotti.

Zachodnia ściana Aguja Saint – Exupery. Czerwonym kolorem zaznaczono *Chiaro di Luna* zespołu Giordani-Manfrini i Valentini, z 1987. żółtym kolorem oznaczono warianty z 2002 roku do drogi *Supertrek*.

Pożegnania

Jan Staszel 1915-2003

Zmarł w dniu 3 lutego 2003 roku przeżywszy 88 lat. Choć pochodził ze starego góralskiego rodu związał się ze środowiskiem warszawskim już przed wojną i teraz w swojej ostatniej drodze był odprowadzany przez kilka pokoleń warszawskich wspinaczy. Jeden z najlepszych taterników swojej epoki. Już w bardzo młodym wieku błysnął wieloma spektakularnymi przejściami w Tatrach a jego partnerami byli wybitni wspinacze jak Stanisławski, Motyka, Żuławski, Schramm, Korosadowicz. Wielokrotnie uczestniczył w wyjazdach w Alpy i na Spitsbergen. Współautor pierwszego przejścia grani całych Tatr od przełęczy Zdziarskiej do Huciańskiej (1955). Był aktywnym działaczem klubowym, członkiem honorowym PZA i KWW.

Wiesław Grzybowski 1956-2002

Związany od czasów studenckich z warszawskim klubem zaczynał jak większość osób z Warszawy od wypadów na bunkry w Janówku. Potem były skałki, Tatry, Alpy i góry najwyższe. Już pierwsze wyjazdy w Tatry, także zimą przyniosły pierwsze sukcesy wspinaczkowe. Przełom lat 70 i 80 to pierwsze wyjazdy w Alpy, które potwierdziły jego wysokie umiejętności wspinaczkowe. Z czasem przyszło zainteresowanie górami wysokimi. Brał udział w wyprawach na Gauri Shangkar, Dorje Phagmo i Tukche Peak. Pod koniec lat 80-tych zaprzestał działalności górskiej i poświęcił się swojej drugiej pasji - żeglarstwu. W pamięci osób, które miały przyjemność się z nim wspinać pozostanie na zawsze jako solidny, pełen życzliwości i optymizmu partner górskich wspinaczek.

Obóz KW Warszawa w Bergell - napieraj z nami.

Po zeszłorocznym letnim obozie KW w rejonie Igieł Chamonix, w tym roku podjęto decyzję o zorganizowaniu wyjazdu w **Bergell**. Ten wspaniały granitowy rejon na pograniczu Szwajcarii i Włoch oferuje niesamowite możliwości wspinaczkowe (po więcej informacji odsyłam do artykułu Chmiela w tym numerze A/Zero). **Termin wyjazdu 19.07. - 03.08.2003 r.** Zgłaszać się można za pomocą specjalnego formularza zgłoszeniowego umieszczonego na stronie KW (www.kww.rubikon.pl) lub osobiście w godzinach działania sekretariatu KW (wtorek 20.00-22.00, ścianka na Nowowiejskiej 37b). Do dyspozycji mniej doświadczonych kolegów będzie dwóch instruktorów PZA. Wszyscy uczestnicy wyjazdu muszą posiadać na czas obozu ważne ubezpieczenie od następstw nieszczęśliwych wypadków związanych z uprawianiem alpinizmu.

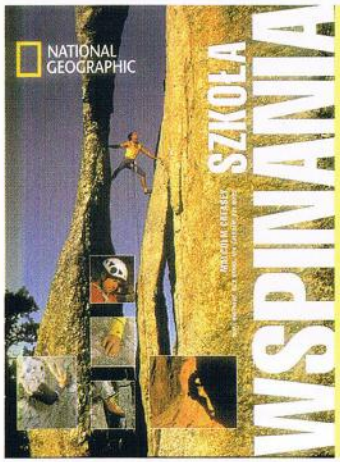

Otrzymaliśmy do rąk bardzo starannie wydany podręcznik firmowany przez National Geographic. Dwie rzeczy rzucają się od razu w oczy - świetna jakość i wysoka cena. 60 zł może niektórych z Was odstraszyć, ale warto polecić tę pozycję komuś, kto tego typu literatury potrzebuje. „Szkołę" firmują swoimi nazwiskami znani brytyjscy wspinacze i instruktorzy, jest to rękojmią wysokiego poziomu merytorycznego tej pozycji. Z pewnością fachowcy znajdą w niej jakieś nieścisłości, ale nie sądzę, aby miały one rzutować na jej poziom.
Nie tylko początkujący znajdą wewnątrz coś dla siebie, ponieważ oprócz samej techniki wspinania i asekuracji jest tam i trochę o historii, i o etyce wspinaczkowej, jest o ubieraniu, autoratownictwie i treningu. Wszystko jest ilustrowane bardzo dobrymi zdjęciami i rysunkami. „Szkołę" kończy krótki przegląd najciekawszych rejonów górskich świata.

Informacje KW Warszawa

Zarząd Klubu Wysokogórskiego Warszawa

Artur Paszczak - Prezes (tel. 754-15-38; paszczak@qdnet.pl)
Zbigniew Skierski - Wiceprezes (infobaza@zigzag.pl)
Michał Ziółkowski - Wiceprezes (tel. 608-030-150; ziolo@amwaw.edu.pl)
Alicja Paszczak - Sekretarz (tel. 754-15-38; paszczak@qdnet.pl)
Marek Libront - Skarbnik, Sekretarz, Komisja Informacji i Propagandy (tel. 602-637-503; marek.libront@citicorp.com)
Krzysztof Wasilewski - Prawnik (wasyl@inco-veritas.com.pl)
Marcin Chmieliński - Komisja Informacji i Propagandy (tel. 845-32-69; m_chmielinski@life.pl)
Mariusz Wilanowski - Komisja Informacji i Propagandy (tel. 601-416-604; mariusz.wilanowski@bgk.com.pl)
Marek Czyżewski - Komisja Informacji i Propagandy Propagandy (tel. 501-000-958; marekczy@idea.net.pl)
Joanna Krośkiewicz - Komisja Wspinaczki Sportowej (kroskiewicz@hbz.pl)
Grzegorz Graczyk - Komisja Wspinaczki Sportowej (tel. 502-583-166; ggraczyk@polbox.com)

Przystąpienie do klubu i składki:

Członkiem Klubu może zostać każda osoba. Osoby niepełnoletnie muszą przedstawić pisemne pozwolenie od rodziców. Osoby poniżej 16 roku życia lub nie uprawiające sportów wspinaczkowych uzyskują status członka uczestnika. Aby zostać członkiem klubu należy wpłacić wpisowe oraz składkę członkowską.
Jednoroczna składka wynosi:
-dorośli 60 zł + dobrowolna składka na Fundusz Berbeki.
-młodzież ucząca się (do 25 roku życia) 40 zł + dobrowolna składka na Fundusz Berbeki.
Wpisowe do Klubu wynosi równowartość rocznej składki (odpowiednio 60 i 40 zł). Składki można wpłacać we wtorki w godz. 19.30-22.30 na ściance przy ul. Nowowiejskiej 37b (sekretariat). Można też opłacać składki przelewem (formularz i info na stronie internetowej Klubu).

Wyjazdy Klubowe

Co roku Klub Wysokogórski organizuje wyjazdy dla swoich członków, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczki oraz międzypokoleniową wymianę doświadczeń. W bieżącym roku odbył się zimowy obóz w Morskim Oku. Na lipiec przewidziany jest wyjazd w Bergell (Szwajcaria) a kolejny obóz zimowy w sezonie 2003/2004 prawdopodobnie będzie miał swoją lokalizację w Dol. Kieżmarskiej. Klub stara się też wspierać lub organizować inne wyjazdy członków klubu.

Ścianki klubowe

- Klub wynajmuje obecnie dwie ścianki. Do korzystania ze ścianki upoważnieni są, w trakcie godzin klubowych, wyłącznie jego członkowie mający uregulowane składki za bieżący rok.
- Obecnie dostępna jest ścianka w Hali Sportowej „Koło", ul. Obozowa 60. Dojazd tramwajami 1,12,13,20,23,24,43 (przystanek „Magistracka") dni klubowe: czwartek 20.00-22.00 i sobota 16.00-18.00, opłata 10 zł.
- Centrum Wspinania „W Pionie", ul. Nowowiejska 37B. Dzień klubowy we wtorek 19.30-22.30, opłata 10 zł.

Zniżki i rabaty

Informujemy, że członkowie KW W-wa mający opłacone składki członkowskie za bieżący rok mogą korzystać z następujących, wynegocjowanych przez klub zniżek:
- w sklepie górskim Kanion, 10% zniżki na zakupione towary (zniżka obowiązuje tylko przy płatności gotówką), sklep mieści się przy ul. Pięknej 68 (przy ul. Emilii Plater);
- w sklepach Rossignol 10% zniżki na produkty i 20% na usługi - CH Sadyba Best Mall, ul. Powsińska 31; Galeria Mokotów, ul. Wołoska 12; Stok Narciarski Szczęśliwice; Rondo Kuźnice - Zakopane; Stacja kolejki linowej Kasprowy Wierch;
- w sklepie rowerowym PLUS Mountain Bike Shop - 10% zniżki dla członków klubu za okazaniem legitymacji na rowery i akcesoria oraz 20% na serwis. Warszawa - Ursynów, ul. Zamiany 12, tel. 644-29-02, e-mail: plus@rowery.com.pl ; www.rowery.com.pl.
- Małachowski - Pracownia Sprzętu Alpinistycznego. Dla członków Klubu 5-20% zniżki w zależności od produktu (informacje: www.malachowski.com.pl; malachowski@malachowski.home.pl)

Kontakt:

Klub Wysokogórski Warszawa
ul. Jankowska 5/12, 02-129 Warszawa
tel. 0 602-637-503 (sekretarz)
tel. 0 602-353-001 (prezes),
fax. (022) 754-15-38
Sekretariat: Wtorki 19.30 - 22.00, ul. Nowowiejska 37B
e-mail. paszczak@qdnet.pl, kww@rubikon.pl
www.kww.rubikon.pl, NIP: 526-16-90-727
Konto: Millennium Big Bank S.A., 87 11602202 0000 0000 1850 2085

Mount&Wave
ROSSIGNOL